

JOSEPH CONRAD

SZALEŃSTWO ALMAYERA

PRZEŁOŻYŁA: ANIELA ZAGÓRSKA
TYTUŁ ORYGINALU: ALMAYER'S FOLLY

SCAN-DAL

PRZEDMOWA AUTORA

Dowiedziałem się, że krytykując literaturę, która zeruje na nieznanym ludach i grasuje po dalekich krajach — pod cieniem palm, w jaskrawym, niczym nie osłoniętym blasku smaganych słońcem wybrzeży, między poczciwymi dzikusami i dalekimi od naturalnej prostoty pionierami naszych wspaniałych cnót, pani — uznana w świetle literackim — streściła swoją naganę dla tej literatury mówiąc, że jej opowieści są „odcywilizowane”. A w tym zdaniu zostały ostatecznie potępione wyrokiem pełnym pogardliwej dezaprobaty nie tylko opowieści, ale — obawiam się — także nieznanne ludy i dalekie kraje.

Sąd kobiety: intuicyjny, zręczny, wyrażony ze szczęśliwym wdziękiem — nieomylny. Sąd, który nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością. Ten krytyk i sędzia zarazem wydaje się myśleć, że w owych dalekich krajach wszelka radość jest krzykiem i tańcem wojennym, wszelkie wzruszenie wyraża się wyciem i okropnym szczerzeniem spiłowanych zębów, a wszystkie problemy znajdują rozwiązanie w lufie rewolweru lub na ostrzu włóczni. A przecież tak nie jest. Ale sędzia, który się myli, może przytaczać na swe usprawiedliwienie fakt, iż świadectwa z natury swej wprowadzają w błąd.

Obraz życia, zarówno tam, jak i tu, jest namalowany z tym samym starannym wypracowaniem szczegółów, zabarwiony tymi samymi kolorami. Tylko wobec okrutnie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

— *Kaspar! Makan!*¹

Ten znajomy, ostry głos targnął Almayerem, budząc go z marzeń o wspaniałej przyszłości; wróciła przykra rzeczywistość. Głos był także przykry. Almayer słuchał go przez tyle lat i z każdym rokiem coraz mniej go znosił. Ale co tam: skończy się już wkrótce to wszystko.

Poruszył się niespokojnie, po chwili jednak przestał zważać na wołanie. Wsparty obu łokciami o balustradę werandy, wpatrzył się znów w wielką rzekę płynącą przed nim wartko i obojętnie. Lubił przyglądać się jej o zachodzie — może dlatego, że gorejące złoto sypało się wtedy na fale Pantai, zaś myśli Almayera błądziły często około złota. Nie udało mu się go dotąd zdobyć — tego złota, które posiadli inni, z pewnością nieuczciwie. Musi jednak zdobyć je dla siebie i Niny, wyteżywszy wszystkie siły w rzetelnej pracy. Pograżył się w marzeniach o bogactwie i potędze przenosząc się myślą daleko od wybrzeża, gdzie mieszkał tyle lat; zapomniał o goryczy znoju i walki, olśniony wizją wielkiej, wspaniałej nagrody. Osiądzie w Europie razem z córką. Będą bogaci i szanowani. Nikt nie zwróci uwagi na mieszaną krew Niny wobec jej wielkiej piękności i niezmiernego bogactwa ojca. On sam odmłodnieje patrząc na tryumfy córki i zapomni o dwudziestu pięciu latach rozpaczliwej walki na tym wybrzeżu, gdzie czuł się jak w więzieniu. Wszystko to było niemal pod ręką. Niech tylko Dain powróci. Powinien wrócić prędko, w tym leży jego interes. Spóźnił się więcej niż o tydzień. Może zjawi się dziś w nocy?

Takie myśli snuły się po głowie Almayera. Patrzył na szeroką rzekę stojąc na werandzie nowo zbudowanego domu, który zaczynał już butwieć; było to ostatnia z niepowodzeń jego życia. Tego wieczoru rzeka nie lśniła złotem: wezbrana od deszczów, toczyła złe, bure wody przed roztargnionym wzrokiem Almayera, unosząc mnóstwo drzewnego śmiecia, wielkie, martwe kłody i całe z korzeniami wyrwane drzewa z gałęzmi i listowiem, wśród którego wirowała woda szumiąc złowrogo.

Jedno z tych porwanych drzew zawadziło o spadzisty brzeg tuż przy domu; Almayer zaczął je śledzić z leniwym zainteresowaniem, porzucając swoje marzenie. Drzewo obróciło się zwolna wśród huku spienionych fal i wyzwolone z zatoru, popłynęło znowu z prądem; przewalając się powoli z boku na bok wzniosło ku niebu długi, obnażony konar niby rękę wyciągniętą w niemym wołaniu o pomstę za brutalną przemoc rzeki. Almayer przejmował się

¹ Kasprze! Chodź jeść! (mal.)

coraz bardziej losem drzewa. Wychylił się śledząc, czy pień wyminie niski przyładek — i cofnął się uspokojony. Teraz droga była swobodna aż hen ku morzu. Pozazdrościł losu tej martwej kłodzie, która szybko malała, aż znikła w gęstniejących ciemnościach. Wówczas jął rozmyślać, jak daleko drzewo popłynie, czy prąd uniesie je na północ, czy na południe. Prawdopodobnie na południe, ku Celebesowi; może aż do Makassaru?

Makassar. Podniecona wyobraźnia Almayera prześcignęła drzewo na jego urojonym szlaku; ogarnęły go wspomnienia sprzed jakich dwudziestu lat albo i więcej. Oto smukły młodzieniec o skromnym wyglądzie, w białym ubraniu, opuszcza holenderski parowiec i wysiada na bulwarze pełnym kurzu; to Almayer przybywa do Makassaru, aby zdobyć majątek w halach targowych starego Hudiga. Od tej epokowej chwili rozpoczął nowe życie. Ojciec Almayera, niższy urzędnik ogrodów botanicznych w Buitenzorgu, był bez wątpienia uszczęśliwiony, że udało mu się umieścić syna w takiej solidnej firmie. Młody chłopak porzucił chętnie trujące wybrzeża Jawy i niedostatek w rodzinnym domku, gdzie ojciec zrzędził od rana do nocy na głupotę ogrodników krajowców, a matka opłakiwała w głębi fotelu utracone wspaniałości Amsterdamu i świetność swojej pozycji, jako córki tamtejszego handlarza cygar.

Almayer opuścił dom rodzinny z lekkim sercem i lżejszą jeszcze kieszenią; mówił dobrze po angielsku, był mocny w rachunkach — gotów był świat cały wyzwać do walki nie wątpiąc, że go zdobędzie.

Dwadzieścia lat minęło od tej chwili. Wdychając parne gorąco borneańskiego wieczoru przypominał sobie z żalem wyniosłe, chłodne składy Hudiga, zavalone pakami dzynu i bawełnianych tkanin; długie proste uliczki między szeregami pak; wielkie drzwi obracające się bez szelestu i przyćmione światło tak miłe dla oczu po jaskrawym blasku ulicznym. Wśród spiętrzonych towarów oddzielone były balustradą niewielkie przestrzenie, gdzie schludni urzędnicy chińscy o smutnych oczach i chłodnym obejściu pisali szybko, milcząc, w hałasie i rozgwarze. Robotnicy toczyli beczki lub przesuwali paki w takt śpiewnego pomruku kończącego się rozpaczliwym wrzaskiem. W dalszej części hali odgrodzono dużą przestrzeń dobrze oświetloną, naprzeciw wielkich drzwi; tu nad hałasem stłumionym przez oddalenie górował łagodny i bezustanny dźwięk srebrnych guldenów. Rozważni Chińczycy liczyli je i układali w stosy pod nadzorem pana Vincka, kasjera, który był duchem opiekuńczym tego miejsca i prawą ręką władcy.

W tym jasnym zakątku pracował Almayer przy swoim stole, niedaleko małych zielonych drzwi, u których stał zawsze Mała j w czerwonym pasie i turbanie; ciągnął za zwisający sznurek, podnosząc i opuszczając rękę z dokładnością maszyny. Sznurek ten

wprawiał w ruch *punkah*² po drugiej stronie zielonych drzwi, gdzie mieściło się tak zwane prywatne biuro; królował tam stary Hudig — władca — udzielając hałaśliwych posłuchań. Niekiedy małe drzwi otwierały się gwałtownie, ukazując przez błękitną mgłę dymu tytoniowego długi stół, obstawiony butelkami przeróżnych kształtów i smukłymi dzbanami z wodą; w fotelach z rotanu³ leżeli hałaśliwie rozprawiający mężczyźni, a władca wychylał głowę przez drzwi i trzymając za Hamkę mrucał coś poufnie do Vincka; czasem rzucał grmiący rozkaz na halę lub też zwietrzywszy Nieznajomego i wahającego się gościa witał go przyjaznym rykiem: „Moje uszanowanie kapitanowi! Skądże pan przybywa? Czy nie z Bali, co? Ma pan kuce? potrzeba mi kuców, potrzeba mi wszystkiego, co tylko pan ma do zbycia! ha! ha! ha! niechże pan wejdzie!” Wśród huraganu wykrzyków wciągał nieznajomego do biura, a drzwi się zamykały i zwykle hałasy rozlegały się znowu: śpiew robotników, łoskot beczek, skrzypienie pośpiesznie piszących piór; nad wszystkim zaś górował melodyjny dźwięk dużych, srebrnych pieniędzy, płynących nieustannie przez żółte palce uważnych Chińczyków.

W Makassarze kipiało wówczas życie, kwitł handel. Był to punkt zborny dla wszystkich awanturników, którzy, zaopatrzywszy swoje szkuńce na wybrzeżu australijskim, puszczali się w głąb Archipelagu Malajskiego w pogoni za pieniędzmi i przygodami. Ci śmiałkowie wążący się na wszystko nie stronili od potyczek z korsarzami grasującymi jeszcze wtedy na wielu wybrzeżach; mając wdech do interesów dorabiali się szybko majątku, a ogólnym ich rendez-vous była owa zatoka, gdzie zjeżdżali się dla transakcji handlowych i uciech. Kupcy holenderscy zwali tych ludzi angielskimi kramarzami wędrownymi. Niektórzy z nich byli to bezsprzecznie dżentelmeni, których ten rodzaj życia pociągał swoim urokiem, lecz większość stanowili zawodowi marynarze. Za króla ich uważano powszechnie Toma Lingarda, którego wszyscy Malaje — uczciwi czy nieuczciwi, spokojni rybacy czy też skończeni zbóje — nazywali *Radja Laut*, — Królem Morza.

Almayer nie był i trzech dni w Makassarze, gdy posłyszał o nim; o jego zręcznych transakcjach handlowych, miłostkach i zaciekłych walkach z piratami plemienia Sulu. Powtórzono mu także romantyczną opowieść o jakimś dziecku — dziewczynce znalezionej przez zwycięskiego Lingarda na korsarskim statku, którym po długiej walce zawładnął zmiótlszy załogę z pokładu. Ogólnie było wiadomo, że Lingard zaadoptował tę dziewczynkę; umieścił ją w — jakimś klasztorze na Jawie i mówił o niej zawsze: „moja córka”. Złożył

2 Punkah — rodzaj ogromnego, prostokątnego wachlarza, wiszącego zwykle nad stołem w jadalniach i biurach w krajach podzwrotnikowych.

3 Rotan — palma pnąca używana do wyrobu plecionek.

uroczystą «przysięgę, że wyda ją za białego człowieka przed powrotem do kraju i zostawi jej cały majątek. „A kapitan Lingard jest bardzo bogaty — mawiał uroczyście pan Vinck przechylając głowę na bok — bardzo bogaty, bogatszy od samego Hudiga!” Tu urywał na chwilę, aby słuchacze mogli ochłonać po tak nieprawdopodobnej wieści, i dodawał szeptem wyjaśnienie: „Widzi pan, on odkrył rzekę.”

Otóż to — odkrył rzekę! Ten fakt właśnie wynosił Lingarda tak wysoko nad pospolity tłum morskich awanturników, którzy za dnia handlowali z Hudigiem, a noce spędzali na picu szampana, szulerce, śpiewaniu krzykliwych piosnek i na umizgach do dziewcząt krwi mieszanej pod dachem obszernej werandy hotelu „Sunda”. Dostęp do owej rzeki znany był jedynie samemu Lingardowi. Wyruszając w drogę zabierał doborowy ładunek bawełnianych tkanin, mosiężnych gongów, strzelb i prochu. „Błyskawica”, bryg jego, którym sam dowodził, zniknęła nieznacznie nocą z przystani, podczas gdy kamraci Lingarda odsypiali skutki nocnej orgii. Zostawiał ich pijanych pod stołem i wracał na pokład; sam zaś, nawet pijąc bez miary, nigdy przytomności nie tracił. Niejeden usiłował go wytropić i dostać się do tego kraju obfitości bogatego w gutaperkę i rotan, wosk i damarę⁴, perłowe konchy i ptasie gniazda, ale niewielka „Błyskawica” umiała prześcignąć każdy statek na tych wodach. Kilku śmiałków natknęło się na ukryte mielizny i rafy koralowe; tracąc całe mienie ledwie z życiem ujść zdołali z okrutnych objęć tego morza uśmiechającego się słonecznie. Zniechęciło to innych. Zielone wyspy o niewinnym wyglądzie, stróżujące u wejścia do ziemi obiecanej, przechowały swoją tajemnicę przez długie lata z bezlitosną pogodą natury podzwrotnikowej. A Lingard po dawnemu zjawiał się i znikał w ciągu swoich wycieczek jawnych czy ukrytych. Śmiałość jego ryzykownych wypraw i olbrzymie dochody opromieniały go bohaterstwem w oczach Almayera, który z najgłębszym podziwem zwykł był patrzeć, gdy wielki człowiek szedł przez halę, mruczając mimochodem „dzień dobry” do Vincka albo witając władcę Hudiga gromki m wykrzykiem: „Jak się masz, stary korsarzu! cóż, żyjesz jeszcze?” Był to zwykły wstęp do transakcyj handlowych za zielonymi drzwiami. Wieczorem, gdy cisza zaległa opustoszałą halę, Almayer porządkował papiery przed powrotem do domu w towarzystwie Vincka, u którego mieszkał. Przerywał wówczas często swoje zajęcie przysłuchując się hałaśliwym i gorącym rozprawom w prywatnym biurze, skąd dochodził głęboki, monotony pomruk władcy, przerywany gwałtownymi okrzykami Lingarda — dwóch brytanów walczących o kość pełną szpiku. Lecz w uszach Almayera brzmiało to jak tytaniczna zwada, jak walka bogów.

Mniej więcej w rok potem Lingard zapalał nagle dość niewytłumaczoną dla ludzi

⁴ Damara — używana w przemyśle żywica pewnych drzew tropikalnych.

postronnych sympatią do Almayera, z którym stykał się często z powodu interesów. Wychwalał go pod niebiosa przed kamratami, gdy późno w nocy siedzieli przy kieliszku w hotelu „Sunda”, a pewnego pięknego poranku zelektryzował Vincka oświadczeniem, że musi „zabrać z sobą tego smyka. Będzie załatwiał za mnie wszystkie gryzmoły — coś w rodzaju sekretarza.” Hudig przystał na to. Przejęty młodzieńczą żądzą zmiany, Almayer zgodził się chętnie i spakowawszy swoje manatki puścił się na pokładzie „Błyskawicy” w długą podróż. W czasie takiego objazdu stary żeglarz odwiedzał zwykle wszystkie wyspy Archipelagu. Mijały miesiące, a przyjaźń Lingarda zdawała się wzrastać. Przechadzał się często z Almayerem po pokładzie brygu, który sunął lekko pod spokojnym, wyiskrzonym niebem, pędzony łagodnie przez nikły powiew nocny, niosący od strony wysp silne aromaty. Stary żeglarz lubił wtedy otwierać serce przed zachwyconym słuchaczem. Mówił o swojej przeszłości, o niebezpieczeństwach, których uniknął, o wielkich dochodach płynących z jego transakcyj handlowych, o nowych planach, które w przyszłości miały przynieść jeszcze większe zyski. Wspominał często swoją córkę, dziewczynkę znaną na statku korsarskim, i mówił o niej z dziwnym porywem ojcowskiej tkliwości. „Wyrosła pewnie na dużą dziewczynę, cztery lata prawie jej nie widziałem! No, Almayer, niech mnie diabli porwą, jeśli nie znajdziemy się tym razem w Surabai!” Po takim oświadczeniu dawał zwykle nurka do swojej kabiny mruczając pod nosem:

„Trzeba coś z tym zrobić — trzeba koniecznie!” Zadziwił Almayera kilkakrotnie swoim zachowaniem: podchodzi? szybko do niego, chrząkał potężnie, jakby chcąc coś powiedzieć, a potem nagle zawracał na pięcie i opierał się milcząc o parapet; godzinami całymi śledził bez ruchu blask i iskrzenie się fosforyzujących fal wzdłuż statku. Ostatniej nocy, przed samym przybyciem do Surabai, jedna z takich prób zwierzeń udała się nareszcie. Odchrząknawszy kilkakrotnie Lingard przemówił odsłaniając swój zamiar. Oto chciał ożenić Almayera ze swoją przybraną córką. „Tylko mi się nie stawiaj, dlatego żeś biały! — wybuchnął nagle, nie dając przyjsć do słowa zdumionemu młodzieńcowi. — Ze mną to się na nic nie zda. Nikt nie zauważy, jaką twoja żona ma skórę — od czegoś dolary! Ja ci to mówię! I zapamiętaj sobie, będzie ich grubo więcej jeszcze, zanim umrę. Miliony, słyszysz, Kasprze? miliony! A wszystko dla niej i dla ciebie, jeżeli zrobisz, co ci każe.”

Zaskoczony tą nieoczekiwaną propozycją, Almayer zawahał się i zamilkł na chwilę. Wyobraźnię miał bujną i ruchliwą; w mgnieniu oka ujrzał — niby w błysku olśniewającego światła — ogromne stopy błyszczących guldenów i uświadomił sobie wszelkie rozkosze płynące z bogactwa. Ogólne uznanie, błogość bezczynnej egzystencji, do której czuł się wprost stworzony, własne okręty, domy handlowe, towary (stary Lingard nie będzie przecież

żył wiecznie) — a wreszcie korona wszystkich marzeń: w dalszej przyszłości — niby czarodziejski pałac z bajki — wielki dom w Amsterdamie, tym ziemskim kraju jego snów. Wyniesiony na mocarza przez pieniądze starego Lingarda, spędzi tam koniec życia w niewypowiedzianej wspaniałości. Co do odwrotnej strony medalu — związania się na całe życie z malajską dziewczyną — tym spadkiem po korsarskim statku — miał tylko niejasną świadomość wstydu, że on, człowiek biały No ale czteroletnie wychowanie w klasztorze coś przecież znaczy! A potem — może ją los jakoś uprzątnie. Szczęście sprzyjało mu zawsze, a pieniądz to potęga! Trzeba przejść przez to. A może?... Mignęła mu niejasna myśl, aby ją gdziekolwiek zamknąć, usunąć poza ramy jego wspaniałej przyszłości. Z malajską dziewczyną łatwo sobie poradzi — klasztor nie klasztor, ślub nie ślub — ostatecznie to niewolnica według jego wschodnich pojęć.

Podniósł głowę i spojrzał w oczy żeglarzowi, który czekał, rozdrażniony i niespokojny.

— Ja, naturalnie, wszystko, czego pan sobie życzy, kapitanie Lingard...

— Nazywaj mnie ojcem, mój chłopcze, tak jak ona! — rozczulił się stary awanturnik. — Do diabła, myślałem, że chcesz odmówić! Widzisz, Kasprze, to by się i tak na nic nie przydało, bo ja zawsze dopnę swego. Ale ty nie jesteś głupi!

Pamiętał dobrze tę chwilę: spojrzenie, wyraz twarzy Lingarda, jego słowa, wrażenie, jakiego doznał, a nawet wszystko, co ich otaczało. Pamiętał wąski, pochyły pokład brygu, śpiące cicho wybrzeże i gładką, czarną powierzchnię morza, na której wschodzący księżyc kładł wielką sztabę złota. Pamiętał także uczucie szalonego uniesienia na myśl o cisnących mu się do rąk bogactwach. Nie był głupi ani wtedy, ani dzisiaj. Los zawział się na niego; przepadły bogactwa, ale została jeszcze nadzieja.

Nocne powietrze przejęło go dreszczem; uświadomił sobie nagle głęboką ciemność, która po zniknięciu słońca zawisła nad ręką chłonąc zarysy przeciwległego brzegu. Tylko stos suchych gałęzi zapalony przed ostrokołem otaczającym podwórzec radży oświetlał raz po raz chropawe pnie najbliższych drzew i rzucał na wodę plamę gorącej czerwieni aż po sam środek rzeki, gdzie w nieprzeniknionym mroku mknęły spiesznie ku morzu kłody unoszone wartkim prądem. Jak przez mgłę przypomniiał się Almayerowi głos żony nawołujący go kilkakrotnie — pewno na obiad. Ale człowiek, który rozpamiętywa bankructwo swojej przeszłości w brzasku wskrzeszonych nadziei, nie może być głodny na zawołanie tytko dlatego, że ryż czeka na stole. Czas jednak do domu — późno już.

Skierował się ku drabinie stąpając ostrożnie po luźnych deskach. Spłoszona krokami jaszczurka pisnęła żałośnie i pomknęła przez wysoką trawę porastającą brzegi. Almayer

zszedł powoli z drabiny; musiał skupić całą uwagę, aby nie potknąć się na nierównym gruncie, i to go zupełnie otrzeźwiło. Kamienie, zgniłe deski, nie dopiłowane belki leżały tu stosami w najwyższym nieładzie. Zwrócił się w stronę tak zwanego „starego domu”, gdzie było jego mieszkanie, i w tej chwili właśnie usłyszał w ciemnościach daleki plusk wiosła. Przystanął na ścieżce, zdumiony, że ktoś płynie wezbraną rzeką o tak późnej godzinie. Teraz słyszał już wyraźnie uderzenia wiosła, a nawet kilka słów zamienionych spieszenie przyciszonym głosem i ciężki oddech ludzi walczących z prądem tuż przy brzegu, gdzie się zatrzymał. Za ciemno było jednak, aby mógł rozróżnić cokolwiek pod zwisającymi krzakami.

— Pewno Arabowie — mruknął starając się przeniknąć gęste ciemności — co oni tu robią tak późno? To muszą być sprawki tego przekłętą Abdulli, oby szczeł marnie!

Łódka była już bardzo blisko.

— *Oh, ja!*⁵ Kto tam! — krzyknął Almayer.

Szmer głosów przycichł, lecz wiosła pracowały równie gwałtownie jak przedtem. Wtem zatrzęsł się krzak tuż przed Almayerem i łoskot wiosła rzuconych na dno łodzi rozdarł cichość nocy. Wioślarz uchwycił się zwisających gałęzi, lecz mimo to Almayer zaledwie mógł rozeznac ciemny zarys głowy i ramion wystający nad brzegiem.

— Czy to ty, Abdullo? — spytał niepewnie.

Poważny głos odpowiedział:

— Tuan⁶ Almayer mówi do przyjaciela. Nie ma tu żadnego Araba.

Almayerowi serce targnęło się w piersi.

— Dain! — krzyknął — nareszcie! nareszcie! wyczekiwałem cię co dnia i co nocy! Straciłem już prawie nadzieję!

— Nic nie mogłoby wstrzymać mnie od powrotu — odparł tamten niemal gwałtownie. — Nawet śmierć — szepnął do siebie.

— Tak mówi przyjaciel, prawdziwy przyjaciel! — zawołał serdecznie Almayer. — [Ale popłynęliście za daleko.] Każ przybić do przystani, niech twoi ludzie ugotują sobie ryżu w *kampungu*⁷, a my przez ten czas porozmawiamy.

Nie było odpowiedzi na to zapytanie.

— Cóż to znaczy? — spytał niespokojnie Almayer. — Mam nadzieję, że brygowi nic się nie stało?

5 hej! (mal.)

6 pan (mal.)

7 Kampung — (mal.) — gospodarstwo, obejście.

— Bryg znajduje się tam, gdzie żaden *orang Belanda*⁸ nie może go osiągnąć — rzekł Dain ponuro, lecz Almayer, uniesiony radością, nie zauważył jego tonu.

— To dobrze. Ale gdzież wszyscy twoi ludzie? Dwóch tylko masz z sobą.

— Posłuchaj mnie, tuanie Almayer — rzekł Dain. — Jutrzejsze słońce ujrzy mnie w twoim domu i będziemy wtedy rozmawiali, ale teraz muszę jechać do radży.

— Do radży? dlaczego? czegoś chcesz od Lakamby?

— Tuanic. pomówimy jutro jak przyjaciele. Muszę widzieć Lakambę jeszcze dziś w nocy.

— Dainie, ty nie opuścisz mnie teraz, kiedy wszystko już gotowe! — zawołał Almayer błagalnym tonem.

— Czyż nie powróciłem? Ale muszę się widzieć z Lakambą, dla mojego i twojego dobra.

Ciemny zarys głowy znikł nagle znad brzegu. Krzew, uwolniony z rąk wiosłarza, odgiął się wstecz z szelestem, opryskując deszczem błotnistych kropel Almayera, który pochylił się naprzód, aby dojrzeć cośkolwiek.

Po chwili łódź znalazła się w smudze światła padającego na rzekę od wielkiego ogniska na przeciwległym brzegu. Można było teraz rozróżnić sylwetki dwóch ludzi pochylnych nad wiosłami; trzeci zaś, wymachujący wiosłem u steru, wyglądał w olbrzymim, płaskim kapeluszu jak grzyb fantastycznej wielkości.

Almayer śledził łódź, póki nie znikła za smugą światła. Wkrótce gwar wielu głosów dosięgnął go przez rzekę. Widział, jak wyciągano z ogniska płonące główne, które oświetliły na chwilę wrota w ostrokole i tłoczących się ludzi. Po chwili weszli widocznie do środka, gdyż pochodnie znikły, a rozproszony ogień świecił przyćmionym i dorywczym blaskiem.

Ruszył wielkimi krokami ku domowi, pełen nieokreślonej troski. Niemożliwe, aby Dain knuł coś przeciw niemu; to przypuszczenie było bez sensu. I Dainowi, i Lakambie zanadto zależało na pomyślnym przeprowadzeniu planu obmyślnego przez Almayera. Wprawdzie Malajom zbytnio wierzyć nie można, ale przecież i oni mają jakiś zdrowy rozsądek i zrozumienie własnego interesu. Wszystko będzie dobrze, musi być dobrze. Doszedłszy do tego wniosku znalazł się u stóp schodów prowadzących na werandę. Z nisko położonego miejsca, gdzie stał, mógł widzieć oba ramiona rzeki. Główna odnoga Pantai gubiła się w ciemnościach, gdyż ogień pod ostrokołem radży już wygasł, natomiast w górę ku Sembirowi można było rozróżnić długi szereg chat malajskich skupionych przy brzegu; gdzieniegdzie migotało przyćmione światełko przez bambusową ścianę lub też paliły się

8 Holender (mal.)

dymiące pochodnie na pomostach nad wodą. Jeszcze dalej, tam gdzie wyspa przechodziła w płaską skałę, piętrzyła się nad chatami ciemna masa budynków; ożywiały ją liczne światła o białym i silnym blasku pochodzącym widocznie od lamp naftowych. Była to posiadłość Abdulli ben Selima, najbogatszego kupca w Sembirze. Wśród wolnej przestrzeni stał jego dom, zbudowany trwale na skalistym podłożu i otoczony składami towarów. Dla Almayera był to widok nienawistny. Wyciągnął ściśniętą pięść ku budynkom, które z wyżyn swego dobrobytu zdawały się spoglądać ku niemu zimno i wyzywająco, naigrawając się z jego upadku.

Zaczął wstępować powoli na schody swojego domu.

W pośrodku werandy stał okrągły stół, a na nim lampa bez klosza rzucała jaskrawy blask na trzy ściany. Czwarta strona werandy, otwarta, wychodziła na rzekę. Między grubo ociosanymi słupami podtrzymującymi wysoki spadzisty dach wisiały podarte zasłony z rotanu. Sufitu nie było wcale; ostre światło lampy przechodziło u góry w łagodny półcień, a jeszcze wyżej] krokwie ginęły w zupełnym mroku. Środkową ścianę przecinała czerwona firanka zasłaniająca wyjście na korytarz, który łączył się drzwiami z pokojem kobiet i prowadził dalej do szopy kuchennej i podwórza. W jednej z bocznych ścian były drzwi z na wpół zatartym napisem: „Biuro: Lingard i Sp.”; pokryte warstwą kurzu wyglądały, jakby ich przez wiele lat nikt nie otwierał. Pod przeciwległą ścianą stał bujający fotel z giętego drzewa, zaś naokoło stołu i dalej, rozrzucone po werandzie, błąkały się cztery drewniane fotele niby wstydząc się marnego otoczenia. Stos mat leżał w kącie; nad nimi wisiał ukośnie stary hamak. W drugim rogu spał na podłodze Malaj zwinięty w kłębek, z głową obwiązaną szmatą z czerwonego perkalu. Był to jeden z domowych niewolników Almayera, jego „własnych ludzi”, jak ich nazywał. Liczne i świetne grono ciem płaśło zapamiętałe naokoło lampy w takt skocznej przygrywki moskitów unoszących się rojami. Pod strzechą z palmowych liści jaszczurki biegały po belkach nawołując się łagodnie. Małpka uwiązana na łańcuchu u jednego ze słupów podpierających werandę wyjrzała zza okapu, gdzie była jej nocna kryjówka; strojąc przyjazne miny do Almayera zawisła na pręcie bambusowym sterczącym ze strzechy i strząsnęła obfity deszcz kurzu i okruchów zeschniętych liści, które osiadły na odrapanym stole. Jakieś zwiędłe rośliny leżały na nierównej podłodze pokrytej zeschniętym błotem. Zanedbanie i niechlujstwo wyzierały z każdego kąta. [Wielkie, czerwone plamy na podłodze i ścianach świadczyły o częstym żuciu betelu⁹.] Od rzeki szedł lekki powiew i

9 Betel — szeroko rozpowszechniony na Malajach środek do żucia, o gorzko-aromatycznym smaku, składający się z orzeszków palmy areka i szczypty wyprążonego wapna, owiniętych w liście betelu, rośliny *Piper betle*.

kołysał łagodnie postrzępione zasłony, niosąc z przeciwległych lasów nikły i mdły zapach jakby przekwitłych kwiatów.

Podłoga werandy zaskrzypiała głośno pod ciężkimi krokami Almayera. Śpiący w kącie Malaj poruszył się niespokojnie, mrużąc jakieś niewyraźne słowa. Coś zaszeleściło za firanką zakrywającą drzwi i łagodny głos spytał po malajsku: „Czy to ty, ojczu?”

— To ja, Nino. Głodny jestem. Czy wszyscy już śpią w tym domu? — rzekł wesoło Almayer i z westchnieniem ulgi osunął się na fotel stojący najbliżej stołu.

Nina Almayer ukazała się w przejściu zasłoniętym firanką, a za nią weszła stara kobieta malajska i zakrzętnęła się koło stołu: ustawiła półmisek z ryżem i rybami, dzban z wodą i pół butelki jałowcówki. Umieściwszy troskliwie przed swym panem pękniętą szklanę i łyżkę cynową oddaliła się bez szelestu. Nina stała oparta o brzeg stołu, z ręką opuszczoną bezwolnie wzdłuż ciała. Wyraz niecierpliwego oczekiwania malował się na jej twarzy, zwróconej ku ciemnościom, skroś których jej marzące oczy zdawały się dostrzegać jakiś czarowny obraz. Wzrostu wysokiego jak na dziewczynę krwi mieszanej), miała regularny profil ojca, jednak zmieniony i bardziej zdecydowany dzięki kwadratowemu zarysowi podbródka odziedziczonego po przodkach matki, korsarzach z plemienia Sulu. Stanowczy łuk ust i błysk białych zębów między rozchylonymi wargami nadawały pewien odcień dzikości niecierpliwemu wyrazowi jej twarzy. A jednak prześliczne, ciemne jej oczy jaśniały tkliwą słodyczą właściwą kobietom malajskim, lecz ożywioną promieniem wyższej inteligencji. Oczy te spoglądały poważnie, szeroko rozwarte i nieruchome, jakby zapatrzone w coś niewidzialnego dla wszystkich innych oczu, gdy stała tak, cała w bieli, prosta i gibka, nieświadoma swojego czaru. Nad niskim, szerokim jej czołem lśnił przepych czarnych włosów, które w ciężkich splotach spływały na barki, potęgując jeszcze oliwkową bladość cery w czarnym jak węgiel obramowaniu.

Almayer zabrał się chciwie do ryżu, ale już po paru łykach przerwał jedzenie i z łyżką w ręku spojrzał ciekawie na córkę.

— Czy słyszałaś, jak przejeżdżała tędy łódź z pół godziny temu? — zapytał.

Dziewczyna szybko rzuciła na niego wzrokiem i odwróciła się od stołu, stając tyłem do światła.

— Nie — odpowiedziała powoli.

— Łódź przejeżdżała. Nareszcie! to był Dain. Pojechał teraz do Lakamby: sam mi to powiedział. Mówiłem z nim, ale nie chciał przyjść dzisiaj. Będzie tu dopiero jutro rano.

Połknął znów łyżkę ryżu i mówił dalej:

— Jestem dziś prawie szczęśliwy, Nino! Widzę nareszcie kres długiej drogi, która

wyprowadzi nas z tego nędznego bagna. Wydostaniemy się stąd prędko, moja droga dziewczynko, a wtedy...

Podniósł się i utkwiał wzrok w przestrzeni, jakby wpatrzony w czarującą jakąś wizję.

— A wtedy — mówił dalej — będziemy szczęśliwi oboje, i ty, i ja. Będziemy żyli daleko stąd w bogactwie i szacunku. Zapomnimy o tym, co było, o wszystkich walkach, o całej tej nędzy!

Zbliżył się do córki i pieszczotliwie pogładził ją po włosach.

— Złe jest, gdy trzeba pokładać wiarę w Malaju. ale muszę przyznać, że ten Dain to dżentelmen, prawdziwy dżentelmen — powtórzył.

— Czy prosiłeś go, żeby tu przyszedł? — zapytała Nina nie patrząc na ojca.

— Naturalnie! Wyjedziemy pojutrze — rzekł radośnie. — Nie trzeba tracić ani chwili. No cóż, szczęśliwa jesteś, moja ty malutka?

Dorównywała prawie wzrostem ojcu, ale lubił przypominać sobie czasy jej dzieciństwa, kiedy byli dla siebie wszystkim.

— Jestem szczęśliwa — odrzekła bardzo cicho.

— Naturalnie — ciągnął żywo Almayer — nie możesz sobie nawet wyobrazić, co cię czeka! Ja sam nie byłem w Europie, ale nasłuchałem się tylu opowiadań mojej matki! Wydaje mi się, że znam wszystko doskonale. Będziemy tam żyli jak — jak — no po prostu wspaniale. Zobaczysz!

I znów stał milcząc obok córki, wpatrzony w tę czarującą wizję. Po chwili wyciągnął zaciśniętą pięść w kierunku śpiącej osady.

— No, mój przyjacielu Abdullo — zawołał — zobaczymy na koniec po tylu latach, czyje będzie na wierzchu!

Popatrzył w górę rzeki i zauważył spokojnie:

— Znów będzie burza. A niech tam! Żaden piorun mnie dziś nie zbudzi. Jestem pewien! Dobranoc, moja malutka — szepnął całując ją czule w policzek. — Jakoś nie wyglądasz mi na bardzo szczęśliwą, ale jutro pokażesz weselszą twarzyczkę, co?

Nina słuchała ojca z tą warzą nieporuszoną patrząc spod przymkniętych powiek w ciemność, która stała się teraz jeszcze głębsza. Ciężka chmura spełzła ze wzgórz gasząc gwiazdy i stopiła niebo, las i rzekę w jedną masę prawie że dotykanej czerni. Lekki powiew od rzeki zamarł, lecz oddalony bełkot grzmotu i blade błyskawice ostrzegały o zbliżającej się burzy.

Z westchnieniem odwróciła się Nina ku stołowi. Almayer leżał już w hamaku, na wpół uśpiony.

— Zabierz lampę — mruknął zaspanym głosem. —

Pełno tu moskitów. Idź spać, córuchno.

Lecz Nina zgasiwszy lampę zwróciła się znów ku balustradzie i objęła ramieniem drewniany słup patrząc z natężeniem ku rzece. Stała nieruchomo wśród przygniatającej ciszy nocy podzwrotnikowej, a każda błyskawica ukazywała jej oczom górny bieg Pantai. Las po obu stronach rzeki giął się pod wściekłym podmuchem nadciągającej burzy, schłostane wichrem fale pokryła biała piana, a czarne chmury o dziwacznie poszarpanych kształtach wlokły się nisko nad rozkołysanymi drzewami. Wokół Niny wszystko było jeszcze ciszą i spokojem, lecz z oddali dochodziło już wycie wichru, plusk ulewnego deszczu i szum dręczonej rzeki. Burza zbliżała się coraz bardziej wśród rozgłośnych grzmotów i przeciągłych, jaskrawych błyskawic, po których nastawały krótkie chwile przerażającego mroku. Gdy dosięgło niskiego przylądka między dwoma ramionami Pantai, dom zatrzęsł się od wichury, rozległ się chlupot deszczu bijącego o dach z liści palmowych, a grom przemówił jednym, ciągłym rykiem. Nieustanne błyskawice ukazywały odmęty rozkołysanych fal, rozpędzone kłody i wielkie drzewa gnące się przed brutalną i bezlitosną siłą.

Nieczuły na szalejący nocą muson i ulewę, ojciec Niny spał spokojnie, nie pomnąc jednak swoich klęsk i nadziei, przyjaciół i wrogów; a córka stała bez ruchu, za każdym błyskiem piorunu niecierpliwie ogarniając szeroką rzekę badawczym, niespokojnym spojrzeniem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Almayer zgodził się zaślubić malajską dziewczynę ulegając nagłemu żądaniu Lingarda, tragiczne jej dzieje nie były znane nikomu. Nie wiadano, że zajmująca młoda Malajka, tak niedawno ochrzczona, walczyła rozpaczliwie na pokładzie wraz z innymi korsarzami owego dnia, gdy straciwszy wszystkich swoich bliskich zyskała białego ojca. Tylko ciężka rana w nodze przeszkodziła jej rzucić się w morze za przykładem kilku korsarzy pozostałych przy życiu. Stary Lingard znalazł ją na przednim pokładzie pod stosem martwych i konających i kazał przenieść na „Błyskawicę”, a statek malajski podpalamo puszczając go na los fal.

Młoda Malajka była przytomna. Wśród wielkiego spokoju i ciszy, która zapadła po zamęcie bitwy w ten wieczór podzwrotnikowy, chłonęła wzrokiem statek malajski oddalający się w ciemność wśród huku płomieni i kłębów dymu; zabierał wszystko, co miała najdroższego, do czego lgnęła w swój dziki sposób. Nie czuła troskliwych rąk opatrujących jej ranę; wpatrywała się milcząc w stos śmiertelny tych mężnych ludzi, tych uwielbianych wojowników, którym tak dzielnie pomagała w walce z groźnym *Radją Laut*.

Lekki powiew nocny pędził bryg łagodnie ku południowi. Wielka luna mała coraz bardziej, aż zabłysła na horyzoncie niby zachodząca gwiazda i znikła. Ciężki baldachim dymu odbijał jeszcze przez krótki czas jaskrawy blask ukrytych płomieni, lecz i on rozwiął się niebawem.

Młoda Malajka rozumiała, że wraz z tym zagasłym blaskiem przepadło i dawne jej życie. Odtąd czeka ją niewola w dalekich krajach, między obcymi, w otoczeniu nieznanym, a może nawet i strasznym. [Mając już lat czternaście zdawała sobie jasno sprawę z położenia; przysła do wniosku jedynie możliwego dla malajskiej dziewczyny, dojrzałej wcześniej w żarze tropikalnego słońca i świadomej swych wdzięków, które wzbudzały głośny zachwyty wśród młodych dzielnych wojowników załogi jej ojca.] Przejmował ją strach przed nieznanym; zresztą zniosła swój los spokojnie, w sposób właściwy malajskiej rasie, a nawet uważała wszystko za zupełnie naturalne: czyż nie była córką wojownika zdobytą w boju? czy nie należała z prawa do zwycięskiego radży? Nawet widoczna łaskawość groźnego starca pochodziła w jej przekonaniu z podziwu dla branki: polectana jej próżność łagodziła męczarnie rozpaczy po tej okropnej klęsce. Gdyby była znała wysoki mur, ciche ogrody i milczące mniszki klasztoru w Semarangu, dokąd przeznaczenie miało ją zaprowadzić, szukałaby może śmierci w porywie przerażenia i wstrętu do takiej niewoli. Ale w wyobraźni

jawił się przed nią zwykły tryb życia malajskiej dziewczyny: kolejne następstwo ciężkiej pracy i płomiennej miłości, intryg, złotych ozdób, harowania przy gospodarstwie i wielkiego, choć tajemnego wpływu, który jest jednym z niewielu przywilejów półdzikiej kobiety. Tymczasem stary wilk morski postąpił jak zwykle według bezwiednych porywów serca. Ujął w szorstkie ręce los młodej Malajki i pokierował nim w dziwny i straszny dla niej sposób. Zniosła z uległością zamknięcie w klasztorze i naukę, i nową wiarę, kryjąc nienawiść i pogardę dla tego obcego życia. Języka nauczyła się prędko, ale nie rozumiała nowej wiary, którą wpajały w nią zacne siostry: z religii przyswoiła sobie szybko tylko to, co w niej było z zabobonu. Nazywała Lingarda ojcem wdzięcząc się do niego pieszczotliwie podczas wszystkich jego wizyt, krótkich a hałaśliwych: zdawała sobie jasno sprawę, że jest to wielka i niebezpieczna potęga, którą należy ugłaskać. Czyż nie był teraz jej władcą? I w ciągu tych długich czterech lat żywiła nadzieję, że znalazłszy łaskę w jego oczach zostanie ostatecznie jego żoną, doradczynią i przewodniczką

Król Morza rozproszył te marzenia u przyszłości wypowiadając swoje fiat¹⁰, które olśniło Almayera nadzieją wielkiej przyszłości. Młoda Malajka, ubrana z nienawistnym sobie europejskim wykwinem, znalazła się przed ołtarzem [wśród grona zaciekawionych widzów z batawjskiego towarzystwa,] obok niej zaś stanął nie znany jej młody człowiek o skwaszonej minie. Almayer bowiem był niespokojny, przejęty niesmakiem i wielce skłonny do ucieczki. Roztropny strach przed przybranym ojcem i wzgląd na własny dobrobyt powstrzymały go od skandalu; ale zaprzysięgając wierność snuł już plany, jakby się pozbyć prędzej czy później tej ładnej malajskiej dziewczyny. Jednak Malajka zapamiętała na tyle klasztorną naukę, aby zrozumieć, że zgodnie z prawami białych ludzi miała zostać towarzyszką Almayera, a nie jego niewolnicą, i przyrzekła sobie odpowiednio do tego postępować.

„Błyskawica”, załadowana materiałem na budowę nowego domu, opuściła przystań w Batawii zabierając nowożeńców na nieznaną Borneo; na jej pokładzie nie było jednak miłości i szczęścia, choć opowiadał tak stary Lingard chępiąc się młodą parą wobec przygodnych przyjaciół po werandach różnych hoteli. Stary żeglarz natomiast czuł się idealnie szczęśliwy. Wypełnił na koniec swój obowiązek względem dziewczyny. „Wiecie przecież, przeze mnie została sierotą”, kończył uroczyście gawędy o interesach, rozprawiając jak zwykle w przypadkowym towarzystwie łazęgów z wybrzeża. Wykrzyki uznania na wpół pijanych słuchaczy napępniały prostą jego duszę rozkoszą i dumą. „Ja potrafią przeprowadzić wszystko, co tylko zechcę”, było także ulubionym jego powiedzeniem; stosując się do tej zasady przyśpieszał gorączkowo budowę domu i składów nad rzeką Pantai. Dom

10 dosł. „niech się stanie” (łac.), tu w znaczeniu: „wola”.

przeznaczony był dla młodej pary, a składy dla wielkiego handlu, który miał się rozwinąć pod kierownictwem Almayera. Natomiast on, Lingard, będzie mógł oddać się całkowicie pewnemu tajemniczemu przedsięwzięciu. Mówiło się o nim tylko półsłówkami, lecz wiedziano, że chodzi o złoto i diamenty w głębi wyspy. Almayer gorączkował się również. Gdyby był wiedział, co go czeka, nie śledziłby z takim upragnieniem i nadzieją ostatniej łódki z wyprawy Lingarda, znikającej na zakręcie w górze rzeki. Gdy obejrzał się wokoło i ogarnął wzrokiem ładny domek; wielkie składy budowane porządnie przez całą armię chińskich cieśli i nowy pomost, u którego skupiały się łodzie handlowe, porwało go nagle uniesienie na myśl, że cały świat do niego należy.

Ale świat trzeba było wpierw zdobyć, a zdobycie to nie było tak łatwe, jak mu się zdawało. Bardzo prędko dano mu do zrozumienia, że nie jest wcale pożądany w tym zakątku świata, gdzie umieścił go Lingard i własna jego słaba wola; w tym gnieździe intryg nie przebierających w środkach i zacieklego współzawodnictwa w handlu. Arabowie odkryli niebawem wjazd do rzeki i założyli osadę w Sembirze, a gdziekolwiek handlowali, chcieli być panami u siebie i nie tolerowali żadnej konkurencji. Pierwsza wyprawa Lingarda nie powiodła się; wyruszył po raz drugi, wydając na tajemnicze podróże wszystkie zyski osiągnięte z jawnie prowadzonego handlu. Almayer pasował się z trudnościami swojego położenia, pozbawiony przyjaciół i wszelkiej pomocy; jedynym jego opiekunem — przez wzgląd na Lingarda — był stary radza, poprzednik Lakamby. Sam Lakamba mieszkał wtedy jako człowiek prywatny w środku ryżowej polanki położonej siedem mil niżej nad rzeką i używał całego swojego wpływu, aby pomagać nieprzyjaciółom białego człowieka; knuł spiski przeciw staremu radzy i Almayerowi kombinując przy tym z nie zawodzącą nigdy pewnością, która świadczyła jasno o wtajemniczeniu w najskrytsze ich sprawy. Na pozór usposobiony był przyjaźnie. Okazała postać Mała j a widywano często na werandzie Almayera; zielony jego turban i kaftan złotem szyty jaśniały w pierwszym rzędzie tłumu spokojnych i godnych Malajów, którzy przychodzili pozdrowić Lingarda wracającego z głębi wyspy. Pokłony Lakamby były najniższe, a uściski ręki należały do najserdeczniejszych, gdy witał starego kupca, lecz małe jego oczki umiały zawsze dostrzec, jaka jest sytuacja w danej chwili. Opuszczając dom Almayera z przelotnym uśmiechem zadowolenia, udawał się na długie narady do przyjaciela swojego i współnika — szefa handlowej stacji arabskiej — Saida Abdulli, który był człowiekiem bardzo możnym i cieszył się potężnym wpływem na wyspach okolicznych.

W osadzie wiedziano wtedy powszechnie, że odwiedziny Lakamby w domu Almayera nie ograniczały się do tych oficjalnych wizyt. W nocie księżycowe zapóźnieni rybacy z

Sembiru widywali często czółenka wymykające się z wąskiej zatoki za domem białego człowieka; samotny wioślarz płynął ostrożnie w dół rzeki trzymając się głębokiego cienia wzdłuż brzegu. Zdarzenia te, z których sumiennie zdawano sprawę, roztrząsane były do późnej nocy wokół ognisk wieczornych z cynizmem określeń zwykłym u Malajów [arystokratycznego pochodzenia i z złośliwym zadowoleniem z domowych nieszczęść *orang Belanda* — znenawidzonego Holendra]. Almayer walczył wciąż rozpaczliwie, lecz chwiejność jego zamiarów pozbawiła go wszelkiej możliwości powodzenia wobec ludzi tak bezwzględnych i zdecydowanych na wszystko jak przeciwnicy jego — Arabowie. Handel zamierał stopniowo w obszernych składach; budynki zaczęły miejscami butwieć. Bankier starego marynarza Hudig z Makassaru zbankrutował; wskutek tego przepadł cały kapitał, którym można było rozporządzać. Dochody z ubiegłych lat pochłonęła odkrywcza mania Lingarda. Stary żeglarz przebywał wtedy w głębi wyspy — może już nie żył — a w każdym razie nie dawał znaku o sobie. Almayer pozostał sam wśród tych wrogich okoliczności: jedyna jego osłoda było towarzystwo sześciolatniej córeczki, która urodziła się w dwa lata po ślubie. Żona Almayera zaczęła go wkrótce traktować z dziką pogardą zaznaczając się ponurym milczeniem, urozmaicanym przy sposobności potokiem wściekłych obelg. Czuł, że ta kobieta go nie znosi. Widział nieraz zawistne jej oczy śledzące dziecko i jego z wyrazem prawie wrogim: zazdrosna była o dziewczynkę, która okazywała ojcu więcej przywiązania. Almayer nic czuł się bezpieczny z tą kobietą pod jednym dachem. Zdarzało się nieraz, że w szale bezmyślnej nienawiści do wszystkich oznak cywilizacji paliła meble i zdzierała firanki, podczas gdy Almayer, przerażony tymi wybuchami dzikości, rozmyślał w milczeniu, jaką drogą mógłby się jej najłatwiej pozbyć. Wszelkie możliwe sposoby przewinęły mu się przez głowę, snuł nawet plan morderstwa, chwiejny i niejasny, jednak na czyn się nie odważył oczekując lada dzień powrotu Lingarda z wieścią o jakimś niesłychanym powodzeniu. Król Morza rzeczywiście powrócił, lecz postarzały i chory — cień dawnego Lingarda — z płomieniem gorączki w zapadłych oczach; z licznej wyprawy prawie on jeden ocalał. Ale powiodło mu się nareszcie! Nieprzebrane skarby były w jego łęku: potrzebował tylko więcej pieniędzy — trochę więcej jeszcze — aby urzeczywistnić marzenie o bajecznej fortunie. A Hudig tymczasem zbankrutował! Almayer zgarnął wszystko, co tylko mógł, lecz stary żeglarz potrzebował więcej jeszcze, jeśli Almayer nie będzie mógł mu dopomóc, pojedzie do Singapuru, a nawet do Europy, lecz przede wszystkim do Singapuru i weźmie z sobą małą Ninę. Dziecko musi otrzymać przyzwoite wychowanie. W Singapurze mieszkają dobrzy przyjaciele Lingarda, którzy zajmą się małą i dopilnują jej wykształcenia. Wszystko pójdzie dobrze i dziewczynka — na którą stary żeglarz zdawał się przenosić swoją dawną miłość do

jej matki — będzie najbogatszą kobietą na wschodzie, a nawet na całym świecie. Tak wykrzykiwał stary Lingard; obdarty, rozczochrany, uniesiony zapalem, wymachiwał cygarem chodząc po werandzie ciężkim krokiem przyzwyczajonym do mierzenia pokładu; Almayer zaś siedział skulony na stosie mat i myślał z trwogą o rozstaniu z jedyną istotą, którą kochał. Może większym jeszcze przerażeniem przejmowała go myśl o nieuniknionym przejściu z żoną, dziką tygryską, której miał wydrzeć młode. „Otruje mnie”, myślał nieborak, znając dobrze ten łatwy i ostateczny sposób rozwiązywania wszelkich zagadnień życia Malajów: społecznych, politycznych czy też rodzinnych. Ku wielkiemu zdumieniu Almayera żona jego przyjęła tę wiadomość bardzo spokojnie, spojrzała tylko ukradkiem na męża i na Lingarda nie mówiąc ani słowa. To jednak nie przeszkodziło jej nazajutrz skoczyć do rzeki i płynąć za łódką, w której Lingard uwoził niańkę z płaczącym dzieckiem. Almayer musiał ścigać żonę w myśliwskim czólnie i wyciągać ją z wody za włosy wśród wrzasków i przekleństw, od których zdawało się, że niebo pęknie. Ale po dwu dniach, spędzonych na zawodzeniu, wróciła do poprzedniego trybu życia i żując betel siedziała cały dzień wśród swoich kobiet pogrążona w tępym lenistwie. Od tego czasu zaczęła się szybko starzeć budząc się z odrętwienia PO to jedynie, aby rzucić mężowi jadowitą uwagę czy obelżywy wykrzyk, gdy się wypadkiem znalazł w jej obecności. Almayer zbudował dla żony szałas w podwórzu nad rzeką, gdzie żyła w zupełnym odosobnieniu. Wizyty Lakamby ustały z chwilą, gdy stary władca Sembiru rozstał się z tym światem wskutek odnośnego dekretu Opatrzności, popartego drobną leczniczą manipulacją. Lakamba objął po nim rządy, do czego przyczynili się u władz holenderskich życzliwi mu Arabowie. Said Abdulla był pierwszą osobą i najpotężniejszym kupcem na całą Pantai. Zrujnowany i bezsilny Almayer, uwikłany w gęstej sieci ich knowań, zawdzięczał życie tylko przypuszczeniu, że posiada cenną tajemnicę Lingarda. A Lingard przepadł. Napisał raz z Singapuru donosząc, że dziecko ma się dobrze i pozostaje pod opieką niejakiej pani Vinck, a on sam jedzie do Europy, aby zebrać pieniądze na wielkie swoje przedsięwzięcie. „Wracam niezadługo. Nie będzie z tym żadnych trudności — pisał — ludzie rzucą się do mnie tłumnie z pieniędzmi. ‘Widocznie stało się inaczej: przyszedł od niego jeszcze jeden list, gdzie donosił, że jest chory, że krewni jego pomarli — i nic więcej. Nastąpiło zupełne milczenie. Europa najwidoczniej połknęła *Radja Laut*; na próżno spoglądał Almayer na zachód wypatrując promienia światła w mroku zawiedzionych nadziei. Mijały lata; z rzadka przychodziły listy od pani Vinck, potem od samej dziewczynki: była to jedyna rzecz, która czyniła życie znośnym wśród tryumfującego barbarzyństwa. Almayer żył teraz samotnie, nie odwiedzając nawet swoich dłużników; wiedział, że płacić nie myślą, pewni opieki Lakamby. Wierny Sumatrańczyk Ali gotował mu ryż i kawę, gdyż Almayer nie ufał

nikomu, a najmniej ze wszystkich własnej żonie. Zabijał czas blakając się smutnie po zarośniętych ścieżkach naokoło domu; obchodził także rozwalające się hale towarowe, gdzie kilka mosiężnych strzelb pokrytych grynszpanem i parę rozbitych pak z butwiejącymi perkalami przypominało mu dawne, dobre czasy. W halach przepelnionych towarem kipiało wtedy życie, a on stał na wybrzeżu obok swej córeczki i doglądał krzątających się ludzi. Teraz zaś łódki z wyżej położonych okolic omijały zmurszały pomost Lingarda i Sp., skupiając się w nowej przystani należącej do Abdulli. I to wcale nie z miłości do potężnego Araba; po prostu nikt nie miał odwagi prowadzić handlu z człowiekiem którego gwiazda zgasła. Taki kupiec nie mógłby się spodziewać litości ani od Arabów, ani od radzy; nie dostałby na kredyt ryżu w czasie przednówka, Almayer zaś nie byłby mu w stanie pomóc, bo czasem ledwie sam mógł się wyżywić. Pograżony w osamotnieniu i rozpacz, zazdrościł często swemu bliskiemu sąsiadowi Chińczykowi Djim Eng; widywał go nieraz rozciągniętego na stosie chłodnych mat, z drewnianą poduszką pod głową i fajką z opium w bezsilnych palcach. Almayer nie szukał jednak ukojenia w opium — może było to za kosztowne — może duma człowieka białego ratowała go od upadku — a najprawdopodobniej strzegła go myśl o córeczce w odległych Straits Settlements¹¹. Miewał o niej częstsze wiadomości, odkąd Abdulla kupił parowiec kursujący mniej więcej co trzy miesiące między Singapurem a osadą nad Pantai. Czuł się teraz bliżej córki. Tęsknił za jej widokiem i projektował podróż do Singapuru, lecz wyjazd swój z roku na rok odkładał oczekując ciągle jakiegoś pomyślnego zwrotu w swoim losie. Nie chciał powitać córki z pustymi rękoma, bez słów nadziei na ustach. Nie mógł skazywać jej na dziki tryb życia, jaki sam prowadził — a zarazem bał się jej trochę. Co też sobie o nim pomyśli? Zaczął liczyć lata. To już dojrzała kobieta wychowana w zachodniej cywilizacji, młoda i pełna nadziei; a on czuł się stary, zwątpiały i bardzo podobny do tych dzikich wokół siebie. Zadawał sobie pytanie, jaka będzie jej przyszłość? Nie mógł na to odpowiedzieć i nie śmiał myśleć o tym. A jednak tęsknił za córką. Latami ciągnęło się jego wahanie.

Niespodziane zjawienie się Niny w Sembirze położyło kres tej niepewności. Przyjechała na parowcu pod opieką kapitana. Almayer powitał ją ze zdumieniem nic pozbawionym podziwu. W ciągu tych lat dziesięciu wyrosła z dziecka na kobietę czarnowłosą, o cerze oliwkowej, wysmukłą i piękną. W wielkich, smutnych jej oczach o lęklwym wyrazie właściwym Malajkom przebijał odcień zadumy, dziedzictwo po przodkach europejskich. Almayer myślał z przerażeniem o spotkaniu żony z córką. Co sobie pomyśli to

¹¹ Straits Settlements (osady nad cieśniną, ang.) — nazwa brytyjskich posiadłości na wschodnim wybrzeżu Półwyspu Malajskiego, obejmujących Singapur i okolice nad cieśniną Malakka.

poważne dziewczę w sukni europejskiej o matce żującej betel, siedzącej w kucki w ciemnym szałasie, nieporządnej, półnagiej i ponurej? Obawiał się także wybuchu wściekłości ze strony tej jędzy; dotychczas umiał ją utrzymywać w jakim takim spokoju, ratując resztki swych potrzaskanych mebli. I stał teraz przed zamkniętymi drzwiami szałasu w oślepiającym blasku słońca przysłuchując się szmerowi głosów — zaciekawiony tym, co się wewnątrz dzieje. Wszystkie dziewczęta służebne zostały wyrzucone za drzwi na samym początku rozmowy i stały zbite w gromadkę przy ogrodzeniu, z twarzami na wpół zasłoniętymi, szczebiocząc z ciekawością i snując domysły.

Almayer zapamiętał się zupełnie, usiłując pochwycić choć jakieś luźne słowo przez bambusową ścianę; dopiero kapitan parowca, na którym przyjechała Nina, bojąc się słonecznego udaru dla niego, wziął go pod rękę i zaprowadził na werandę. Stał już tam kufer Niny, przyniesiony przez ludzi z parowca. Almayer usadowił kapitana Forda przed pełną szklanką, poczęstował go cygarem i zapytał zaraz o przyczynę niespodziewanego przyjazdu córki. Ale Ford niewiele miał do powiedzenia poza gwałtownie i niejasno formułowanymi ogólnikami o głupocie kobiet w ogóle, a pani Vinck w szczególności.

— Wiesz, Kasprze — rzekł na zakończenie do podnieconego Almayera — diabelnie głupio mieć w domu Metyskę. Wszędzie się trafiają idioci. Był tam ten młodzik z banku i ciągle jeździł do willi Vincków, i rano, i wieczorem. Stara myślała, że to chodzi o jej Emmę. Jak tylko wymiar kowala, co mu właściwie pachnie — dopiero się wrzask podniósł! no! mówię ci. Ani chwili dłużej nie chciała mieć Niny u siebie. Dowiedziałem się o tej historii i wzięłem dziewczynę do nas. Moja żona jest niezłą sobie kobieciną i — słowo daję — bylibyśmy ją zatrzymali przez wzgląd na ciebie, tylko że sama nie chciała zostać. No, no! nie unoś się, Kasprze. Siedź spokojnie, cóż na to możesz poradzić? Tak będzie lepiej — niech zostanie z wami. Nie była tam wcale szczęśliwa. Te dwie dziewczyny Vincków są mało co lepsze od tresowanych małp. Pogardały nią. Trudno, nie możesz zmienić jej skóry. I po co kłąć? nic ci to nie pomoże. To dobra dziewczyna pomimo wszystko, ale nie chciała nic mojej żonie powiedzieć. Chcesz, to jej się sam zapytaj, ale na twoim miejscu zostawiłbym ją w spokoju. O zapłatę za przyjazd niech cię głowa nie boli, mój stary, pewno jesteś kuso z pieniędzmi. — Tu kapitan rzucił cygaro i poszedł, aby „napędzić tych tam na statku”, jak się wyraził.

Almayer na próżno oczekiwał, że dowie się o przyczynie powrotu córki z jej własnych ust. Ani pierwszego dnia, ani też później nie wspomniała nigdy o swoim życiu w Singapurze. Bał się pytać, onieśmielony niewzruszonym spokojem jej twarzy, poważnym wyrazem oczu skierowanych w dal poza niego na wielkie, ciche lasy, spoczywające w majestatycznym śnie

przy wtórze szerokiej rzeki. Pogodził się ze skrytością córki, uszczęśliwiony jej przywiązaniem i opieką, jaką go otaczała. Stosunek Niny do ojca nie był jednak równy. Przychodziły na nią niekiedy, jak to nazywał, „złe dni”; odwiedzała wtedy matkę, przesiadując godzinami w szałasie nad rzeką. Wychodziła stamtąd równie niezbadana jak i przedtem, lecz w spojrzeniu jej przebijała pogarda, a wszelkie przemowy Almayera zbywała krótką odpowiedzią. Przyzwyczyił się nawet i do tego; zachowywał się cicho w takie dni nie okazując wielkiej trwogi, jaką w nim budził wpływ żony na córkę. Skądinąd Nina przystosowała się z zadziwiająco łatwością do warunków na wpół dzikiego, nędznego życia. Znosiła bez niechęci ani też widocznego wstrętu zaniedbanie, nieład, biedę panującą w domu, brak umeblowania i uprzykrzone potrawy z ryżu. Mieszkała z Almayerem w butwiejącym domku zbudowanym niegdyś przez Lingarda dla młodej pary. Malaje rozprawiali z ożywieniem o przybyciu Niny. Zdarzały się na początku tłumne najścia Malajek z dziećmi, domagających się natarczywie od młodej *mem putih*¹², aby udzieliła im *obat*¹³ na wszystkie choroby. Z nadejściem wieczornego chłodu poważni Arabowie w długich, białych koszulach i żółtych kaftanach bez rękawów kroczyli zwolna zapyloną ścieżką wzdłuż rzeki ku wrotom Almayera. Zaszczycając niewiernego uroczystymi odwiedzinami pod pierwszym lepszym pozorem jakiegoś interesu, myśleli tylko o tym, aby zerknąć na jego córkę — w sposób zresztą wysoce przyzwoity. Nawet Lakamba ukazał się spoza swego częstokołu olśniewając widzów orszakiem łodzi wojennych pod czerwonymi parasolami. Wylądował na zmurszałym pomoście firmy Lingard i Sp. i oświadczył, że przybywa, aby zakupić parę miedzianych strzelb na podarunek dla swego przyjaciela, wodza sembirskich Dajaków. Almayer, podejrzliwy, lecz uprzejmy, zajął się osobiście odgrzebywaniem starych strzelb w składach, a radża zasiadł w fotelu na werandzie, otoczony orszakiem przejętym czcią dla władcy, i czekał na próżno na pojawienie się Niny. Był to jeden z jej „złych dni”; pozostała w szałasie matki śledząc z daleka uroczyste ceregiele. Radża oddalił się, zawiedziony, lecz pełen dworności. Almayer zaś począł wkrótce zbierać owoce polepszonych stosunków z władcą w postaci odzyskania niektórych długów; zwrócili je wśród mnogich usprawiedliwień i wielu niskich pokłonów dłużnicy, których do tej pory uważał za beznadziejnie niewypłacalnych. Wobec tych pomyślniejszych okoliczności Almayer nabrał otuchy. Może jeszcze nie wszystko było stracone? Arabowie i Malaje przekonali się na koniec, że i on coś znaczy. I snując rozległe plany według swego zwyczaju, pogrążał się w marzeniach o wielkiej fortunie dla siebie i Niny. Dla niej przede wszystkim! Pod wpływem tych ozywczych podniet poprosił kapitana

12 biała pani (mal.)

13 lekarstwa (mal.)

Forda o napisanie do Anglii, do przyjaciół, z zapytaniem o Lingarda. Czy żyje czy też umarł? A jeśli nie żyje, czy nie zostawił jakichś papierów, dokumentów czy też wskazówek co do wielkiej swojej wyprawy? Almayer znalazł tymczasem wśród rupieci, w jednym z pustych pokojów, notatnik należący niegdyś do starego awanturnika. Wczytywał się w zawile pismo kartek i zamyślał się często nad nimi. Zaszły także i inne wypadki budzące go z odrętwienia. Założenie British Borneo Company¹⁴ wstrząsnęło całą wyspą ożywiając nawet ślimaczy nurt sembirskiego życia. Oczekiwano wielkich zmian, mówiono o aneksji; Arabowie byli coraz grzeczniejsi. Almayer rozpoczął budowę nowego domu na użytek przyszłych inżynierów, agentów lub osadników nowej spółki. Włożył w to z ufny sercem wszystko, co posiadał, aż do ostatniego guldena. Jedna tylko okoliczność psuła mu szczęście: oto żona jego porzuciła swoją kryjówkę wnosząc w zacisze małego domku zielony kaftan, obcisłe sarongi¹⁵, ostry głos i wygląd czarownicy. A córka przyjęła z zadziwiającą równowagą to dzikie wtargnięcie w poufność ich codziennego życia. Nie podobało się to Almayerowi, ale nie ośmielił się nic powiedzieć.

14 British Borneo Company (Brytyjskie Towarzystwo Północnego Borneo — ang.) powstało w r. 1882, w r. 1888 rząd brytyjski objął pieczę nad „państwem północnego Borneo”. W r. 1891 zostały ostatecznie ustalone granice między brytyjskim a holenderskim Borneo.

15 Sarong — narodowy ubiór malajski składający się z długiego pasa materiału owiniętego wokół bioder na kształt spódnicy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Władza postanowień zapadłych w Londynie sięga daleko. W gmachu przysłoniętym mgłą, siedzibie Borneo Company, powzięto decyzję, która zgasła w oczach Almayera świetny blask tropikalnego słońca pojąc go żółcią jeszcze jednego zawodu. Anglia wyrzekła się pretensji do tej części zachodniego wybrzeża i zostawiła rzekę Pantai pod nominalną władzą Holandii. W Sembirze wybuchła radość i podniecenie. Niewolników usunięto pośpiesznie w głąb lasu i dżungli, a w osiedlu radży powiały chorągwie z wysokich żerdzi w oczekiwaniu na odwiedzinę łodzi holenderskiego okrętu wojennego.

Fregata stanęła na kotwicy poniżej ujścia rzeki, łodzie zaś popłynęły w górę, holowane przez parową szalupę, snując się ostrożnie krętym węzłem wśród mrowia czółen przepelnionych Malajami w barwnych strojach. Dowodzący oficer wysłuchał z powagą lojalnej przemowy Lakamby, odwzajemnił salaamy Abdulli i zapewnił tych dostojników w wyszukany język malajski, że wielki radża hen w Batawii żywi przyjaźń i jak najlepsze chęci względem władcy i mieszkańców wzorowego państwa Sembiru.

Almayer śledził z werandy poprzez rzekę ten uroczysty ceremoniał. Słyszał huk armatek na cześć nowej flagi ofiarowanej Lakambie i głęboki pogwar tłumu falującego wzdłuż ostrokołu. Dym wystrzałów unosił się w białych obłokach na zielonym tle lasu i Almayer porównał mimo woli swoje zwodne nadzieje do niknącej szybko mgły. Nie czuł bynajmniej patriotycznego uniesienia wobec tych wypadków, musiał jednak zdobyć się na uprzejmość, gdy oficerowie marynarki należący do komisji przeprawili się przez rzekę po urzędowym ceremoniale, aby złożyć wizytę białemu samotnikowi, o którym słyszeli. Pragnęli też niewątpliwie zerknąć na jego córkę; pod tym względem jednak spotkało ich rozczarowanie, bo Nina nie chciała się ukazać. Dżyń i cygara, które postawił przed gośćmi gościnnie Almayer snadź łatwo ich pocieszyły. Porozkładali się wygodnie na kulawych fotelach w cieniu werandy; szeroka rzeka zdawała się wrzeć w żarze i oślepiającym blasku słońca, a goście przepelniali małą willę niezwykłym gwarem europejskich języków. Żartowali i śmiali się do rozpuku z tłustego Lakamby, którego obsypywali dopiero co tyłu pochlebstwami. Młodszy spośród oficerów w przystępie nagłej zyczliwości dla gospodarza wyciągnęli go na zwierzenia. Podniecony widokiem europejskich twarzy, dźwiękiem mowy europejskiej, Almayer otworzył serce wobec pełnych współczucia nieznajomych, nie zdając sobie sprawy, jak dalece opowiadanie o jego rozlicznych nieszczęściach bawi tych przyszłych admirałów. Pili jego zdrowie życząc mu mnóstwa diamentów i całej góry złota, oświadczyli

nawet, że zazdroszczą wielkich przeznaczeń oczekujących go jeszcze. Ośmielony tak wielką życzliwością, siwowłosy i naiwny marzyciel zaprosił gości, aby obejrżeli nowy jego dom. Poszli tam w rozproszonej gromadzie przez wysoką trawę, a tymczasem przygotowywano już łódki do powrotu w dół rzeki o wieczornym chłodzie. Zwiedzili wielkie pokoje, z których ziało pustką i zaniedbaniem; przez okienne otwory wpadał letni powiew wirując wśród zeschniętych liści i kurzu. Almayer w białej kurtce i kwiecistym sarongu stał w gronie błyszczących mundurów i stukał mocno nogą w podłogę, aby pokazać wytrzymałość szczelnie dopasowanych taflí; rozwodził się przy tym nad pięknem i dogodnością budynku. Oficerowie słuchali go, potakując, zdumieni zadziwiającą prostodusznością i ślepą wiarą w przyszłość tego człowieka, aż wreszcie podniecony Almayer wyraził żal, iż przybycie Anglików nie doszło do skutku, „umieją oni bowiem podnieść dobrobyt bogatego kraju”. W odpowiedzi na to szczere wyznanie holenderscy marynarze wybuchnęli śmiechem i ruszyli ku łodziom. Stąpając ostrożnie po zbutwiałych belkach pomostu Lingarda Almayer zbliżył się do przewodniczącego komisji i napomknął nieśmiało o obronie należnej poddanym holenderskim przed chytrymi Arabami. Na to morski dyplomata odpowiedział znacząco, że Arabowie lepszymi są poddanymi od Holendrów, którzy prowadzą z Malajami zakazany handel prochem. Bogu ducha winny Almayer poznał tu od razu gładki język Abdulli i uroczystą wymowę Lakamby, ale nim zdążył wyrazić protest pełen oburzenia, parowa szalupa i szereg łodzi ruszyły szybko w dół rzeki, zostawiając go z otwartymi ustami na pomoście, w zdumieniu i gniewie. Trzydzieści mil rzeką dzieli Sembir od wysepek rozsianych jak klejnoty przy ujściu Pantai, gdzie fregata czekała na powrót małej flotyli. Księżyc wzeszedł, zanim łódzie przebyły połowę tej drogi. Czarny las śpiący spokojnie pod zimnym światłem miesiąca ocknął się, zbudzony salwami śmiechu oficerów wspominających żalose zwierzenia Almayera. Z łodzi do łodzi krążyły na jego temat żarty zaprawne marynarskim dowcipem, nieobecność jego córki omawiano ze srogim niezadowoleniem, a na w pół ukończony dom, zbudowany na przyjęcie Anglików, został jednogłośnie nazwany owej wesołej nocy „Szaleństwem Almayera”.

Po tych odwiedzinach życie w Sembirze toczyło się długi czas zwykłym, monotonnym trybem. Ranne promienie słońca oświetlały dzień w dzień jednaki obraz pracowitej krzątania. Gdy Nina szła ścieżką stanowiącą główną ulicę osady, miała przed oczami zawsze ten sam widok: mężczyźni wylegiwali się na wysokich tarasach z ocienionej strony chat, kobiety zajęte były skrzętnie łuskaniem ryżu, a nagie brunatne dzieci biegały po cienistych i wąskich ścieżkach wiodących z polanki do polanki. Djim Eng przechadzał się przed swym domkiem; witał Ninę przyjaznym skinieniem głowy i wspinał się z powrotem po kładce,

spiesząc do ukochanej fajki z opium. Starsze dzieci, ośmielone długą znajomością, gromadziły się naokoło Niny i błyskały śnieżnymi zębami oczekując na deszcz szklanych paciorków; ciemne paluszki ciągnęły na wszystkie strony fałdy jej białej sukni. Nina witała dzieciarnię spokojnym uśmiechem i miała zawsze kilka przyjaznych słów dla syjamskiego dziewczątka, niewolnicy należącej do Bulangiego. Liczne żony tego pracowitego rolnika słynęły z gwałtowności; chodziły słuchy — nie pozbawione zresztą podstawy — że sprzeczki w chacie Malaja kończą się zwykle gromadnym natarciem wszystkich jego żon na syjamską niewolnicę. Ale dziewczątka nie skarżyło się nigdy; może przez ostrożność; może wskutek dziwnej, biernej rezygnacji właściwej półdzikim kobietom. Od wczesnego rana widać ją było krążącą wśród chat, wzdłuż rzeki lub na pomostach; na głowie kołysała zręcznie tacę z pieczywem, które roznosiła na sprzedaż. Podczas największego upału szukała zwykle schronienia w *kampungu* Almayera i, zachęcona przez Ninę, przysiadła na piętach w zacienionym kącie werandy trzymając tacę przed sobą. Widok *mem putih* rozjaśniał jej twarz uśmiechem, ale płoszyło ją nadejście pani Almayer, a nawet sam dźwięk jej ostrego głosu.

Z tym syjamskim dziewczątkiem Nina rozmawiała często, lecz inni mieszkańcy Sembiru nie słyszeli prawie nigdy jej głosu. Przywykli do białej, cichej postaci snującej się wśród nich jak niepojęta istota z wyższego świata. A jednak życie Niny dalekie było od spokoju mimo zewnętrznej równowagi i pozornego oderwania od otaczających ją ludzi i rzeczy, gdyż pani Almayer roztaczała zanadto ożywioną działalność, aby jej domownicy mogli żyć szczęśliwie, a choćby tylko bezpiecznie. Powróciła do swoich stosunków z Lakambą, wparwdzie nie osobiście — ile że godność tego mocarza nie pozwalała mu wydać się poza obręb częstokołu — lecz obcowiała z władcą za pośrednictwem jego premiera, który był zarazem nadzorcą portu, finansowym doradcą i ogólnym totumfackim. Ów dostojnik pochodzący z plemienia Sulu posiadał niewątpliwie zalety męża stanu, aczkolwiek pozbawiony był do cna wdzięków osobistych. Wyrażając się ściślej — budził wprost odrazę; jedno tylko miał oko i twarz dziobatą, a nos i usta szkaradnie zeszpecone przez ospę. Ta mało zachęcająca osobistość wałęsała się często po ogrodzie Almayera w nieurzędowym kostiumie złożonym ze szmaty różowego perkalu owiniętej wkoło bioder. Siedząc w kucki przy rozrzuconym ognisku, chytry pośrednik wiódł długie rozhowy z żoną Almayera; narady owe toczyły się w języku sulu, w bezpośredniej bliskości wielkiego żelaznego kotła, gdzie kobiety gotowały codzienną porcję ryżu pod nadzorem pani domu. W następstwie tych rozmów burzliwe sceny wybuchały u domowego ogniska Almayera, toteż nietrudno było domyślić się ich treści.

Od niejakiego czasu Almayer urządzał wycieczki w górę rzeki. Znikał nagle na kilka

dni w małej łódce z dwoma wioślarzami i wiernym Alim u steru. Wszelkie jego kroki bacznie były śledzone przez Abdullę i Lakambę, gdyż człowieka, przed którym zwierzał się ongi sam Radja Laut, uważano za posiadacza cennych tajemnic. Mieszkańcy wybrzeży Borneo wierzą święcie, że w głębi wyspy znajdują się olbrzymie pokłady złota i kopalnie diamentów bajecznej wartości. Wymysłem tym sprzyja trudność przedostawania się w głąb wyspy; dotyczy to szczególnie północno—wschodniego wybrzeża, gdzie Malaje i nadbrzeżne plemiona Da jaków, zwanych Łowcami Głów, prowadzą wiekiową wojnę. Prawda i to, że nieco złota przedostaje się na wybrzeże za pośrednictwem owych Dajaków, którzy odwiedzają osady malajskie podczas krótkich okresów zawieszenia broni, zdarzających się wśród bezładnych walk. Na tej wątej podstawie piętrzą się najdziksze i najbardziej przesadne domysły.

Almayer, jako człowiek biały — tak jak i poprzednio Lingard — był w nieco lepszych stosunkach z plemionami żyjącymi w górze rzeki. Lecz nawet i jego wyprawy nie były pozbawione pewnego niebezpieczeństwa, a Lakambą wyglądał z niecierpliwością jego powrotu. Za każdym razem czekało jednak radzę rozczarowanie. Na próżno zausznik jego Babalatji prowadził z żoną Almayera długie narady przy kotle z ryżem. Biały człowiek był nieprzenikniony — niedostępny dla namów, przymileń, zniewag, dla słodkich słów i krzykliwych obelg, dla rozpaczliwych błagań i morderczych pogróżek. Pani Almayer grała na strunach wszystkich namiętności pragnąc za wszelką cenę skłonić męża do przymierza z Lakambą. Stawała w błagalnej postawie przed Almayerem i piskliwym głosem wyliczała korzyści ścisłego przymierza z człowiekiem tak dobrym i postępującym tak rzetelnie. Brudna suknia sięgająca pod pachy obciskała jej chudą pierś, a kosmyki rzadkich, siwych włosów spadały w nieładzie na kościste, wydatne policzki.

— Dlaczego nie pójdziesz do radży? — skrzeczała — dlaczego wracasz do tamtych Dajaków w wielkim lesie? Powinno się ich wymordować. Ty ich zabić nie możesz, o nie! Ale wojownicy naszego radży są mężni. Powiedz radży gdzie jest skarb białego starca! Nasz radża jest dobry. On jest naszym prawdziwym dziadkiem — [*Datuk besar*¹⁶]. On zabije tych nędznych Dajaków, a ty dostaniesz połowę skarbu. O Kasprze, powiedz, gdzie jest skarb! Powiedz mi! Powiedz, co jest napisane w *surat*¹⁷ starego człowieka, które czytasz tak często w nocy!

Almayer siedział zgarbiony uginając się pod naporem burzy domowej. Każdą przerwę w wymowie żony podkreślał gniewnym mruknięciem: „Nie ma żadnego skarbu! odejź,

16 Wielki naczelnik (mal.)

17 piśmie, liście (mal.)

kobieto!” Widok jego cierpliwie pochylonych pleców doprowadzał ją do wściekłości. Stawała przed nim twarzą w twarz, przed stołem, i wymyślała mu jednym ciągiem; trzymała suknię lewą ręką, a drugą o krogulczych palcach wyciągała ku niemu podkreślając gestami dotkliwie przycinki. Najjadowitsze przekleństwa sypały się na głowę człowieka, który niegodzien jest przymierza z dzielnymi malajskimi wodzami. Kończyło się to zwykle powolnym dźwignięciem się Almayera. Odchodził w milczeniu, z twarzą ściągniętą bólem, trzymając swoją długą fajkę. Zszedłszy ze schodów zanurzał się w wysokiej trawie rosnącej po drodze do samotni nowego domu; wstręt i lęk przed tą wcieloną furią przyprawiały go o fizyczne wprost osłabienie, tak że z wysiłkiem powłóczył nogami. Żona postępowała za nim aż do schodów, zasypując go wśród odwrotu gradem bezładnych obelg. Każda z tych scen kończyła się przeszywającym krzykiem, który biegł za nim daleko: „Ty wiesz, Kasprze, jestem twoją żoną! Twoją prawdziwą, chrześcijańską żoną według waszych własnych *Belanda*¹⁸ praw!” Wiedziała bowiem, że to stanowi największą gorycz, największy żal w życiu tego człowieka.

Nina była niewzruszonym świadkiem tych wszystkich zajść. Mogło się wydawać, że jest głucha, niema i nieczuła. bo nie zdradzała się nigdy ze swoim zdaniem. Gdy ojciec szukał schronienia w wielkich zakurzonych pokojach „Szaleństwa Almayera”, a matka, wyczerpana krasomówczym napadem, przysiadła ociężale na piętach, oparta plecami o nogę od stołu, Nina podchodziła do niej z ciekawością. Uniósłszy suknię, aby nie splamić jej sokiem z betelu, którym podłoga była spryskana, wlepiała oczy w matkę niby w głąb wulkanu uciszonego po niszczącym wybuchu. Myśli pani Almayer zwracały się po tych burzliwych zajściach ku wspomnieniom z dzieciństwa; dawała im wyraz mrużąc coś w rodzaju monotonnego rapsodu, który mimo pewnej bezładności wyrażał na ogół chwałę sułtana Sulu, niezmierną jego wspaniałość, potęgę i wielkie męstwo tudzież strach, który porażał serca białych na widok jego zwinnych, pirackich korabi. Rozważania o potędze swego dziadka mieszała pani Almayer ze strzępami późniejszych wspomnień; główną rolę odgrywał w nich wielki bój z brygiem Białego Diabła i życie klasztorne w Semarangu. Poruszywszy wspomnienia z klasztoru milkła nagle; wyciągała mosiężny krzyżyk, który wisiał zawsze na jej szyi, i wpatrywała się w niego z przesadną grozą. Ten kawałeczek metalu był dla niej cennym talizmanem o tajemniczej mocy; niejasny jakiś związek łączył go ze złymi dżinami¹⁹. Wierzyła przy tym święcie, że w razie zguby owego talizmanu grożą jej straszne tortury, wymyślane specjalnie na jej intencję przez zacną matkę przełożoną. Pojęcia te stanowiły jedyną wiedzę teologiczną pani Almayer na burzliwą drogę żywota. Matka Niny miała

18 holenderskich (mai.)

19 Dżiny — demony lub złe duchy w wierzeniach Arabów.

przynajmniej jakiś namacalny przedmiot, którego czepiały się jej przesadne wyobrażenia, lecz Nina, wychowana pod protestanckim skrzydłem wzorowej pani Vinck, nie posiadała nawet mosiężnego krzyżyka na wspomnienie dawnej nauki. Przysłuchiwała się opowieściom o dzikiej chwale, srogich bojach i barbarzyńskim ucztowaniu, o przygodach walecznych, choć krwawych, gdzie mężowie z rasy jej matki jaśnieli wysoko ponad *orang Belanda*, i stopniowo ogarniał ją nieprzeparty jakiś czar. Patrzyła w zdumieniu, jak skąpy płaszcz moralności cywilizowanego świata, narzucony na jej młodą duszę przez ludzi dobrej woli, osuwa się, pozostawiając ją drżącą i bezsilną na krawędzi głębokiej i nieznannej otchłani. Co najdziwniejsze, nie czuła się tym przerażona w okresach, gdy przeważał wpływ niesamowitej istoty o wyglądzie wiedźmy, którą nazywała matką. Pobyt wśród ludzi cywilizowanych wymazał prawie zupełnie z jej pamięci wspomnienia wczesnego dzieciństwa z okresu, nim Lingard niejako „uprowadził ją” z Berau. Poznała w Singapurze zasady chrześcijańskiej religii, nauczyła się form towarzyskich; miała także sposobność przyjrzeć się dokładnie biegowi cywilizowanego życia. Ale nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności opiekunowie Niny nie zdawali sobie sprawy z jej natury, a wychowanie zakończyło się poniżającą sceną — wybuchem pogardy ze strony białych dla jej krwi mieszanej. [Nie oszczędzono jej ani jednej kropli gorzkości. Pamiętała dokładnie, że gniew pani Vinck dotknął tylko przelotnie młodego człowieka z banku skrupiając się na niewinnej istocie, która była przyczyną jego postępowania. Zdawała sobie jasno sprawę, jaki był istotny powód świętego oburzenia pani Vinck: oto rzecz cała wydarzyła się w tym niepokalanym gnieździe, dokąd powróciły właśnie z Europy panny Vinck, dwie śnieżnobiałe gołębice, chroniąc się pod skrzydła macierzyńskie w oczekiwaniu na mężów bez skazy, przez los im wyznaczonych. Od cnotliwego postanowienia nie powstrzymał pani Vinck nawet wzgląd na pieniądze zbierane tak mozolnie przez Almayera, który wysyłał je punktualnie na koszty utrzymania Niny. Wyprawiono ją do domu, a właściwie mówiąc sama zapragnęła jechać mimo lęku przed grożącą jej zmianą życia.] Odtąd przebyła całe trzy lata na wybrzeżu Pantai, między dziką matką i ojcem, który błędził wśród potrzasków zapatrzonej w obłoki — słaby, chwiejny i nieszczęśliwy. Żyła w nędznych warunkach, pozbawiona wszelkich wygod. Oddychała atmosferą plugawych knowań w celach zysku, patrzyła na wstrętne intrygi i zbrodnie wywołane chciwością i żądzą, a wszystko to — z dodatkiem kłótni rodzinnych — stanowiło wyłączną treść trzech lat jej życia. Rozpacz i wstręt nie zabiły jej w pierwszych zaraz tygodniach, jak się spodziewała ciesząc się prawie tą nadzieją. Przeciwnie, po upływie sześciu miesięcy wydało się jej, że nie znała nigdy innego życia. Pozwolono jej nieopatrznie zapoznać się z cywilizacją, a potem strącono ją w beznadziejne trzęsawisko barbarzyństwa, gdzie kłębiły się gwałtownie,

nieposkromione namiętności. Toteż młody jej umysł stracił wszelką zdolność sądu. Wydało się Ninie, że między ludźmi dzikimi a cywilizowanymi nie ma zasadniczych różnic. Czy zajmują się handlem w murowanych gmachach, czy też na błotnistym wybrzeżu rzeki; czy sięgają po wielki zysk, czy też po mały; czy oddają się zalotom w cieniu wielkich drzew, czy też w cieniu katedry na promenadzie w Singapurze; czy knują różne machinacje pod opieką prawa i zgodnie z zasadami chrześcijaństwa, czy też zaspokajają swe pragnienia z dziką chytrą i nieposkromionym okrucieństwem natur równie nietkniętych kulturą jak ich olbrzymie i mroczne lasy — Nina widziała wszędzie te same jeno przejawy miłości i nienawiści albo brudnej żądzy zysku. I tu, i tam jednaki pościg za niepewnym dolarem we wszelkich jego postaciach, różnorodnych i znikomych. Ale gdy minęło kilka lat, dzika i bezwzględna otwartość w dążeniu do celu, właściwa malajskim rodakom Niny, wydała się bliższą stanowczej jej naturze niż gładka obłudą, uprzejme zmyślenie i cnotliwe pozory, przybierane przez białych ludzi, z którymi miała nieszczęście się zetknąć. To było ostatecznie jej środowisko i miało nim pozostać. Pod wrażeniem tych myśli ulegała coraz bardziej wpływom matki. Usiłując w swej nieświadomości odkryć jakieś piękno w dzikości malajskiego życia, wsłuchiwała się chciwie w opowieści starej kobiety o wygasłej chwale radzów, jej przodków; stopniowo czuła coraz większą obojętność i wzdargę dla białej lasy, której przedstawicielem był człowiek tak słaby i pozbawiony tradycji jak jej ojciec.

Obecność dziewczęcia w Sembirze nie zmniejszyła wcale trudności położenia Almayera, choć przycichła sensacja wzniecona jej przybyciem, a Lakamba swych odwiedzin nie ponowił. Jakoś w rok po odjeździe holenderskiej komisji brataniec Abdulli Said Reszyd, powrócił z pielgrzymki do Mekki, zaszczycony zielonym kaftanem oraz świetnym tytułem hadżiego. Z pokładu parowca, który go przywiózł, wykwitły snopy rakiet, w osiedlu Abdulli całą noc rozlegało się bicie w bębny, a uczta powitalna przeciągnęła się aż do wczesnych godzin ranka. Reszyd był ulubionym synowcem i spadkobiercą Abdulli. Kochający ten stryj, spotkawszy raz Almayera na wybrzeżu, przystanął grzecznie dla wymiany uprzejmości i oświadczył uroczyście, że pragnie z nim porozmawiać. Almayer przeczuł coś niedobrego i lękał się zasadzki — ale naturalnie przyjął zapowiedź odwiedzin z oznakami wielkiego rozradowania. Jakoż następnego wieczoru, zaraz po zachodzie słońca, zjawił się Abdulla w towarzystwie kilku siwobrodych Arabów i swego synowca. Młodzieniec ten, o wyglądzie skończonego łajdaka i rozpustnika, udawał najwyższą obojętność na wszystko, co się dzieje. Ludzie z pochodniami ustawili się u podnóża schodów; goście zasiedli na kulawych krzesłach, a Reszyd stanął osobno w cieniu, oglądając pilnie swoje rasowe, małe ręce. Almayer, zdumiony uroczystą postawą swoich gości, przysiadł na rogu stołu z

charakterystycznym brakiem godności; Arabowie w lot zauważyli to i w spojrzeniach ich odmalowała się surowa nagana. Ale oto przemówił Abdulla, spoglądając mimo Almayera na czerwoną firankę, której lekkie drżenie zdradzało obecność kobiet po drugiej stronie. Przede wszystkim złożył Almayerowi grzeczne życzenia z okazji długich lat, które przeżyli mieszkając obok siebie w sąsiedzkiej życzliwości, i wyraził pragnienie, aby Allah użyczył mnogich lat życia miłemu sąsiadowi, radując jego obecnością oczy przyjaciół. Dalej napomknął grzecznie o uznaniu okazanym Almayerowi przez holenderską *commissie* i wywiódł stąd pochlebny wniosek o wielkim jego znaczeniu wśród własnego narodu. On sam — Abdulla — cieszy się niemałym uznaniem wśród wszystkich Arabów, a synowiec jego Reszyd będzie dziedzicem jego stanowiska i wielkich bogactw. Reszyd otrzymał teraz godność hadżiego. Jest właścicielem kilku kobiet malajskich, ciągnął dalej Abdulla, ale czas już, by wybrał sobie ulubioną żonę, pierwszą z czterech dozwolonych przez proroka. I przemawiając dalej z wyszukaną grzecznością wyłożył oniemiałemu Almayerowi, że w razie jego zgody na związek córki z prawowiernym i zacnym mężem, jakim jest Reszyd, będzie ona panią wszystkich wspaniałości w jego domu i pierwszą żoną najpotężniejszego na wyspach Araba, z chwilą gdy on — Abdulla — zostanie powołany przez Allaha do rajskiej szczęśliwości.

— Ty wiesz, tuanie — rzekł w końcu — tamte kobiety będą jej niewolnicami, a dom Reszyda jest wielki. Wisi tam wielkie zwierciadło w ramie świecącej jak złoto. Reszyd przywiózł z Bombaju wielkie sofy i kosztowne dywany, i meble europejskie. Czegóż więcej może pragnąć dziewczyna?

Oślupiały Almayer patrzył z przerażeniem na Araba, ten zaś odprawił świętę skinieniem ręki i przeszedł do bardziej poufnego tonu. Zakończył wreszcie wykazem materialnych korzyści takiego związku i propozycją wypłacenia Almayerowi trzech tysięcy dolarów, mających stanowić dowód jego szczerzej przyjaźni, a zarazem cenę dziewczyny.

Biedny Almayer bliski był ataku szału Gorejąc pragnieniem porwania Abdulli za gardło musiał jednak pomyśleć o swym położeniu bez wyjścia wśród ludzi żyjących bezprawiem i zrozumiał konieczność załagodzenia sprawy w sposób dyplomatyczny. Zapanowawszy nad sobą przemówił grzecznie i chłodno; zaznaczył, że dziewczyna jest jeszcze bardzo młoda i że miłuje ją jak źrenicę oka. Tuan Reszyd, będąc prawowiernym i hadżim, nie chciałby mieć zapewne niewiernej żony w haremie. Sceptyczny uśmiech Abdulli wywołany tą uwagą zamknął usta Almayerowi. Za mało dowierzał sobie, aby ciągnąć dalej; nie śmiał wręcz odmówić ani też uciec się do jakiegoś wybiegu. Abdulla zrozumiał, co znaczy to milczenie, i powstał z miejsca żegnając Almayera salaamem pełnym powagi.

Wyraził życzenie „tysiąca lat życia” swemu przyjacielowi Almayerowi, po czym zszedł wolno ze schodów, podtrzymywany z należytą troskliwością przez Reszyda. Niewolnicy wstrząsnęli pochodniami, deszcz iskier opadł w rzekę i orszak jął się zwolna oddalać. Wzburzony Almayer odetchnął z wielką ulgą i osunął się na krzesło. Śledził migotanie światełek, aż zgasły między drzewami, a odgłos stapań i szmer głosów ustąpiły zupełnej ciszy. Almayer nie ruszył się, aż wreszcie zaszeleściła zasłona i Nina weszła na werandę. Rzuciła się w bujający fotel, gdzie spędzała dzień w dzień długie godziny. Oparta o poręcz, kołysała się z lekka, przymknąwszy oczy; promienie włosów kryły jej twarz przed światłem zakopconej lampy. Almayer spojrział na nią ukradkiem, lecz rysy jej były nieporuszone jak zwykle. Zwróciła głowę w stronę ojca i zapytała po angielsku ku wielkiemu jego zdumieniu:

— Czy to Abdulla był tutaj?

— Tak — odrzekł Almayer — w tej chwili poszedł.

— I czego on chciał, ojczy?

— Chciał kupić ciebie dla Reszyda — odparł brutalnie

Almayer w nagłym przyplywie gniewu i spojrział badawczo na dziewczynę, jakby się spodziewał jakiegoś przejawu jej uczuć. Lecz Nina trwała w pozornym spokoju, patrząc wciąż sennie w czarną noc na dworze. Nastąpiło krótkie milczenie

— Bądź ostrożna, Nino, gdy jeździsz sama łódką po zatokach — dodał Almayer wstając z krzesła. — To popędliwy łotr, ten Reszyd, i Bóg wie, co mogłoby mu strzelić do głowy. Czy mnie słyszysz?

Nina stała już przy wejściu ująwszy firankę zawieszoną w drzwiach. Zwróciła się ku ojcu odrzucając w tył nagłym ruchem ciężkie swoje warkocze.

— Myślisz, żeby się odważył? — spytała szybko i odwróciwszy się znów ku drzwiom dodała ciszej — Nie, nie odważyłby się. Wszyscy Arabowie to tchórze

Almayer popatrzył na nią ze zdziwieniem. Nie położył się spać w hamaku. Jął chodzić z roztargnieniem po werandzie przystając w zamyśleniu u balustrady. Lampa wypaliła się i zgasła. Pierwsza smuga świtu zajaśniała nad lasami; wilgotne powietrze przejęło go dreszczem.

— Nic nie rozumiem — mruknął układając się ociężale do snu. — Do licha z tymi babami! Słowo daję, wyglądało mi na to, że dziewczyna chce być porwana!

Poczuł, że nieokreślony jakiś lęk wkrada mu się do serca, i dreszcz wstrząsnął nim znowu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tegoż roku z nastaniem zachodniego musonu niepokojące wieści przedostały się do Sembiru. Kapitan Ford przyszedł któregoś dnia do Almayera na wieczorną pogawędkę i przyniósł ostatnie numery dziennika „Straits Times” z wiadomością o wojnie w Atjeh²⁰ i nieudanej holenderskiej wyprawie. W górę rzeki płynęły nieliczne handlowe czółna; właściciele ich, Malaje z plemienia Nakhoda, wstępowali po drodze do Lakamby, aby pogawędzić z mocarzem o niepewnym stanie rzeczy. Kiwano poważnie głowami nad zdzierstwem Holendrów, ich surowością — jednym słowem — tyranią. Handel prochem doszczętnie już wytepełili. W Cieśninach Makassarskich rewidują starannie każdy podejrzany statek handlowy! Nawet lojalna dusza Lakamby pograżyła się w niezadowoleniu, gdyż cofnięto udzielone mu pozwolenie na kupno prochu. Krażownik „Princess Amelia” skonfiskował sto pięćdziesiąt beczek owego towaru, gdy po ryzykownej podróży cenny ładunek dobijał do ujścia Pantai. Tych przykrych wieści udzielił Lakambie Reszyda, który po swym matrymonialnym zawodzie puścił się w długą podróż wśród wysp w celach handlowych. Wiózł zapas prochu dla swego przyjaciela i został przyłapany właśnie w chwili, gdy winszował sobie przebiegłości, dzięki której zmylił czujność władz. Gniew Reszyda skrupił się głównie na Almayerze; młody Arab podejrzewał, że to biały doniósł władzom holenderskim o niszczącej wojnie między Arabami sprzymierzonymi z radzą a plemionami Dajaków znad górnego biegu rzeki.

Ku zdumieniu Reszyda radza przyjął jego skargi bardzo zimno i nie zawrzał chęcią pomsty na białym człowieku. Lakamba wiedział doskonale, że Almayer daleki jest od mieszania się do spraw politycznych. Stosunek władcy do tego prześladowanego osobnika uległ przy tym zasadniczemu przełomowi: nastąpiło pojednanie za pośrednictwem nowego przyjaciela Almayera. Daina Maruli.

Almayer miał teraz przyjaciela. Wkrótce po wyruszeniu Reszyda w podróż Nina wracała wieczorem z samotnej wycieczki łódką, niesiona powolnym prądem. W jednej z zatoczek posłyszała plusk niby ciężkich lin opadłych w wodę; jednocześnie doszedł jej uszu przeciągły śpiew, jakim malajscy żeglarze uprzyjemniają sobie zwykle holowanie. Przez gęste gałęzie krzewów kryjących ujście zatoki ujrzała wyniosłe maszty europejskiego

²⁰ W r. 1873 po uzyskaniu zgody Anglii Holandia rozpoczęła podbój ostatniej niepodległej części Indonezji, sultanatu Atjeh na zachodniej Sumatrze. Krwawa i zacięta wojna trwała trzydzieści lat; w r. 1904 Holendrzy opanowali Atjeh.

żaglowca górujące nad wierzchołkami palm *nipah*; holowano go właśnie ku środkowi rzeki. Słońce już zaszło. Podczas krótkich chwil zmierzchu Nina spostrzegła, że bryg. wspomagany prądem i wieczornym powiewem, kieruje się ku Sembirowi rozwinąwszy przedni żagiel. Wycofała łódkę z głównego koryta rzeki do jednej z licznych cieśnin oplątujących zdrzewione wysepki i płynęła zwawo w kierunku Sembiru zanurzając wiosła w czarnej, sennej wodę.

Łódka otarła się o wodne palmy i minęła wybrzeże, gdzie stateczne aligatory spoglądały na wiosłarkę leniwym i obojętnym wzrokiem. Nim ciemność zapadła, Nina wypłynęła na szersze wody w miejscu, gdzie zlewały się oba ramiona rzeki. Bryg— stał już tu na kotwicy ze zwiniętymi żaglami, na pokładzie nie było żywe; duszy. Chcąc dostać się do domu stojącego na niskim przylądku w widłach rzecznych, Nina musiała przepłynąć na drugi brzeg tuż obok żaglowca. Światelka błyszczące już w nadbrzeżnych i nawodnych chatkach odbijały się w spokojnym nurcie górnego biegu obu ramion Pantai. Przez szeroko rozlaną dal rzeki niósł się gwar jakichś głosów, płacz dziecka i dudnienie drewnianego bębna, a z dalekich ciemności nadpłynęły nawoływania powracających rybaków. Nina wstrzymała łódkę, zaniepokojona niezwykłym widokiem europejskiego statku, ale przyszło jej zaraz na myśl, że mrok jest dość gęsty, aby mogła przedostać się niepostrzeżenie. Ukląkwszy na dnie czółna jęła szybko wiosłować; podana naprzód, czujna na podejrzone szelesty, sterowała ku pomostowi Lingarda i Sp., a za przewodnika służyło jej jaskrawe światło lampy padające na bielone ściany werandy w domu Almayera. Pomost skryty był w ciemnościach pod zwisłymi krzakami; zanim zdołała go dostrzec, rozległ się głuchy łomot, jak gdyby wielka łódź uderzyła o zbutwiałe pale. Szept przyciszonej rozmowy doszedł do uszu Niny; zbliżywszy się jeszcze bardziej dojrzała niewyraźne zarysy łodzi, której biała barwa i wielkie rozmiary zdradzały przynależność do brygu. Zatrzymała w mig czółno i szybkim ruchem wiosła odsądziła się daleko od pomostu sterując ku małej rzeczulce przepływającej obok podwórza. Wysiadła przy błotnistym ujściu rzeczulki i szła ku domowi po wydeptanej trawie. Z lewej strony, skroś lasku bananów, koło którego przechodziła, przesiewał się czerwony blask kuchennego ogniska; śmiech kobiecy dochodził stamtąd w wieczornej ciszy. Nina odgadła, że matki nie ma w pobliżu, gdyż śmiech i obecność pani Almayer nie godziły się z sobą. „Matka jest pewnie w domu”, pomyślała i wbiegła lekko po uginającej się pochyłej kładce, która wiodła do tylnych drzwi i wąskiego korytarza dzielącego dom na dwie części. W głębokim mroku przy drzwiach stał wierny Ali.

— Kto to przyszedł? — spytała Nina.

— Przybył wielki mąż malajski — odszepnął gorączkowo Ali. Bardzo bogaty mąż.

Tam stoi sześciu ludzi z włóczniami. Prawdziwy wojownik! rozumiesz, mem²¹ Nina? Jego suknia jest bardzo wspaniała. Widziałem jego suknię. Tak się świeci! Co za klejnoty! Nie idź tam, mem Nina. Tuan powiedział: nie wolno, ale stara mem poszła. Tuan będzie zły. Miłosierny Allahu! jakie ten mąż ma klejnoty!

Nina prześlizgnęła się obok wyciągniętej ręki niewolnika i weszła do korytarza. Na drugim jego końcu w purpurowym żarze przesianym przez zasłonę dostrzegła małą, ciemną postać skuloną przy ścianie; to pani Almayer pałała oczy i uszy tym, co się działo na werandzie. Nina zbliżyła się, aby skorzystać także z rzadkiej sposobności zobaczenia i usłyszenia czegoś nowego, lecz natknęła się na wyciągniętą rękę matki, która przyciszonym głosem nakazała jej milczenie.

— Czy widziałaś ich? — odezwał się zdyszany szept Niny.

Pani Almayer zwróciła twarz ku dziewczęciu; zapadłe jej oczy mieniły się dziwnym blaskiem w czerwonym półcieniu firanki.

— Widziałam go — odrzekła prawie niedosłyszalnie, ściskając w kościstych palcach rękę córki. — Wielki radża przybył do Sembiru. Syn Niebios! — mruczała do siebie stara kobieta. — Odejdź, dziewczyno!

Stały obie tuż przy zasłonie. Nina usiłowała znaleźć się jak najbliżej szpary, lecz pani Almayer broniła swej pozycji z gniewnym uporem. Po drugiej stronie zasłony nastąpiła przerwa w rozmowie. Słychać było [oddechy kilku ludzi,] pobrzęk jakichś ozdób i dźwięk metalowych pochw lub miedzianych naczyń do sirih²², podawanych z rąk do rąk. Pani Almayer i Nina mocowały się w milczeniu. Nagle ktoś poruszył się na werandzie i na zasłonę padł cień od barczystej postaci Almayera. Kobiety przerwały walkę i zastygły w ciszy.

Almayer powstał z krzesła; chciał odpowiedzieć gościowi i obrócił się tyłem do korytarza nie wiedząc, co się dzieje po drugiej stronie firanki. W głosie jego przebijał żal i pewne zniecierpliwienie.

— Zwróciłeś się nie tam, gdzie trzeba, tuanie Marula, jeżeli chcesz prowadzić handel. Byłem niegdyś kupcem, ale teraz już nie jestem. Nie wierz, choćby ci w Sembirze mówili co innego. Żadnego towaru nie znajdziesz w moim domu; nie mam nic na sprzedaż i sam niczego nie potrzebuję. Udaj się do radży, o tam, gdzie ogniska palą się na brzegu; za dnia widać jego domy po drugiej stronie rzeki. On ci da pomoc i będzie handlował z tobą. Albo jeszcze lepiej, zwróć się do Arabów — ciągnął gorzko Almayer wyciągając rękę ku Sembirowi. — Abdulla to jest człowiek, jakiego ci potrzeba. Nie ma rzeczy, której by nie

21 pani (mal.)

22 Sirih — po malajsku betel

kupił, i nie ma rzeczy, której by nie sprzedał. Wierzaj mi, ja go znam dobrze.

Chwilę czekał na odpowiedź, po czym dodał:

— Wszystko to jest prawdą i nic więcej nie mam do powiedzenia.

Nina, odepchnięta przez matkę, usłyszała w odpowiedzi miękki, spokojny głos o równym brzmieniu, właściwym wysoko urodzonym Malajom:

— Któż by wątpił o słowach białego tuana? Ale mężczyzna szuka przyjaciół tam, gdzie serce mu każe. Czyż to nie jest także prawda? Przyszedłem o późnej godzinie, bo mam do powiedzenia coś, czego rad wysłuchasz, tuanie. Jutro udam się do sułtana; każdy handlarz pragnie przyjaźni wielkich mężów. Wrócę tutaj, aby rzec poważne słowa, jeśli taką jest twoja wola. Nie pójdę do Arabów.

Ich łgarstwa są bardzo wielkie. I czymże oni są? *Tjelaka!*²³ Głos Almayera zabrzmiał teraz nieco uprzejmiej: — Jak sobie życzysz, tuanie. Mogę wysłuchać cię jutro o każdej porze, jeśli masz mi coś do powiedzenia. Ale po rozmowie z Lakambą nie zechcesz tu wracać, *entjik*²⁴ Dainie. Zobaczysz. Tylko pamiętaj: ja z Lakambą nie chcę mieć do czynienia. Możesz mu to powiedzieć. Właściwie — co masz do mnie za interes?

— Teraz już znam cię, tuanie! Porozumiemy się jutro. Mówię trochę po angielsku, więc będziemy mogli swobodnie rozmawiać, nikt nas nie zrozumie. A przy tym ... Urwał nagle, pytając ze zdziwieniem:

— Co to za hałas, tuanie?

Almayer słyszał także wzrastający hałas i szarpaninę z tamtej strony firanki. Ciekawość Niny brała widać górę nad przesadnymi pojęciami pani Almayer o kwestiach dotyczących się przyzwoitości. Słyszać było wyraźnie ciężkie oddechy, a firanka wstrząsała się chwilami. Walka była głównie fizyczna, choć pani Almayer nie szczędziła także gniewnych napomnień, odznaczających się jak zwykle brakiem wszelkiego logicznego związku oraz nieprzebraną obfitością przekleństw.

— Ty bezwstydna kobieto! Czy jesteś niewolnicą? — wrzeszczała rozgniewana matrona. — Zasłoń twarz, nędzny podrzutku! Ty biała żmijo, nie puszczę ciebie!

Na twarzy Almayera odbiło się zakłopotanie i zarazem wątpliwość, czy byłoby wskazanym pośredniczyć między matką a córką. Spojrzał na swego malajskiego gościa, który z ubawioną miną oczekiwał w milczeniu na koniec zajścia.

— To nic, to tylko kobiety — odezwał się Almayer i machnął pogardliwie ręką.

W odpowiedzi na to wyjaśnienie Malaj skłonił poważnie głowę, a twarz jego

23 Przekłęci! (mal.)

24 panie (mal.)

przybrała wyraz pogodnej obojętności zgodnie z wymaganiami etykiety. Walka za firanką ucichła i widocznie młodsza wola postawiła na swoim, gdyż rozległ się klekot sandałów pani Almayer i cichnąc zamarł w oddali.

Pan domu uspokoił się; chciał podjąć przerwana rozmowę, lecz uderzyła go nagle zmiana w wyrazie twarzy gościa. Odwrócił się i ujrzał Ninę stojącą we drzwiach.

Po odwróceniu pani Almayer z pola bitwy Nina uniosła zdobytą firankę z wykrzykiem: „To tylko kupiec!” i stanęła w progu w pełnym świetle na ciemnym tle korytarza. Zwichrzone jej włosy świadczyły o niedawnej walce, usta były rozchylone, a gniewny blask nie wygasł jeszcze we wspaniałych, świetlistych oczach. Ogarnęła spojrzeniem grupę biało odzianych wojowników, stojących nieruchomo z włóczniami w ciemnym, oddalonym kącie werandy, wzrok jej utkwiał z ciekawością w przywódcy okazałego orszaku. Dain Marula stał naprzeciwko niej, nieco z boku. Uderzony pięknnością niespodzianego zjawiska, zgiął się w niskim pokłonie, z dłońmi złożonymi nad głową, na znak hołdu świadczonego zwyczajem malajskim tylko wielkim tej ziemi. Jaskrawe światło lampy mieniło się w złotych haftach zdobiących czarny, jedwabny kaftan Malaja; snop iskier tryskał z drogocennej rękojeści krisa²⁵ zatkniętego za szeroki pas, który ujmował w biodrach gęste fałdy czerwonego sarongu. Wspaniałe kamienie, zdobiące ciemne palce rąk Daina, jarzyły się tęczowo. Wyprostował się szybko po niskim pokłonie i wsparł rękę ruchem pełnym wdzięku i swobody na rękojeści ciężkiego miecza o krótkiej pochwie, zdobnej jaskrawo barwionymi frędzlami z końskiego włosienia

Nina, stojąc we drzwiach, patrzyła na gibką postać Malaja; był średniego wzrostu, lecz szerokie jego barki zdradzały wielką siłę. Spod zwojów niebieskiego turbana o strzępiastych końcach spuszczonej malowniczo na lewe ramię wyglądała twarz kipiąca zuchwałą radością życia, a jednak nie pozbawiona wyrazu pewnej godności. Kwadratowe szczęki, czerwone, wydatne wargi, ruchome nozdrza i wyniosły ruch głowy zdradzały istotę na wpół dziką, nieokiełznaną, a może i okrutną, zacierały wrażenie aksamitnej, prawie kobiecej łagodności spojrzenia tak znamiennego dla malaj sklej rasy. Ochłonawszy nieco ze zdumienia Nina ujrzała oczy Malaja wbite w nią z tak nieposkromionym wyrazem zachwytu i pożądania, że ogarnął ją nieznany dotąd poryw wstydu; rozkoszny niepokój przeniknął na wskroś całą jej istotę. Strwożona niezwykłością tych wrażeń, zatrzymała się w progu i instynktownie zakryła twarz firanką, lecz oko, część policzka i zbłąkany promień włosów pozostały nie zasłonięte. Przykuwał ją nieodparcie widok tego wspaniałego, nieulekłego męża; jakże niepodobny był do kupców widywanych dotychczas na tej samej werandzie!

²⁵ sztylet malajski.

Dain Marula, olśniony nieoczekiwanym zjawiskiem, zapomniał o zmieszonym Almayerze, o brygu, o świecie zagapionej w niemym podziwieniu, o celu swych odwiedzin; zapomniał o całym świecie, ogarnięty przemożnym pragnieniem, aby rozkoszować się jak najdłużej cudnym zjawiskiem, spotkanym tak niespodzianie w miejscu tak — według niego — nieodpowiednim.

— To moja córka — rzekł zakłopotany Almayer. — Nic nie szkodzi. Białe kobiety mają inne zwyczaje, pewno wiesz o tym, tuanie, ponieważ wiele podróżowałaś. No, ale już późno. Jutro skończymy naszą rozmowę.

Dain zgiął się w niskim pokłonie. Ostatni raz jeszcze rzucił wzrokiem na Ninę usiłując śmiało wyrazić w tym spojrzeniu nieprzeparty swój zachwyt. W następnej chwili podał Almayerowi rękę z uprzejmością i powagą, a na jego twarzy malowała się kamienna obojętność, jak gdyby nic go nie obchodziła obecność jakiegokolwiek kobiety. Ludzie Daina oddalili się długim sznurem; ruszył wnet za nimi, a śladem jego postępował krępy Sumatrańczyk o dzikim wyglądzie, przedstawiony uprzednio jako dowódca brygu.

Nina podeszła do balustrady. Światło księżyca przewijało się po stalowych ostrzach włócznie wojowników zmierzających gęśgo do przystani; mosiężne obręcze na ich nogach pobrzękiwały rytmicznie. Po chwili łódź odbiła od brzegu i ukazała się w pełnym świetle miesiąca majacząc niby ciemna, bezkształtna masa w lekkiej mgłę wiszącej nad rzeką. Wydało się Ninie, że widzi u rufy wdzięczną postać męską na tle rozpostartego żagla, lecz po chwili wszystkie kontury zamazały się i rozplynęły w zwojach białych oparów otulających środek rzeki.

Almayer zbliżył się do córki. Wsparł się obu rękami o poręcz i spoglądał markotnie na stos śmieci [i potłuczonych butelek u stóp werandy].

— Co znaczył ten hałas przed chwilą? — sarknął gniewnie, nie podnosząc oczu. — Niech was doprawdy! Czego chciała twoja matka? A ty dlaczego się pokazałaś?

— Matka nie chciała mnie puścić — odpowiedziała Nina. — Gniewa się na mnie i mówi, że ten człowiek, który dopiero co odszedł, to wielki radża. Myślę teraz, że ona ma rację.

— Zdaje mi się, że wy, kobiety, macie wszystkie bzika — warknął Almayer. — Cóż to cię może obchodzić? albo ją, albo kogokolwiek? Ten człowiek chce zbierać po wyspach strzykw²⁶ i ptasie gniazda — oto, co mi powiedział ten wasz radża! Przyjdzie tu jutro. Życzę sobie, abyście się trzymały z daleka od domu i pozwoliły mi zająć się spokojnie interesami.

²⁶ Strzykw — zwierzęta morskie z rodziny szkarłupni, służące do wyrobu cenionego w Azji przysmaku zwanego *trepang*.

Na drugi dzień Dain Maruła zjawił się znowu i miał długą rozmowę z Almayerem. Nawiązali przyjazny i zażyły stosunek, który zwracał ogólną uwagę, póki ludność Sembiru nie przywykła do widoku gęstych ognisk zapalonych w *kampungu* białego, gdzie ludzie Maruli grzali się nocną porą w czas północno-wschodniego musonu. Pan ich wiódł tymczasem długie narady z *tuanem putih*²⁷, jak nazywano Almayera. Nowy kupiec wzbudził w Sembirze ogólne zaciekawienie. Czy widział się z sułtanem? Co mu sułtan powiedział? Czy ofiarował sułtanowi jakie dary? Co będzie sprzedawał, a co będzie kupował? Mieszkańcy bambusowych chat znad rzeki zajmowali się gorliwie tymi zagadnieniami. Nawet w bardziej okazałych siedzibach: w domu Abdulli, w posiadłościach najbogatszych kupców: Arabów, Chińczyków i Bułgisów — podniecenie umysłów było wielkie i długotrwałe. Proste słowa, w jakich młody kupiec opowiadał chętnie swoje dzieje, nie znajdowały posłuchu u podejrzliwych mieszkańców Sembiru. A jednak miały wszelkie pozory prawdy. Mówił, że jest kupcem i że ma na sprzedaż ładunek ryżu. Nie będzie kupował gutaperki ani wosku. Swej licznej załogi użyje do zbierania strzykw na koralowych rafach poniżej ujścia rzeki; zamierza także poszukiwać ptasich gniazd na lądzie. Te dwa rodzaje towaru gotów jest nabyć, o ile by były na sprzedaż. Dalej mówił, że pochodzi z Bali i jest braminem. Ten ostatni fakt można było stwierdzić, bo młody kupiec nie przyjmował żadnego pożywienia podczas swych częstych odwiedzin w domach Lakamby i Almayera. Do Lakamby udawał się zwykle nocą na długotrwałe posłuchania. Babalatji, który uczestniczył zawsze w tych spotkaniach mocarza z kupcem, umiał pozbyć się natrętów usiłujących dowiedzieć się treści tak długich i częstych rozmów. Gdy poważny Abdulla zadawał mu od niechcienia wielce dworne zapytania, Babalatji przybierał pozory zupełnego prostaczka, a umiał przy tym nadać swemu jednemu oku wyraz całkowitej bezmyślności.

— Jestem tylko niewolnikiem swojego pana — szeptał wahające, po czym niby decydując się nagle na jakieś niebaczne zwierzenie — zawiadamiał o kupnie ryżu dokonany przez Lakambę i powtarzał kilkakrotnie uroczystym i tajemniczym tonem: — Sto wielkich worków kupił sułtan! sto worków, tuanie!

Abdulla, przeświadczony, że chodzi tu o wiele ważniejsze sprawy, przyjmował jednak informację z wszelkimi oznakami zdziwienia oraz szacunku i rozchodzili się każdy w swoją stronę. Arab przeklinał w duchu nędznego psa, a Babalatji wędrował dalej drożyną pełną kurzu i kiwał się, wytknąwszy naprzód brodę porośłą rzadkimi siwymi włosami — podobny do ciekawego kozła, który puścił się na jakąś zakazaną wyprawę. Dwoje bacznych oczu śledziło jego poruszenia. Djim Eng dostrzegłszy w oddali Babalatjego otrząsał się z

27 białym panem (mal.)

odrętwienia zwykłego u nałogowych palaczy opium; chwiejnym krokiem wychodził aż na środek ścieżki i oczekiwał nadejścia znakomitego męża, aby go do siebie zaprosić. Lecz dyskretna Babalatjego umiała odeprzeć nawet atak przyjacielskiej serdeczności popartej tęgim dżynem dolewany hojnie ręką gościnnego Chińczyka. D j im Eng musiał w końcu uznać się za pokonanego; pozostawał sam na sam z pustą butelką, równie mądry jak i przedtem, i spoglądał smętnie za oddalającą się postacią sembirskiego statysty, którego zawila i kręta droga wiodła jak zwykle do *kampungu* Almayera.

Od chwili gdy za pośrednictwem Daina nastąpiło pojednanie między jego białym przyjacielem a Lakambą, jednooki dyplomata stał się znów częstym gościem w domu Holendra. Można go było spotkać tam o każdej porze ku wielkiej odrazie Almayera; wałęsał się z roztargnioną miną po werandzie, siedział przycupnięty gdzieś w korytarzu lub też wyglądał zniechęcony z węgła, a zawsze był gotów wdać się w poufną pogawędkę z panią Almayer. Stosunek jego do pana domu cechowała wielka płochliwość; snadź podejrzewał, że uczucia, rozpierające na jego widok serce białego, mogłyby znaleźć niepożądane ujście w nagłym kopnięciu. Ulubionym jego schroniskiem była kuchenna szopa, gdzie stał się codziennym gościem. Przysiadł na piętach obok krzątających się kobiet i trwał tak godziny całe z głową wspartą o kolana, oplecione chudymi ramionami; samotne jego oko błędziło niespokojnie na wszystkie strony, uzupełniając ten żywy wizerunek czujnej brzydoty. Almayer chciał nieraz poskarżyć się Lakambie na natręctwo jego premiera, lecz Dain odradził mu to.

— Nie możemy zamienić dwóch słów, aby ten nie słyszał! — narzekał Almayer.

— A więc przyjdź, tuanie, na pokład brygu, tam porozmawiamy swobodnie — odparł Dain ze spokojnym uśmiechem. — To nic nie szkodzi, że się ten człowiek tu wałęsa; Lakambą myśli, że wie o wszystkim. A może sułtan podejrzewa mnie o chęć ucieczki? Pozwól, tuanie, niech jednooki krokodyl wygrzewa się w twoim *kampungu*.

Almayer przyzwolił, ale niechętnie. Mrucząc niewyraźne groźby spoglądał z ukosa na wiekowego statystę, który przesiadywał ze spokojnym uporem przy rodzinnym kotle z ryżem,

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rozgorączkowany mieszkańcy Sembiru ochłonęli stopniowo. Przyzwyczajono się z czasem do widoku ludzi krążących między domem Almayera a statkiem, który stał na kotwicy u przeciwnego brzegu. Niezwykły pośpiech z jakim czeladź Almayera zabrała się do naprawienia starych czółen, nie wadził już kobietom sembirskim w należywym wykonywaniu czynności gospodarczych. Nawet zawiedziony Djim Eng przestał dręczyć swój mętny umysł handlowymi zagadkami: za pośrednictwem fajki z opium pograżał się w stan błogiej niepamięci i zostawiał w spokoju Babalatjego, który mijał jego chatę, nie zapraszany więcej i nie zwracając pozornie niczyjej uwagi.

Owego skwarne popołudnia sembirski statysta, nie zatrzymany przez żaden przyjacielski wywiad, wyciągnął swoje czółenka spod krzaków, gdzie chował je zwykle podczas odwiedzin w domu Almayera. Opustoszała rzeka skrzyła się w prostopadłych promieniach słońca. Babalatji wiosłował powoli i od niechcenia, skurczony na dnie łódki pod swym olbrzymim kapeluszem, kryjąc się przed palącym żarem odbitym od wodnej tarli. Nie spieszyło mu się wcale. Pan jego, Lakamba, spoczywa jeszcze z pewnością o tej godzinie. Babalatji zdąży przybyć przed jego obudzeniem i powita go ważnymi nowinami. Czy władca okaże niezadowolenie? Czy stuknie z gniewem hebanową laską o podłogę i przerazi swego sługę gwałtownymi słowami bez związku? Czy też przysiadzie na piętach z dobrotliwym uśmiechem, poddając rękami o brzuch ruchem sobie właściwym i splunie obficie w miedzi—sne naczynie, przy czym mruknie coś pochlebnie a przytwierdzające? Takie myśli zaprzętały Babalatjego, gdy manewrował zręcznie wiosłem płynąc w kierunku *kampungu*, którego częstokół wyglądał zza gęstego listowia na wprost domku Almayera.

Babalatji miał istotnie zdać sprawę z ważnych rzeczy. Nareszcie coś pewnego na potwierdzenie wszystkich podejrzeń. Od niejakiego czasu zwróciła jego uwagę skryta poufałość przebijająca w stosunku Daina do córki Almayera. Dostrzegł tajne spojrzenia, podsłuchał, jak zamieniali krótkie, pałace słowa. Lakamba słuchał tych doniesień ze spokojem i widocznym niedowierzaniem. Ale teraz Babalatji przekona go: zdobył nareszcie niezbity dowód. Tegoż ranka, gdy o świcie łowił ryby w zatoce niedaleko chaty Bulangiego, minęło go długie czółno Niny: siedziała w rufie, pochylona nad Dainem. wyciągniętym na dnie łodzi, z głową opartą o jej kolana. Widział ich dokładnie. Puścił się w ślad za nimi, ale zaczęli wkrótce wiosłować i znikli mu z oczu. Chwilę później zobaczył w drobnej łódeczce syjamską niewolnicę Bulangiego płynącą w kierunku osady ze swymi plackami na sprzedaż.

Ona także musiała ich dostrzec o szarym świcie. Babalatji uśmiechnął się do siebie złośliwie na wspomnienie zmienionej twarzy dziewczęcia, badawczego jej spojrzenia i głosu, który drżał, gdy odpowiadała na zapytania. Dain Marula nie był snadź obojętny tej małej Tarninie. To doskonale! Babalatji parsknął głośnym śmiechem, lecz nagle spoważniał i dziwnym zbiegiem myśli jął zgadywać, za jaką cenę Bulangi byłby skłonny do odstąpienia dziewczyny. Pokiwał smutnie głową wspominając, że Bulangi jest człowiekiem twardym: przed kilku tygodniami mało mu było stu dolarów za Tarninę! Tu spostrzegł się, że podczas jego rozmyślań prąd uniósł łódkę za daleko. Otrząsnął się z przygnębienia wywołanego przeświadczeniem o chciwości Bulangiego i kilku uderzeniami wiosła skierował czółenka do przystani w siedzibie rady.

Tegoż popołudnia Almayer chodził wzdłuż brzegu, jak to było ostatnio jego zwyczajem, czuwając nad ludźmi zajętymi przy naprawie łodzi. Powziął nareszcie ostateczną decyzję. Kierując się wskazówkami z notatnika Lingarda, postanowił wyruszyć na poszukiwanie owych bogatych pokładów złota. Gdy je odnajdzie, dość mu będzie sięgnąć ręką, aby stać się panem nieprzebranych bogactw i przeżyć na jawie sen młodych lat. Zapatrzone w olśniewające rezultaty swoich planów, przypuścił do tajemnicy Daina Marulę, aby uzyskać potrzebną pomoc, i pogodził się z Lakambą. Poświęcił swoją dumę, honor i posłuszeństwo wobec prawa wchodząc w spółkę ze wstrętnym sobie człowiekiem. Wiedział jednak, że wobec olbrzymiego ryzyka przedsięwzięcia koniecznym jest współdziałanie Lakamby, który zobowiązał się pomóc mu zastrzegając sobie udział w zyskach. Wielkie niebezpieczeństwa groziły wyprawie, lecz Marula był odważny; ludzie jego zdawali się dorównywać męstwem swojemu wodzowi, a wobec poparcia Lakamby powodzenie było zapewnione.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni pochłonęły Almayera przygotowania do wyprawy; chodził wśród swych robotników i niewolników, pogrążony jak gdyby we śnie, choć przytomny; praktyczne szczegóły dotyczące się wyekwipowania łodzi mieszały mu się z wyrazistymi obrazami niesłychanych bogactw, które przysłaśniały mu nędzę codziennego życia; palące słońce, błotniste i cuchnące brzegi rzeki, znikły wobec przepysznych wizji wspaniałej egzystencji oczekującej na niego i na Ninę. Nie widywał prawie Niny przez te ostatnie dni, choć ukochana córka zawsze była obecna w jego myślach. Nie zwracał prawie uwagi na Daina, którego ciągle obecność w domu wydawała mu się zupełnie naturalną teraz, gdy łączyły ich wspólne sprawy. Spotkawszy młodego wodza witał go z roztargnieniem mijał unikając na pozór jego towarzystwa. Usiłował zapomnieć o nienawistnej rzeczywistości pogrążając się w pracy albo dając się unieść wyobraźni wysoko ponad szczyty drzew, gdzie

wespół z wielkimi białymi chmurami dążył na zachód w stronę raju Europy, który czekał na przyszłego milionera ze Wschodu. A i Marula nie ubiegał się już teraz o towarzystwo białego człowieka; interes był ubity i nie pozostawało nic więcej do omówienia. Jednak Dain tkwił stale gdzieś w pobliżu domu, choć rzadko zatrzymywał się dłużej na wybrzeżu podczas codziennych wizyt w domu białego. Spokojnym krokiem przechodził przez środkowy korytarz domku i szedł do ogrodu, gdzie w kuchennej szopie nad rozpalonym ogniskiem kołysał się kocioł z ryżem pod czujnym okiem pani Almayer. Omijając z dala to miejsce, skąd dochodziły kłęby czarnego dymu i świergot miękkich głosów kobiecych, skręcał na lewo. Na skraju plantacji bananów rosła kępa palm i mangowców, tworząc cienisty gaj oddzielony kilku krzewami. Przenikały tu tylko wybuchy śmiechu i daleki szczebiot dziewcząt służebnych. Dostawszy się tam Dain stawał się niewidocznym; opierał się o gładki pień wyniosłej palmy i czekał w ukryciu, z błyszczącymi oczyma i spokojnym uśmiechem, nasłuchując szelestu zeschniętej trawy pod lekkimi stopami.

Od pierwszej chwili, gdy oczy jego spoczęły na Ninie, uczył w głębi serca pewność, że ta według niego doskonale piękna kobieta będzie do niego należeć. Nieuchwytny prąd wzajemnego porozumienia przebiegł między nimi jednocząc dzikie ich natury. Dain nie potrzebował zachęcających uśmiechów pani Almayer, aby chwytać każdą sposobność zbliżenia się do dziewczyny. A ona odwracała wstydliwie twarz, gdy mówił do niej i zaglądał jej w oczy, lecz czuła każdej chwili, że nieulekły ten mąż — który szepce palące słowa tak chętnie przez nią słuchane — jest jej przeznaczeniem, że wymarzyła go sobie w snach — i oto stoi przed nią, dziki i zuchwały, gotów zadać wrogowi cios błyszczącym *krisem* lub ogarnąć namiętym uściskiem ukochaną kobietę — żywy wzór malajskiego wodza według tradycji jej matki.

Z dreszczem rozkosznej trwogi uświadomiła sobie tajemniczą swoją jedność z tym człowiekiem. Słuchając jego słów doznała wrażenia, że wskrzesił ją do nowego bytu; przy nim dopiero odczuła pełnię życia. W milczeniu i z twarzą na wpół zasłoniętą, jak przystało malajskiej dziewczynie, poddawała się fali sennego szczęścia, a Dain rzucał do jej stóp skarby namiętnej miłości w nieokiełznanym porywie dzikiej natury nie znoszącej przymusu ni opanowania.

Wiele takich rozkosznych godzin, zdających się być jedną chwilką, przeżyli w mangowym gaju za osłoną krzewów. Hasło do rozłąki dawał ostry głos pani Almayer, która podjęła się łatwego zadania: czuwała, aby jej mąż nie zmaćił gładkiego biegu miłosnych spraw córki, cieszących się jej łaskawym i gorliwym poparciem. Patrzyła z dumą i szczęściem na bezpamiętną miłość Daina; był to w jej przekonaniu wielki, potężny wódz, którego

wspaniałomyślna szczodrość zaspokajała hojnie jej chciwe instynkty.

W przeddzień owego ranka, kiedy Babalati przekonał się naocznie o słuszności swych podejrzeń, Dain i Nina pozostali dłużej niż zwykle w cienistym schronieniu. Posłyszeli ostrzegawczy krzyk pani Almayer, gdy na werandzie rozległy się już ciężkie kroki jej męża i opryskliwy głos domagający się wieczerzy. Marula przesadził lekko niski płot bambusowy i przedzierał się chyłkiem przez plantację bananów ku błotnistemu wybrzeżu zatoki, Nina zaś szła wolno ku domowi, aby przygotować wieczerzę dla ojca, jak to co dnia czyniła. Almayer był szczęśliwy tego wieczoru. Przygotowania do wyprawy skończą się wkrótce; jutro spuści łódzie na wodę. Uczuł się posiadaczem nieprzebranych skarbów i z łyżką w ręku zapomniał o talerzu z ryżem rozmyślając nad urządzeniem olbrzymiej uczy, którą wyda za przybyciem do Amsterdamu. Od czasu do czasu wyrwały mu się jakieś bezładne słowa. Nina leżała w bujającym fotelu słuchając z roztargnieniem. Przygotowania do wyprawy! złoto! cóż ją to wszystko może obchodzić? Ale gdy ojciec jej wymówił imię Daina, zamieniła się cała w słuch. Dain ma popłynąć jutro brygiem w dół rzeki, mówił Almayer; nieobecność jego potrwa kilka dni. Znowu zwłoka! to doprawdy nieznośne. Wyruszą natychmiast po jego powrocie; nie ma czasu do stracenia, bo rzeka zaczyna przybierać. Nie zdziwiłby go nawet wielki wylew. Tu Almayer odepchnął niecierpliwie talerz i wstał od stołu. Ale Nina przestała go teraz słyszeć. Dain odjeżdża! Zrozumiała, czemu zażądał, by o świcie spotkała się z nim w zatoce Bulangiego. Wspomniała spokojny, władczy jego głos. Jakaż rozkoszą jest spełnianie jego rozkazów! Zatroszczyła się nagle, czy jej łódeczka gotowa i czy znajdzie w niej wiosło. Trzeba będzie wypłynąć o czwartej z rana — już za kilka godzin.

Wstała z fotelu; musi wypocząć — o świcie czeka ją długa przejażdżka. Lampa paliła się ciemno, a ojciec, znużony całodziennym trudem, leżał już w hamaku. Zgasila lampę i weszła do dużego pokoju z lewej strony korytarza, gdzie sypiały obie z matką. W kącie, na stosie mat służących pani Almayer za posłanie, nie było nikogo. Nina zobaczyła matkę schyloną nad wielką, drewnianą skrzynią, której wieko było podniesione. Na podłodze stała łupina z kokosowego orzecha napełniona olejem, z bawełnianą szmatką zamiast knotu. Blask kaganka prześwietlał smugi czarnego, woniejącego dymu otaczając czerwoną aureolą postać pani Almayer. Plecy jej były zgięte, a głowa i ramiona chowały się w wysokiej skrzyni. Widocznie przewracała coś na dnie, bo dochodził stamtąd łagodny dźwięk srebrnych pieniędzy. Nie zwróciła zrazu uwagi na obecność córki. Nina stała obok niej w milczeniu, patrząc na małe woreczki z grubego płótna ustawione na dnie skrzyni. Pani Almayer wyjmowała garściami błyszczące guldeny i dolary meksykańskie; rozwarłszy dłonie, patrzyła, jak pieniądze sypią się z powrotem do skrzyni przez jej krogulcze palce. Upajała ją dźwięczna

muzyka srebra, a w oczach jej odbijały się błyski nowych monet.

— Ten worek, i drugi, i jeszcze jeden! — mruzczała z cicha. — On mi da jeszcze więcej — da mi tyle, ile zażądam. On jest potężnym radzą, synem Niebios, a ona będzie wielką *rani*!²⁸ To wszystko dał mi za nią! A za mnie nikt nikomu nie zapłacił! Jestem tylko niewolnicą. Nie! ja jestem matką wielkiej *rani*!

Zamilkła spostrzegłszy córkę. Zatrzasnęła gwałtownie wieko i nie podnosząc się z ziemi spojrziała na Ninę, która stała przy niej z bladym uśmiechem na sennej twarzy.

— Widziałas! prawda, że widziałas! — krzyknęła ostrym głosem. — To wszystko moje. Za ciebie to dostałam. jeszcze nie dosyć! Będzie musiał dać więcej, nim zabierze cię na tę południową wvspe, gdzie jego ojciec jest królem. Czy mnie słyszysz? Jesteś więcej warta, wnuczko radzów! więcej! więcej!

Z werandy ozwał się głos Almayera, nakazujący milczenie. Pani Almayer zdmuchnęła światło i wpełzła na czworakach do swego kąta. Nina wyciągnęła się na stosie mat, z rękami splecionymi pod głową; przez otwór w ścianie, zastępujący okno, patrzyła w gwiazdy mrugające na czarnym niebie i czekała chwili, gdy trzeba będzie udać się na umówione miejsce. Ciche szczęście przepełniało ją na myśl o tym spotkaniu w głębi puszczy, z dala od ludzkich oczu i siedzib. Dusza jej zapadała znowu w dzikość, której nie zdołało wytepić zetknięcie z cywilizacją oddziałującą na nią ongi za pośrednictwem pani Vinck. Uczucie dumy i zarazem lekkiego pomieszania ogarnęło ją na myśl o wysokiej cenie, jakiej zażądała za nią doświadczona matka, lecz uspokoiło ją wspomnienie wymownych spojrzeń i słów Daina. Przymknęła oczy, przejęta słodkim dreszczem w przeczuciu oczekiwanego spotkania.

Bywają okoliczności, w których i dziki, i tak zwany cywilizowany człowiek doznają jednakowych uczuć. Można przypuścić, że Dain Marula nie był zbyt oczarowany przyszłą teściową i że nie pochwalał zachłanności tej zacnej kobiety na błyszczące guldeny. Lecz owego ranka, kiedy Babaląti odłożył na bok troski państwowe i oddał się badaniu sieci zastawionych w zatoce Bulangiego, Dain nie doznawał żadnych uczuć prócz niecierpliwości i tęsknoty. Dotarł do wysepki, której wschodni brzeg tworzył wyżej wspomnianą zatokę, ukrył łódkę w krzakach i szedł wielkimi krokami, przedzierając się niecierpliwie przez gałęzie gęstego leśnego podszycia skrzyżowane nad ścieżką. Ze względu na ostrożność nie dojechał do samego miejsca spotkania, jak to zrobiła Nina; zostawił czołno w głównym korycie rzeki z przeciwległej strony wyspy. Gęsta, ciepła mgła ogarnęła go zaraz, ale zdołał dostrzec na lewo dalekie światełko w domu Bulangiego. Od tej chwili nie mógł już nic rozeznaczyć w gęstniejącej mgłę i trzymał się ścieżki jedynie przez jakiś instynkt, który przywiódł go do oznaczonego

28 żoną radży (mal.)

miejsca na przeciwległym brzegu wysepki. Wielka kłoda oparła się tutaj o łąd prostopadle do brzegu, tworząc rodzaj pomostu, o który rozbijały się z głośnym szumem wody bystrego strumienia. Wszedł na kłodę szybko i pewnie i dwoma długimi krokami znalazł się na drugim jej końcu wśród szumu i syku wody pieniającej się u jego stóp.

Trwał tak, odcięty od całego świata, niby zawieszony w pustce między niebem a ziemią, gdyż nawet woda szumiąca pod nim pochłonięta była przez gęstą mgłę poranną. I nagle wyszeptał imię Niny w bezkresną przestrzeń, pewien, że to wezwanie dojdzie jej uszu; czuł instynktownie bliskość czarownego zjawiska, przekonany, że i Nina świadoma jest jego obecności.

Czołno jej zamajaczyło przy kłodzie wystając wysoko nad wodą wskutek ciężaru wioślarki siedzącej u rufy. Marula przytrzymał łódkę i wskoczył lekko, odsadzając się od brzegu silnym rzutem. Czółenko, posłuszne nadanemu kierunkowi, przepłynęło o włos od kłody i puściło się na fale rzeki, która z przychylną życzliwością obróciła je bokiem do prądu i poniosła szybko i bezgłośnie między niewidzialnymi brzegami. A Dain zapomniał znów o całym świecie u stóp Niny, porwany falą uniesienia, zmożony szczęściem, dumą i pożądaniem. Uczuł raz jeszcze z niezbitą pewnością, że nie ma dla niego życia poza istotą, którą trzyma przy sercu w namiętym, długim uścisku. Nina wysunęła mu się z objęć z cichym śmiechem.

— Przewrócisz łódkę, Dainie! — szepnęła.

Chwilę jeszcze topił w jej oczach rozgorzałe spojrzenie, wreszcie puścił ją z westchnieniem i wyciągnął się na dnie czołna opierając głowę o jej kolana. Spojrzał w górę, sięgnął poza siebie ogarniając ramionami jej kibić i splótł ręce na jej plecach. Schyliła się nad nim, wstrząsnąwszy głową rozluźniła sploty włosów, które opadły ujmując twarze obojga w czarne ramy.

Prąd ich unosił. Nina chyliła głowę coraz niżej, aby nie stracić żadnego ze słów Daina, droższych jej niż samo życie. Rodziły mu się na ustach, nieokrzesane, a wymowne; dzika jego natura poddała się wszechwładnej namiętności. Nic nie istniało dla tych dwojga poza łupiną wątlego czółenka. Zawarli w nim cały swój świat, tchnący potężną, zachłanną miłością. Nie widzieli zgęstniałej mgły, nie czuli przedrannego powiewu, który zacichł niebawem, zapomnieli o otaczającej ich puszczy, o całym świecie tropikalnej przyrody, która czekała w uroczystym, wymownym skupieniu na pojawienie się słońca.

Gwiazdy poblady nad gęstą oponą mgły otulającej łódkę z jej brzemieniem młodości i szczęścia. Od wschodu niebo nasiąkło srebrnoszarą barwą. Wiatr przycichł; wszystkie żyjące stworzenia nad brzegiem wielkiej rzeki zastygły w spoczynku i ciszy nie zamąconej ani

szelestem liścia, ani pluskiem skaczącej ryby. Ziemia, woda i niebo zapadły w sen tak głęboki, że — zdało się — nie ockną się nigdy. Wszystkie żywotność kipiąca w podzwrotnikowej naturze skupiła, się w gorejących spojrzeniach i rozkołysanych sercach dwóch istot mknących w czółenku po gładkiej rzecznej tafli pod białym baldachimem mgły.

Wielki snop żółtych promieni strzelił nagle zza czarnej zasłony drzew okalających brzegi Pantai. Gwiazdy zagasty; drobne czarne chmurki u zenitu rozgorzały na chwilę purpurą. Gęsta mgła tknięta łagodnym powiewem — westchnieniem budzącej się natury — wirowała i darła się na fantastyczne strzępy, spod których wyjrzała pomarszczona toń rzeki mieniąc się skrami w jasnym świetle dnia. Wielkie stada białych ptaków zanosiły się krzykiem i zataczały kręgi nad rozchwianymi wierzchołkami drzew. Słońce weszło nad wschodnim wybrzeżem.

Dain zbudził się pierwszy do trosk codziennego życia. Powstał i rzucił szybko wzrokiem w górę i w dół rzeki. Dostrzegł w tyle łódkę Babalatjego i odkrył drugą czarną plamkę na błyszczącej wodzie — czółenko Tarniny. Przykląkł ostrożnie w dziobie czółna i ujął wiosło, a Nina, siedząca u rufy, poszła jego śladem. Pochylali się miarowo, odgarniając wodę każdym uderzeniem wiosła, a mała łupinka sunęła szybko i żłobiła wąską bruzdę objętą koronkowym szlakiem białej, lśniącej piany.

— Ktoś płynie za nami, Nino — rzekł Dain nie odwracając głowy. — Nie dajmy się dopędzić. Jest chyba za daleko, aby mógł nas poznać.

— Przed nami widzę także łódkę — rzuciła Nina zdyszonym głosem, nie przestając wiosłować.

— Zdaje mi się, że poznaję, kto to taki — odrzekł Dain. — Blask wody mnie oślepia, ale to chyba Tarnina. Przychodzi co rano na pokład brygu ze swoimi ciastkami i pozostaje czasem przez cały dzień. Nic nie szkodzi steruj ku brzegowi, musimy dostać się pod gałęzie. Tu gdzieś blisko schowałem czółno.

Mówiąc to spoglądał bacznie na szerokie liście palm *nipah*, o które ocierało się czółno w szybkim, cichym biegu.

— Spójrz, Nino — rzekł wreszcie — o tam, gdzie kończą się wodne palmy, pod zwisającymi gałęziami tego pochylego drzewa. Steruj wprost na ten zielony konar.

Podniósł się i patrzył uważnie, jak łódka zbliża się powoli do brzegu, kierowana pewną i lekką ręką Niny. Przytrzymał się konara i przegiąwszy się do tyłu silnym rzutem pchnął czółno pod niską, zieloną arkadę splecioną z pnączy. Wjechali do malutkiej zatoczki powstałej wskutek zapadnięcia się wybrzeża podczas ostatniego wielkiego wylewu. Łódź Daina tkwiła tu u brzegu, obciążona wielkim kamieniem; wskoczył do niej przytrzymując

czołno Niny i w chwilę później obie łupinki kołysały się spokojnie jedna obok drugiej, odbite w czarnym zwierciadle wody. Przyćmione, zielonawe światło przedzierało się przez wyniosłe sklepienie z gęstego listowia, a hen u góry, w jasnym blasku dnia, jarzyły się olbrzymie, purpurowe kwiaty, rozsypując nad Dainem i Niną deszcz wielkich, zroszonych płatków, które wirowały zwolna, spadając na ich głowy nieustanną wonną kaskadą. A w górze nad nimi i w głębi sennej wody, i wszędzie wokół wrzała natężona praca podzwrotnikowej natury. Bujna roślinność pławiła się w ciepłym powietrzu przesyconym wonnymi ostrymi zapachami. Drzewa i liany wydzierały się ku górze gmatwając się w nierozzerwalne sploty, dusiły się w okrutnych uściskach z zapamiętałością i szaleństwem, prąc ku życiodajnemu blaskowi słońca w złowroziej milczącej walce na śmierć i życie. Zdało się, że wszystkie rośliny, przejęte zgrozą na widok zgnilizny szerzącej się u ich stóp, porwały się do nagłej ucieczki, by ująć rozkładowi i śmierci, z której same wzięły początek.

— Musimy się rozstać — przemówił Dain po długim milczeniu. — Wracaj zaraz do domu, ja poczekam tutaj, aż bryg przyplynie i zabierze mnie po drodze.

— Czy długo tam zostaniesz, Dainie? — spytała cicho Nina.

— Długo! — wykrzyknął Dain. — Któryż człowiek chciałby pozostać długo w ciemności? Kiedy nie jestem przy tobie, Nino, wydaje mi się, że oślepiłem. I cóż mi po życiu bez światła?

Z uśmiechem dumy i szczęścia Nina wychyliła się i ujęła twarz Daina w obie dłonie topiąc w jego źrenicach tkliwe i badawcze spojrzenie. Snadź wyczytała z oczu potwierdzenie jego słów, bo słodki spokój ją ogarnął i złagodził ból rozłąki. Uwierzyła, że ten potomek wielkich radzów, syn potężnego wodza, pan życia i śmierci, przy niej tylko widzi blask słońca. Porwała ją nieskończona fala wdzięczności i miłości. Jakimże znakiem objawi wszystko, co czuje, człowiekowi, który nasycił jej serce taką radością i taką dumą? W zamęt targających nią uczuć padło nagłe, jak błyskawica, wspomnienie wzgardzonej i prawie zapomnianej cywilizacji, z którą obcowała w dniach ucisku, smutku i gniewu. Z zimnego popieliska nienawistnej i nędznej przeszłości spłynęło miłosne natchnienie; znalazła wyraz dla szczęścia bez granic i rękojmię promiennych dni wspaniałego jutra. Zarzuciła ramiona na szyję Daina i przycisnęła wargi do jego ust w długim, palącym pocałunku. Zamknął oczy, zdumiony i przerażony burzą, jaką w nim rozpełtało to dziwne, nie znane mu dotknięcie. Czołno Niny wypłynęło już dawno na środek rzeki, a on trwał wciąż jeszcze bez ruchu, nie śmiejąc otworzyć oczu, aby nie spłoszyć uczucia upajającej rozkoszy, której zaznał pierwszy raz w życiu. Teraz pragnął już tylko nieśmiertelności, by stanąć na równi z bogami, a istota, która w taki sposób umiała otworzyć przed nim wrota raj, musi być jego na wieki.

Gdy otworzył oczy, ujrzał przez arkadę z pnączy dziób brygu płynącego wolno z prądem w dół rzeki. Uprzytomnił sobie, że trzeba już wrócić na pokład, a jednak nie mógł oderwać się od miejsca, gdzie uczył, czym jest szczęście. „Jeszcze czas, niech sobie płyną”, szepnął cicho i zamknął oczy pod purpurowym deszczem wonnych płatków, usiłując przeżyć raz jeszcze chwilę pożegnania z całą jej rozkoszą i całym jej lękiem.

Zdażył jednak widocznie dopędzić swoją załogę i pochłonęły go snadź ważne sprawy, gdyż Almayer oczekiwał na próżno rychłego powrotu przyjaciela. Jakże często spoglądał w dół rzeki wyglądając niecierpliwie pojawienia się brygu! Lecz pustka panowała na wodach Pantai, tylko w dali mignęło niekiedy czółno rybackie. Natomiast od strony lądu nadpłynęły czarne chmury i spadły ciężkie ulewy, zwiastujące nadejście pory deszczów, burz i powodzi, w czasie których rzeka była prawie niedostępna dla czółen malajskich.

Almayer wałęsał się wzdłuż rozmiękłego wybrzeża między swymi domami. Przyglądał się niespokojnie rzece, która wzdymała się coraz bardziej, podpełzając ku łódkom, gotowym do drogi i ustawionym w rząd pod osłoną przemokłych mat z Kadjangu. Almayer czuł, że mu się szczęście z rąk wymyka. Chodził ciężkim krokiem tam i z powrotem po bezustannym deszczu lejącym się z niskich chmur. Owładnęła nim rozpaczliwa jakaś obojętność. Niech się już dzieje, co chce! On zawsze ma takie szczęście. Ładnie go wykierowały te dwa przekłete dzikusy, Dain i Lakamba! Licząc na ich pomoc, wydał na naprawę łodzi wszystko aż do ostatniego dolara. Teraz Dain gdzieś przepadł, a Lakamba nie daje znaku życia z za swojego częstokołu. „Nawet ten łotr Babalatji nie pokaże mi się na oczy — rozmyślał w dalszym ciągu. — Kupiłem już od nich wszystek ryż i miedziane gongi, i tkaniny potrzebne do wyprawy. Wycisnęli ze mnie ostatni grosz i teraz wszystko im jedno, czy pojedę, czy też zostanę.” Machnąwszy ręką ze zniechęceniem, włożył powoli na schody nowego domu, aby schronić się przed deszczem na werandzie. Wspierał się o poręcz, z głową wsuniętą w ramiona. i zapamiętywał się w gorzkich myślach. Nie czuł mijających godzin, nie zważał na głód, nie słyszał ostrego głosu żony wołającej go na wieczerzę. Dopiero pierwszy grzmot wieczornej burzy zbudził go z ponurej zadumy. Gdy szedł chwiejnym krokiem w stronę światelka błyszczącego w starym domku, najlżejszy szmer znad rzeki nie uszedł jego słuchowi, zaostzonemu przez niepokój i oczekiwanie. Przez kilka nocy z rzędu słyszał plusk wiosel i widział mętny zarys łodzi; za każdym razem serce tłukło mu się nadzieją, że Dain powraca, lecz zawsze spotykało go rozczarowanie: niechętnie głosy odpowiadały na jego okrzyki i dowiadywał się, że to Arabowie jadą w odwiedzinę do Lakamby. Świadomość tych wizyt przyprawiała go o bezsenne noce; nie mógł zmrużyć oka, trawiony dociekaniem, jak będzie wyglądało nowe łotrństwo, uknute przez tę szanowną kompanię. Wreszcie gdy stracił

już wszelką nadzieję, porwała go radość, gdy usłyszał głos Daina. Lecz Dain pragnął przede wszystkim widzieć się z Lakamba; zaniepokoiło to Almayera, który żywił głęboką nieufność do radzy i nie dowierzał zawartemu przymierzu. A jednak Dain powrócił; chciał widać dotrzymać umowy. I w sercu Almayera odżyła znów nadzieja; nocy tej spał spokojnie, podczas gdy Nina czuwała pochłaniając wzrokiem rzekę rozszalałą pod chłostą burzy ciągnącej w dal ku morzu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rozsiawszy się z Almayerem Dain przeprowił się szybko na drugi brzeg Pantai i wylądował naprzeciwko wrót w częstokole opasującym zabudowania, które składały się na rezydencję radży Sembiru. Widać oczekiwano tu kogoś, bo wrota były otwarte; ludzie z pochodniami stali w pogotowiu, aby wprowadzić gościa na pochyły pomost z desek wiodący do największego budynku, gdzie mieszkał sam Lakamba i gdzie załatwiano wszelkie sprawy państwowe. Pozostałe domki służyły ku wygodzie licznych domowników i żon władcy.

Rezydencję Lakamby stanowiła solidna siedziba z grubych bierwion, osadzona na wysokich palach; naokoło biegła weranda z łupanego bambusu, a całą budowlę przykrywał niezmiernie wysoki dach z liści palmowych, spoczywających na belkach szerniałych od dymów z pochodni.

Dom stał równoległe do rzeki, zwrócony długą fasadą ku wrotom w ostrokole; w jednej z bocznych ścian były drzwi, do których prowadził pomost z desek. W niepewnym świetle dymiących pochodni Dain zauważył na prawo grupę zbrojnych ludzi; Babalatji odłączył się od nich i otworzył drzwi przed gościem. Dain znalazł się w sali przyjęć, zajmującej mniej więcej trzecią część domu i oddzielonej ciężką kotarą z europejskiej tkaniny; na jej tle stał wielki, bogato rzeźbiony fotel z czarnego drzewa, a przed nim prosty stół sklecony z desek. Poza tym umeblowanie składało się wyłącznie z wielkiej ilości mat. Z lewej strony tkwiła w stojaku broń: trzy strzelby z nasadzonymi bagnetami. W cieniu pod ścianą spała przyboczna straż Lakamby złożona wyłącznie z jego przyjaciół i krewnych, stłoczonych w beładną kupę brunatnych rąk, nóg i różnokolorowego odzienia. Dochodziło stamtąd niekiedy silniejsze chrapnięcie lub stłumiony jęk śpiącego niespokojnie żołnierza. Na stole stała europejska lampa z zielonym abażurem; przyćmione jej światło pozwoliło Dainowi rozejrzeć się pobieżnie po sali.

— Bądź pozdrowiony, tuanie! — odezwał się Babalatji i spojrzał pytająco na gościa.

— Muszę natychmiast rozmówić się z radżą — odrzekł Dain.

Babalatji skinął głową, podszedł do miedzianego gonga wiszącego pod stojakiem i uderzył weń ostro po dwakroć.

Ogłuszający hałas zbudził uspiętych wojowników. Chrapanie ustało; nogi wystające na wszystkie strony z kupy śpiących ludzi wciągnięto do środka; cała grupa drgnęła i rozpadła się zwolna na pojedyncze postacie. Rozległy się głośnie ziewania, przecierano senne oczy. Za kotarą zaszczebiotały kobiece głosy, po czym ozwał się niski bas Lakamby:

— Czy to ten arabski kupiec?

— Nie, tuanie — odrzekł Babalatji — to Dain wreszcie powrócił. Przybył na ważną rozmowę — *bitjara*²⁹ — jeśli łaskawie zezwolicie raczysz.

Lakamba zezwolił snadź łaskawie, bo ukazał się po chwili na tle kotary; jednakże łaskawość jego nie sięgała tak daleko, aby zechciał wejść w szczegóły swojej toalety. Krótki czerwony sarong, zawiązany pospiesznie wokół bioder, oto wszystko, co miał na sobie. Miłościwy władca Sembiru był zaspany i w dosyć kwaśnym humorze. Zasiadł w fotelu rozstawiwszy szeroko kolana, ręce wsparł na poręczach i spuścił głowę ciężko oddychając; oczekiwał ponuro na rozpoczęcie ważnej rozmowy.

Ale Dainowi się nie spieszyło. Spojrzał na Babalatjego — który przykucnął wygodnie u stóp władcy — i milczał w dalszym ciągu z pochyloną głową, niby czekając uważnie na słowa mądrości.

Babalatji zakaszłał dyskretnie; pochyliwszy się naprzód, podsunął Dainowi maty i przemówił piskliwym głosem, zapewniając gościa płynnie i gorąco, że powrót jego, z dawna upragniony, przepełnił wszystkich rozkoszą. Tęsknota za widokiem Daina pożerała serce Babalatjego, a uszy jego wędły, pozbawione odżywczego dźwięku słów znakomitego gościa. Serca i uszy wszystkich innych ludzi były również w tym przykrym położeniu, zapewniał, wskazując szerokim ruchem w kierunku przeciwnego wybrzeża, gdzie drzemała spokojnie osada nie przeczuwając wielkiej radości, jaka ją czeka następnego ranka, kiedy fakt przybycia Daina zostanie podany do ogólnej wiadomości.

— Bo i skądże ma spłynąć radość na biednego człowieka — ciągnął dalej Babalatji — jeśli nie z hojnej dłoni wspaniałomyślnego kupca albo też wielkiego...

Tu urwał raptownie, z całą świadomością udając zmieszanie i utkwiał w podłodze latające oko, a potworne jego usta skrzywiły się w uśmiechu pełnym skruchy. W czasie tej inauguracyjnej przemowy wyraz serdecznego ubawienia przewinał się parę razy po twarzy Daina, ustępując natychmiast pozorowi skupionej uwagi. Czoło Lakamby przecięła głęboka zmarszczka, a usta jego poruszały się gniewnie w czasie oracji premiera. Wśród ciszy zapadłej po mowie Babalatjego rozległ się urozmaicony chór chrapań; to straż przyboczna spoczywała znowu w głębokim śnie. Żaden z trzech ludzi zdążających do własnego celu — na śmierć lub życie — nie zwrócił uwagi na dalekie przelewanie się grzmotu, kicie w tej samej chwili przejęło serce Niny trwogą o ukochanego.

Po krótkim milczeniu Babalatji odezwał się znowu, zaniedbując tym razem kunszt kwiecistej wymowy. Zniżył głos i rzucał krótkie, urywane zdania. Dain naraził ich na wielki

29 rozmowa, dyskurs (ma.)

niepokój. Dlaczego nieobecność jego trwała aż tak długo;1 Ludzie zamieszkujący wybrzeża dolnej Pantai słyszeli wystrzały wielkich armat i widzieli ognisty statek Holendrów błakający się między wyspami przy ujściu rzeki. Lakamba i Babalatji byli bardzo niespokojni. Pogłoski o klęsce dosięgły ich przed kilku dniami przez usta Abdulli; od tej chwili żyli pod grozą przeczuwanego nieszczęścia wyczekując powrotu Daina. Zasypiali z lękiem, budzili się w przerażeniu, a dzień cały spędzali w trwodze jak ludzie w obliczu nieprzyjaciela. Wszystko to z powodu Daina. Czy nie uśmierzy trwogi, jaką w nich wzbudzają grożące mu niebezpieczeństwa? Gdyż Lakamba i Babalatji nie o siebie się troszczą. Żyli zawsze w spokoju, oddani duszą i ciałem wielkiemu radży w Batawii — oby los prowadził go zawsze do zwycięstw ku radości i pożytkowi oddanych mu sług!

— Mój pan Lakamba usychał z niepokoju o kupca, którego wziął pod swoją opiekę — ciągnął Babalatji. — Abdulla był także niespokojny; bo cóż by powiedzieli źli ludzie, gdyby przypadkiem...

— Milcz, głupcze! — warknął gniewnie Lakamba.

Babalatji zamilkł z uśmiechem zadowolenia, a Dain, który patrzył na niego jak urzeczony, zwrócił się z westchnieniem ulgi ku władcy Sembiru. Lakamba siedział wciąż nieruchomo; nie podnosząc głowy spojrzął spod nawisłych brwi na Daina i wyduł wargi z głośnym sapaniem. Cała jego postawa wyrażała najżywsze niezadowolenie.

— Mów, o Dainie! — odezwał się w końcu. — Słyszeliśmy różne pogłoski. Przez cały szereg dni przyjaciel mój Reszyd przybywał nocną porą ze złymi nowinami. Wieści lecą na skrzydłach wzdłuż wybrzeża. Ale może są kłamliwe. Więcej teraz łgarstw na ustach ludzi niż za dni mej młodości, lecz nie jestem łatwiejszy do oszukania na stare lata.

— Żadne z moich słów nie kłamie — odparł niedbale Dain. — Chcesz wiedzieć, co się stało z brygiem? Oto dostał się w ręce Holendrów. Wierzaj mi, radžo — dodał z nagłą energią — *orang Belanda* mają w Sembirze dobrych przyjaciół, bo skądżeby wiedzieli, którądy prowadzi moja droga?

Lakamba błysnął ku Dainowi krótkim, wrogim spojrzeniem. Babalatji podniósł się ze spokojem i podszedłszy do gongu, uderzył weń gwałtownie.

Za drzwiami zaszurały boscie nogi. Wojownicy ze straży przebudzili się w kącie i usiedli gapiąc się w sennym zdziwieniu.

— Tak, wierny przyjacielu białego radży — ciągnął pogardliwie Dain zwracając się do Babalatjiego, który wrócił na swoje miejsce u stóp Lakamby. — Uszedłem niebezpieczeństwu, aby uradować twoje serce. Ujrzawszy statek Holendrów, wpędziłem okręt na brzeg i rozbiłem go o skały. Orang Belanda nie śmieli nas ścigać statkiem i spuścili

szalupy. Rzuciliśmy się do łodzi, aby uciec, lecz statek wypuścił na nas ogniste kule i zabił wielu z moich ludzi. Ja jednak ocalałem, o Babalatji! Holendrzy śpieszą tutaj w pościgu za mną, aby zasięgnąć języka u wiernego swego przyjaciela Lakamby i jego niewolnika Babalatjego. Radujcie się teraz!

Ale żaden ze słuchaczy nie zdawał się być w radosnym nastroju. Lakamba założył nogę na kolano i drapał ją w zamyśleniu, a Babalatji, który siedział ze skrzyżowanymi nogami patrząc przed siebie bezmyślnie, zmałał niejako w oczach i obwiśł. Straż ujawniła pewne zainteresowanie toczącą się rozmową i wyciągnęła się na matach, aby znaleźć się bliżej gościa. Jeden z wojowników powstał i oparł się o stojak, bawiąc się frędzlami zdobiącymi rękojeść miecza.

Dain czekał, aż łoskot grzmotu przebrzmi w dalekim pomruku, po czym ozwał się znowu.

— Zali jesteś niemym, o władco Sembiru? A może syn wielkiego radzy niegodzien jest twojej uwagi? Przybyłem tutaj, aby znaleźć schronienie i przestrzec ciebie; pragnę wiedzieć, co zamierzasz uczynić.

— Przybyłeś tutaj dla córki białego człowieka — odparł szybko Lakamba. — Schronienie twoje jest u ojca, władcy Bali, syna Niebios — u samego *anak agung*³⁰ Cóżem jest, aby opiekować się potężnymi władcami? Wczoraj jeszcze sadiłem ryż na wypalanej polance, a dzisiaj słyszę, że życie twoje ode mnie zależy! Babalatji spojrział na władcę.

— Żaden człowiek nie ujdzie swojemu losowi — mruknął pobożnie. — Gdy miłość zagnieździ się w sercu człowieka, staje się on jak dziecko, które nic nie rozumie. Bądź miłościwym, Lakambo! — dodał ciągnąc ostrzegawczo za sarong radzy.

Lecz Lakamba wyrwał gniewnie sarong z rąk wiernego sługi. Zaczynał rozumieć, jak nieobliczalne zawikłania pociągnął za sobą powrót Daina i stopniowo tracił panowanie nad sobą. Przemów!! potężnym głosem, głusząc poświsty wichru i chlupot ulewy bębniącej o dach. Ciężka nawałnica przeciągała nad Sembirem.

— Przybyłeś tu najpierw jako kupiec nie szczędząc słodkich słów i wspaniałych obietnic. Żądałeś, abym zamknął oczy na twoje knowania z białym człowiekiem. Zgodziłem się na to. Czegóż chcesz teraz? Za młodych lat walczyłem; teraz jestem stary i potrzebuję spokoju. Nie chcę się bić z Holendrami. Daleko mi wygodniej, abyś zginął; tak będzie lepiej.

Nawałnica przyczaiła się. Po zamęcie burzy nastąpiła krótka chwila ciszy. Lakamba powtórzył miękko, niby do siebie:

— I wygodniej — i lepiej.

30 Anak agiung (mal) — balijski tytuł książęcy, dosłownie: Dziecię Najwyższego.

Dain nie wydawał się przerażony groźnymi słowami radzy. W czasie jego przemowy spojrzął błyskawicznie w tył; stwierdziwszy, że nikt za nim nie stoi, wyciągnął spokojnie z fałd szarfy pudełeczko *sirih* i jął zawijać starannie odrobinę orzecha hotelowego oraz szczyptę wapna w zielony liść, którym poczęstował go grzecznie czujny Babalatji. Dain uznał to za propozycję pokojową ze strony milczącego męża stanu — rodzaj niemego protestu przeciw niepolitycznej gwałtowności jego pana — a zarazem oznakę, że możliwość porozumienia nie jest całkowicie wykluczona. Zresztą Dain nie był zaniepokojony. Uznawał w zupełności słusność podejrzeń Lakamby; nie przeczył, że jedynie wzgląd na córkę białego sprowadził go do Sembiru — ale nie poczuwał się wcale do dziecinnej lekkomyślności, o którą posądzał go Babalatji. Wiedział, że Lakamba za głęboko jest wciągnięty w sprawę przemycania prochu, aby się nie obawiać śledztwa władz holenderskich. Ojciec Daina, niezawisły radza z Bali, wysłał go na poszukiwanie prochu, w czasie gdy utarczki na Sumatrze między Holendrami i Malajami groziły pożogą wojenną całemu Archipelagowi. Żaden z wielkich kupców nie dał posłuchu ostrożnym propozycjom Daina; oparli się pokusie mimo wysokiej ceny, jaką gotów był zapłacić. W końcu Dain przybył do Sembiru, choć zwątpił już prawie zupełnie o powodzeniu swojej wyprawy. Mówiono mu w Makassarze o białym człowieku zamieszkałym w Sembirze i o parowcu kursującym regularnie między tą osadą a Singapurem; znął go też fakt, że nad Pantai nie było stałego holenderskiego rezydenta, co ułatwiało niewątpliwie całą sprawę. Nadzieje Daina rozbiły się prawie o nieugiętą prawomyślność Lakamby, pochodzącą z dobrze rozumianego własnego interesu. Lecz hojność młodego wodza, przekonywająca moc jego zapału i urok wielkiego imienia władcy Bali zwyciężyły przezorne wahania radzy. Sam Lakamba nie chciał mieć nic do czynienia z zakazanym handlem. Nie był także za tym, aby użyć jako narzędzia Arabów, natomiast podsunął Dainowi Almayera przedstawiając go jako człowieka słabego, którym łatwo można powodować. Wspomniał też o przyjacielu białego, angielskim kapitanie, który mógł oddać wielkie usługi. Udałoby się prawdopodobnie wciągnąć go do spółki i użyć jego statku do przewiezienia prochu w tajemnicy przed Abdullą. Lecz Dain natknął się tu znowu na opór Almayera; Lakamba musiał złożyć za pośrednictwem Babalatjiego uroczyste przyrzeczenie, że oczy władcy pozostaną zamknięte na czyny białego. Za tę przyjazną dyskrecję sypnął Dain srebrnymi guldenami zniechęconych *orang Belanda*. Almayer przystał w końcu i przyrzekł, że proch się znajdzie, ale Dain musi powierzyć mu pieniądze, które trzeba przesłać do Singapuru na zakupienie towaru. Podjął się także skłonić Forda, aby wystarał się o proch i dostarczył go na pokład brygu. Nie żądał dla siebie żadnej pieniężnej nagrody, byle się Dain zobowiązał, że po odesłaniu brygu pomoże mu w jego wielkim

przedsięwzięciu, wyprawie do Gunung Mas, Góry Złota. Wy tłumaczył Dainowi, że przypuszczenie radży do sekretu było rzeczą bardzo niebezpieczną; narażało Almayera na utratę skarbu, a może i życia, gdyż chciwość Lakamby nie przebierała w środkach. Musieli jednak ostatecznie odsłonić przed nim tajemnicę, a nawet obiecać współudział w zyskach, bo groził, że w przeciwnym razie milczeć nie będzie. Gdyby Dain nie był ujrzał Niny, odmówiłby prawdopodobnie uczestnictwa w projektowanej wyprawie. Ale los zrządził inaczej — i Dain postanowił wrócić do Sembiru z połową swoich ludzi, przeprowadziwszy bryg przez niebezpieczne rafy Pantai. Uporczywy pościg holenderskiej fregaty zniewolił go do ucieczki na południe; doprowadzony do ostateczności, musiał roztrzaskać statek o skały, aby ocalić zagrożoną wolność, a może i życie. Tak Dain przyznawał słuszność podejrzeniom radży: powrócił do Sembiru wyłącznie dla Niny, choć wiedział, że go tu Holendrzy szukać będą; lecz zważył przedtem dokładnie szansę swojego bezpieczeństwa w rękach Lakamby. Otóż pewien był, że miłosierny radża go nie zabije mimo morderczych pogroźek, bo ceni w nim współnika, który posiadał tajemnicę skarbu Lingarda. Nie zechce także wydać go w ręce Holendrów, gdyż będzie się lękał wykrycia swojego uczestnictwa w występny handlu. Zważywszy to wszystko Dain czuł się mniej więcej bezpieczny i siedział spokojnie, obmyślając odpowiedź na krwiożerczą przemowę radży. Tak! Musi przedstawić wyraźnie Lakambie, co go czeka w razie, gdyby on — Dain — wpadł w ręce Holendrów i został przynaglony do odkrycia całej prawdy. Nie miałby już wówczas nic do stracenia i powiedziałby wszystko. Cóż z tego, że powrócił do Sembiru zamącając spokój radży? Przecież musi pilnować swojego imienia! Czyż nie ugasił potokiem srebra chciwości pani Almayera? Zapłacił za dziewczynę okup godny wielkiego księcia, choć niegodny tej rozkosznej oszołamiającej istoty, do której nieokiełznana jego dusza rwała się w utęsknieniu tysiąckroć dotkliwszym od najostrzejszego bólu. Chciał swojego szczęścia. Miał prawo znaleźć się w Sembirze.

Powstał i zbliżywszy się do stołu, wsparł się na nim obu łokciami. Lakamba przysunął się nieco z fotelem, a Babalatji podniósł się z ziemi i wetknął wężący nos między ich głowy. Zamieniali szeptem szybkie zdania stykając się prawie twarzami; Dain przekonywał, Lakamba przeczył, Babalatji łagodził i wyrównywał przeciwieństwa, zaniepokojony wyłaniającymi się trudnościami. Najczęściej za bierał głos Babalatji: szeptał z powagą i przejęciem, spoglądając kolejno jedynym okiem na Daina i Lakambę, co go zmuszało do ustawicznego kręcenia głową. I po cóż ten cały spór — zapytywał. Miłość dla Daina ustępuje w sercu Babalatjego tylko miłości dla pana jego i władcy. Niechże Dain im zaufa i skryje się w bezpiecznym miejscu. Dobrych kryjówek jest wiele, ale najlepsza z nich to dom

Bulangiego stojący daleko stąd na leśnej polance. Bulangi jest człowiekiem pewnym. Żaden biały nie połapie się w sieci krętych cieśnin oplątujących jego siedzibę. Biali ludzie są potężni, lecz głupi. Walka z nimi nie jest pożądana, ale oszukać ich łatwo. Naiwni są jak kobiety słabo władające rozumem. On, Babalatji, podejmuje się wywieść w pole każdego białego człowieka, ciągnął dalej z niewzruszoną pewnością siebie, płynącą, jak zwykle, z braku doświadczenia. Holendrzy będą prawdopodobnie szukali Almayera. Może nawet zabiorą go ze sobą, jeżeli ściągnie na siebie ich podejrzania. To by było wcale niezłe. Po odjeździe Holendrów Lakamba i Dain dobraliby się do skarbu bez żadnych przeszkód, przy czym jedna osoba mniej stanęłaby do podziału. Zali nie mądrość przemawia ustami Babalatjiego? Czy tuan Dain zechce schronić się przed niebezpieczeństwem do wskazanej kryjówki? a może uda się tam natychmiast?

Dain przystał na projekt ukrycia się, zaznaczając, że wyświadcza tym łaskę Lakambie i niespokojnemu mężowi stanu, natomiast odrzucił zdecydowanie propozycję bezzwłocznego udania się do Bulangiego i spojrzął znacząco w oko Babalatjemu. Dyplomata westchnął z rezygnacją jak człowiek, który poddaje się nieuniknionej konieczności, i wskazał milcząc w kierunku przeciwległego brzegu Pantai. Dain skłonił powoli głowę.

— Tak. Udaję się tam — odpowiedział.

— Zanim dzień nastanie? — spytał Babalatji.

— Natychmiast — odparł Dain stanowczo. — *Orang Belanda* nie zjawią się tu pewno przed jutrzejszym wieczorem. Muszę powiadomić Almayera o naszym postanowieniu.

— Nie, tuanie! nie mów nic — protestował Babalatji. — Przeprowadzę się sam o świcie i zawiadomię go o wszystkim.

— Zobaczę jeszcze — rzekł Dain zabierając się do odejścia.

Burza rozpełtała się znowu. Ciężkie chmury zwisały nisko nad ziemią; ciągle przelewanie się dalekiego grzmotu podkreślał od czasu do czasu łoskot bliskich piorunów, a w nieustannej grze niebieskich błyskawic las i rzeka ukazywały się chwilami ze złudną dokładnością szczegółów. Dain i Babalatji stali na trzęsącej się werandzie, olśnieni i ogłuszeni gwałtownością burzy. Otaczały ich skulone postaci niewolników i rezydentów rady, szukających schronienia przed deszczem. Dain krzyknął na wioślarzy. „*Ada, tuan*”³¹ odpowiedzieli jednogłośnie, spoglądając z niepokojem na rzekę.

— Jaka wielka woda! — krzyknął Babalatji w ucho Dalnowi. — Rzeka bardzo się gniewa. Popatrz tylko! widzisz te pędzące kłody? Czyż możesz teraz ruszyć?

Dain ogarnął niepewnym spojrzeniem siną przestrzeń kipiących wód, ujętych hen

31 Jesteśmy, panie! (mal.)

daleko, na drugim brzegu, czarną wstęgą lasów. Nagle w jaskrawym olśnieniu błyskawicy wpadł mu w oczy niski przyładek z gnącymi się drzewami i domem Almayera. Wizja zamigotała i znikła. Dain odepchnął Babalątjego i rzucił się do łodzi, a za nim pobiegli drżący wiosłarze.

Babalątji wycofał się powoli z werandy i zamknął drzwi za sobą, po czym odwrócił się i spojrzał milcząc na Lakambę. Radza siedział bez ruchu, wlepiwszy w stół kamienne spojrzenie. Babalątji przypatrywał się z ciekawością markotnemu obliczu męża, któremu służył przez tyle lat w złej i dobrej doli. W dzikim i przewrotnym sercu jednookiego statysty rodziło się niezwykle dlań uczucie sympatii, a może nawet i litości dla człowieka, którego zwał swoim panem. Z bezpiecznego stanowiska poufnego doradcy obejrzał się wstecz w mglistą przeszłość i dojrzał siebie — ot, w razie potrzeby zwykłego zbója — znajdującego przytułek pod dachem Lakamby, w chacie stojącej wśród niewielkiej ryżowej polanki. Był to skromny początek jego kariery. Potem nastał długi okres nieustannego powodzenia, mądrych rad i przebiegłych forteli przeprowadzanych śmiało przez nieustraszonego Lakambę — aż przyszedł wreszcie czas, gdy całe wschodnie wybrzeże od Pulo Laut do Tandjung Batu wsłuchiwało się w mądrość Babalątjego, przemawiającego ustami władcy Sembiru. Ileż niebezpieczeństw udało im się ominąć w ciągu tych długich lat; iluż wrogom stawili mężnie czoło, iluż białych ludzi wywiedli w pole! A teraz Babalątji spogląda na owoc tylu lat znoonej i zmuonej pracy: oto nieulekły Lakamba drży przed cieniem grożącego mu kłopotu. Władca zaczyna się starzeć. Babalątji poczuł nieprzyjemne ściskanie w dołku i przyłożył obie dłonie do brzucha, a jednocześnie mignęło mu jasne i smętne zrozumienie faktu, że i on się starzeć zaczyna. Czas zuchwałych czynów przeminął dla nich obu, należy teraz szukać ucieczki w ostrożnych fortelach. Obydwaj pragną spokoju i skłonni są do ustępstw, gotowi nawet poddać się pewnym ograniczeniom, byle tylko odwrócić zagrażające zło — o ile da się to zrobić. Babalątji westchnął już drugi raz tej nocy, przysiadając znów na piętach u stóp władcy, i pełen milczącego współczucia podał mu swoje pudełeczko z orzechami hotelowymi. Siedzieli obaj w niemym, lecz poufnym zbliżeniu ludzi żujących betel; poruszali z wolna szczękami, spluwając delikatnie do szerokiego mosiężnego naczynia, które krążyło między nimi z rąk do rąk, a jednocześnie wsłuchiwali się w przeraźliwy huk zmagających się żywiołów.

— Wylew jest bardzo wielki — zauważył smutno Babalątji.

— Wiem — odrzekł Lakamba. — Czy Dain odpłynął?

— Tak, tuanie. Rzucił się ku rzece jak człowiek nawiedzony przez samego sjaitaria1. I znów nastąpiło długie milczenie.

— Może on utonie? — ozwał się w końcu Lakamba z pewnym zainteresowaniem.

— Rzeka niesie bardzo wiele pni — odrzekł Babalatji — ale z niego dobry pływak — dodał zwolna.

— Powinien żyć — oświadczył Lakamba. — On wie, gdzie się skarb znajduje.

Babalatji przytwierdził kwaśnym mruknięciem. Bezskuteczność wysiłków, aby odkryć tajemnicę białego człowieka, stanowiła dotkliwą jego bolączkę; nie potrafił zdobyć żadnych wiadomości ani wskazówek co do sekretnych pokładów złota. Był to jedyny mroczny punkt w świetlanej karierze dyplomatycznej sembirskiego męża stanu.

Wielki spokój nastał teraz po zamęcie burzy. Tylko małe, zapóźnione chmurki, rozpędzone w pościgu za jądrem nawałnicy błyskającym bezgłośnie w oddali, przelatowały górą, śląc na ziemię krótkie, ulewne deszcze, które z kojącym szmerem lekko uderzały o dach z palmowych liści.

Lakamba ocknął się z odrętwienia; wyraz jego twarzy świadczył, że opanował wreszcie położenie.

— Babalatji! — zawołał żwawo i kopnął z lekka wiernego sługę.

— Ada, tuan! Słucham cię, panie.

— Jeśli *orang Belanda* tu przybędą i wezmą Almayera do Batawii, aby go ukarać za przemykanie prochu, jak myślisz, co on wtedy zrobi?

— Nie wiem, tuanie.

— Głupi jesteś — oświadczył tryumfująco Lakamba. — powie im, gdzie się skarb znajduje, aby uzyskać przebaczenie. Zrobi tak na pewno.

Babalatji spojrział na swojego pana i pokiwał smutno głową nad tą przykrą niespodzianką. Nie przyszło mu to na myśl; nowa komplikacja!

— Almayer musi umrzeć, inaczej tajemnica zostanie zdradzona. Musi umrzeć spokojnie, Babalatji! To już twoja sprawa.

Babalatji skinął głową potakująco i powstał ciężko z ziemi.

— Jutro? — zapytał.

— Tak, jeszcze przed przybyciem Holendrów — odrzekł Lakamba. — On pije dużo kawy — dodał pozornie bez związku.

Babalatji przeciągnął się i ziewnął, lecz Lakamba stracił nagle wszelką ochotę do snu, polechtany mile świadomością, że o własnych siłach znalazł wyjście z zawilej sytuacji.

— Babalatji — zwrócił się do wyczerpanego męża stanu — przynieś pudełko z muzyką, które dostałem od białego kapitana. Nie chce mi się spać.

Rozkaz władcy sprawił, iż oblicze Babalatjiego powlekło się posępnym cieniem melancholii. Poszedł niechętnie za kotarę i wrócił niebawem trzymając w objęciach niewielką

katarynkę, którą umieścił na stole z wyrazem głębokiego przygnębienia. Lakamba usadowił się wygodnie w fotelu.

— Kręć, Babalatji, kręć — mruknął z przymkniętymi oczami.

Babalatji chwycił rączkę katarynki z energią płynącą z rozpaczy. W miarę tego jak kręcił, mroczna posępność jego twarzy ustępowała wyrazowi beznadziejnej rezygnacji. Tony muzyki Verdiego wybiegały przez otwarte okno w wielką ciszę, która legła nad rzeką i lasem. Lakamba słuchał z zamkniętymi oczami i błogim uśmiechem, a Babalatji wciąż kręcił. Zapadał chwilami w drzemkę, kiwając się nad katarynką, i budził się z wielkim strachem, nadrabiając stracony czas kilku szybkimi obrotami rączki. Natura spoczywała w głębokim śnie, wyczerpana dzikim zamętem, a pod niepewną ręką sembirskiego dyplomaty *Il Trovatore*³² płakał, zawodził i żegnał się w kółko ze swoją Eleonorą, porwany żalonym i łzawym kręgiem wynurzeń powtarzających się bez końca.

32 Mowa tu o bohaterze opery Verdiego *Trubadur* (1853), *il Trovatore* (wł) — trubadur.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po burzliwej nocy nastał— jasny, przejrzysty poranek, Ścieżka wiodąca od niskiego brzegu Pantai do wrót osiedla Abdulli tonęła w blasku wczesnego słońca. Tego ranka była pusta i słała się między kępami palm ciemnożółtym szlakiem udeptanym twardo przez bosc nogi. Cienie wyniosłych pni przekreślały ją w nieregularnych odstępach ostrymi, czarnymi liniami, a sylwetki liściastych głów palmowych padały ponad dachami domów stojących nad brzegiem Pantai, hen, aż na samą rzekę, która płynęła szybko i cicho obok opustoszałych chat. Na wąskim pasie wydeptanej trawy między zabudowaniami a ścieżką kurzyły się porzucone ogniska; cienkie, żłobione kolumnienki dymu wykwiwały z nich w chłodnym powietrzu, zasnuwając słoneczną pustkę osady przejrzystą gazą tajemniczej niebieskawej mgły. Almayer wstał dopiero co z hamaku i wodził sennym wzrokiem po Sembirze dziwiąc się jego martwemu wyglądowi. W domu panowała także głucha cisza. Nie słyszał ani głosu żony, ani kroków Niny krzątającej się zwykle o tej porze w wielkim pokoju, który łączył się z werandą. Pokój ów zwany był salonem w chwilach, gdy Almayer chciał podkreślić wobec białych swoje kulturalne potrzeby i nawyknięcia. Nikt w tym salonie nigdy nie siadywał; zresztą nie było i na czym siedzieć, bo pani Almayer zniszczyła w napadach wściekłości całe umeblowanie. Podniecona wspomnieniami z korsarskich swoich czasów, zrywała z okien firanki na sarongi dla dziewcząt służebnych, a okazałe meble paliła po kawałku, aby ugotować ryż. Lecz Almayer nie myślał o tym w danej chwili; rozpamiętywał powrót Daina i jego nocne widzenie się z Lakambą. Jaki wpływ będzie miała ich narada na wykonanie z dawna obmyślonych planów, tak bliskich urzeczywistnienia? Niepokoiła go nieobecność Daina, który obiecał zjawić się wczesnym rankiem. „Miał aż nadto czasu, aby przepłynąć przez rzekę — rozmyślał Almayer. — Tyle jest dziś jeszcze do roboty! Trzeba obmyśleć szczegóły jutrzejszego wczesnego wyjazdu, trzeba spuścić łodzie na rzekę — i w ogóle chodzi o mnóstwo rzeczy, które nasuwają się dopiero w ostatniej chwili. Wyprawa musi być zorganizowana bez zarzutu; nie wolno niczego zapomnieć ani zaniedbać, ani też...”

Ogarnęło go nagle poczucie niezwykłego osamotnienia. Zatęsknił za czymkolwiek głosem, choćby to był nienawistny głos żony — aby tylko położyć kres złowróznej ciszy, w której zalękniona wyobraźnia przeczuwała zwiastunkę nowego nieszczęścia.

— Cóż się stało? — mruknął i poczłapał do balustrady w zsuwających się z nóg pantoflach. — Czy wszyscy pospali się, czy też wymarli?

Osada jednak żyła, i to nawet bardzo intensywnie. Ocknęła się już o bladym świcie,

gdy Mahmat Bandjar w przypływie niesłychanej energii dźwignął się z posłania i wzięwszy siekiere przestąpił przez postacie swoich dwóch śpiących żon. Drżąc z chłodu szedł nad brzeg rzeki, aby sprawdzić, czy woda nie porwała domku, który tam zbudował.

Przedsiębiorczy Mahmat umieścił swoją nową chatę na dużej tratwie przymocowanej bezpiecznie u błotnistej przylądka, przy zbiegu obu ramion Pantai. Wybrał miejsce, gdzie chata była zabezpieczona przed pniami ocierającymi się o przylądek w czasie wylewu. Mahmat szedł przez wilgotną trawę szczękając zębami i przeklinał po cichu twarde wymagania codziennego życia, które wyganiały go z ciepłego posłania w chłód poranny. Rzuciwszy okiem przekonał się, że chata stoi na miejscu. Powinszował sobie przezorności w umieszczeniu jej, bo coraz jaśniejsze światło dnia ukazało mu pogmatwane szczątki drzew, osiadłych na błotnistej mieliźnie, splecione gałęzmi w bezkształtną tratwę. Wir powstały u zbiegu obu ramion rzeki szarpał tą płataniną gałęzi i kłód uderzając i trąc je o siebie. Mahmat zszedł aż do wody, aby opatrzyć liny z rotanu, którymi chata była przymocowana. Słońce wysunęło się właśnie zza lasu na przeciwległym brzegu rzeki. Pochylony nad wiązadłami, spojrzał obojętnie na gmatwaninę pni miotających się niespokojnie i dostrzegł widać coś niezwykłego, bo upuścił nagle siekiere i wyprostował się ocieniając ręką oczy przed promieniami wschodzącego słońca. Dojrzał jakiś czerwony przedmiot, po którym przewalały się kłody otaczając go lub też zwierając się nad nim. Zrazu wydało się Mahmatowi, że to kawał czerwonego materiału, ale wnet spostrzegł swoją pomyłkę i podniósł wielki wrzask.

— Ah, ja! Tam w wodzie, tam jest człowiek między kłodami! — Przytknął dłonie do ust i krzyczał, zwrócony w stronę osady, wymawiając wyraźnie sylaby. — Tu w wodzie są czyjeś zwłoki! Chodźcie zobaczyć! Jakiś obcy trup!

Kobiety z najbliższego domku krzątały się już na dworze przy rozniecaniu ognisk i łuskały ryż na śniadanie. Ostre głosy podjęły wezwanie Mahmata, które przewędrowało całą osadę od chaty do chaty i zamarło w oddali. Mężczyźni, podnieceni wieścią, wypadli z chat, biegnąc w milczeniu ku błotnistemu cyplowi, gdzie nieczułe kłody zwierwały się, tarły i przewalały nad nieznanym trupem z tępą zawziętością właściwą bezdusznym przedmiotom. Za mężczyznami śpieszyły kobiety zaniedbując domowe obowiązki i lekceważąc sobie skutki takiego postępowania, a na samym końcu biegły z radosnym świergotem gromadki dzieci upojonych nieoczekiwanymi wrażeniami.

Almayer zawołał głośno na żonę i córkę, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Znieruchomiał nasłuchując pilnie. Słaby, oddalony gwar tłumu dosięgnął go teraz świadcząc, że dzieje się coś niezwykłego. Ruszył ku schodom, lecz spojrzawszy ku rzece wstrzymał się nagle na widok czółenka płynącego od strony osiedla radży. Samotny wioślarz, w którym

Almayer rozpoznał niebawem Babalatjego. przeprowił się przez rzekę i płynął teraz ku pomostowi pasmem cichej wody wzdłuż brzegu. Wylażł powoli z czółenka i jął przytwierdzać je z przesadną starannością, jak gdyby pragnął odwlec chwilę spotkania z białym, spoglądającym ku niemu z werandy. Ta zwłoka pozwoliła Almayerowi zauważyć ze zdumieniem urzędowy strój Babalatjego. Sembirski statysta przybrany był odpowiednio do wysokiego stanowiska: jaskrawy sarong w kraty ujmował jego biodra, a z gęstych fałd u pasa sterczała srebrna rękojeść krisa, który oglądał światło dzienne tylko podczas wielkich uczt lub też urzędowych przyjęć. Przez lewe ramię i nagą pierś wiekowego dyplomaty biegł błyszczący, lakierowany pas ze skóry, opatrzony mosiężną tabliczką z herbem Niderlandów i napisem: „Sultan Sembiru”. Głowa Babalatjego okryta była czerwonym turbanem, zdobionym frędzlami, spadającymi na lewy policzek i ramię, co nadawało zwiędłej twarzy Małaja pocieszny wyraz zuchowatej wesołości. Przymocowawszy wreszcie czółno należycie, wyprostował się. strzepnął fałdy sarongu i ruszył wielkimi krokami ku domowi podpierając się wysoką hebanową laską, której złota rękojeść, nasadzona drogocennymi kamieniami, skrzyła się w rannym słońcu. Almayer wyciągnął rękę na prawo w kierunku cypla niewidocznego z miejsca, w którym stał: z pomostu widać go było jednak dokładnie.

— Babalatji, hej. Babalatji! — zawołał — cóż się tam dzieje? czy widzisz?

Babalatji przystanął i wpatrzył się uważnie w tłum na wybrzeżu. Almayer zobaczył po chwili, że Babalatji zbacza ze ścieżki, zbiera w garść fałdy sarongu i puszcza się przez mokrą trawę na przełaj ku błotnistemu przyładkowi. Zaintrygowany, zbiegł ze schodów: usłyszał teraz wyraźnie gwar męskich głosów i przenikliwe krzyki kobiece. Znalazłszy się za domem, ujrzał na niskim przyładku ciżbę ludzi tłoczącą się naokoło czegoś, co wzbudzało ogólne zaciekawienie. Doszedł go głos Babalatjego: widział, jak tłum rozstał się przed nim i pochłonął go z gorączkowym gwarem, wzrastającym stopniowo aż do głośnej wrzawy.

Gdy Almayer był już blisko tłumy, oderwał się od ciżby jakiś człowiek i biegł ku osadzie nie odpowiadając wcale na jego wołania, aby zatrzymał się i wyjaśnił przyczynę tego poruszenia. Wreszcie Almayer dopadł zbitej gromady, lecz prosił na próżno, aby go przepuszczono; nikt się nie usunął, gdy usiłował przepchnąć się ku brzegowi.

Torował sobie drogę powoli i ostrożnie, gdy nagle wydało mu się, że słyszy głos żony dochodzący z największego tłoku. Nie mylił się. był to rzeczywiście jej krzykliwy głos, lecz słysząc go było tak niewyraźnie, że nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Przestał się przepychać i zwrócił się do otaczających, aby zasięgnąć wyjaśnień, gdy wtem ostry i przeciągły krzyk rozdarł powietrze. Ucichła wrzawa, zamilkły głosy ludzi odpowiadających Almayerowi, a on sam skamieniał ze zdumienia i zgrozy: był już pewien, że jego żona zawodzi nad umarłym.

Przypomniał sobie nagle zagadkową nieobecność Niny i oszalały z niepokoju o nią rzucił się przed siebie na oślep, a tłum ustępował przed jego wściekłym naporem z okrzykami zdumienia i bólu.

Na wąskim cyplu leżały wydobyte spośród kłód zwłoki nieznanego, otoczone pierścieniem tłumu. Obok trupa stał Babalatji; wsparł się brodą o rękojeść laski i wlepił nieporuszenie jedyne oko w bezkształtną masę zdruzgotanych członków, poszarpanego ciała i krwawych łachmanów. Gdy Almayer przebił się wreszcie przez ciżbę struchlałych widzów, żona jego zarzuciła zasłonę na twarz topielca, przykucnęła obok zwłok i zawyla ponuro po raz drugi, budząc drepzcz przerażenia w oniemiałym tłumie. Ociekający wodą Mahmat zwrócił się do Almayera, żądny powtórzyć swoje opowiadanie.

Gdy minął poryw przerażenia i rozpacz, Almayer uległ tak silnej reakcji, że blask słońca śmił mu się w oczach; przestał rozumieć, co mówią koło niego. Kiedy potężnym wysiłkiem woli odzyskał panowanie nad sobą, usłyszał słowa Mahmata:

— To było tak, tuanie. Sarong zaczepiony był o złamaną gałąź, a on wisiał z głową zanurzoną w wodzie. Kiedy rozpoznałem, co to jest, chciałem się tego pozbyć. Chciałem go wyciągnąć spomiędzy kłód i puścić z prądem. Dlaczego mamy grzebać obcego człowieka pośród chat, aby duch jego straszyl nasze żony i dzieci? Czy nie dosyć duchów tu się już wałęsa?

Potakujący gwar rozległ się w tłumie i zgłuszył opowiadanie. Mahmat spojrzał z wyrzutem na Babalatjiego.

— Ale tuan Babalatji kazał mi wyciągnąć zwłoki na brzeg — mówił dalej, zwrócony do Almayera, wodząc oczami po słuchaczach — i wyciągnąłem go za nogi; przywlokłem go tutaj przez błoto, choć serce moje pragnęło widzieć, jak popłynie w dół rzeki. Byłby może wylądował na polance Bulangiego... Oby grób jego ojca został pohańbiony!

Stłumione śmiechy zabrzmiały z kilku stron, gdyż nieprzyjaźń Mahmata i Bulangiego była faktem powszechnie znanym i stanowiła niewyczerpany przedmiot zainteresowania dla mieszkańców Sembiru. Wśród ogólnej wesołości rozległ się znowu lament pani Almayer.

— Allahu! cóż się stało tej kobiecie! — wykrzyknął gniewnie Mahmat. — Dotknąłem ścierwa, które nie wiadomo skąd tu się przyplątało, i pokalałem się pized spożyciem ryżu. I to wszystko na rozkaz tuana Babalatjiego, aby przypodobać się białemu człowiekowi. C/y jesteś zadowolony, tuanie Almayer? A co ja będę miał za to? Tuan Babalatji powiedział, że dostanę jakąś nagi odę — i to od ciebie, tuanie. Pomyśl tylko! zostałem pokalany przez tego trupa, a przy tym mógł na mnie paść urok. Spójrz na te złote obręcze! Kto kiedy widział, żeby trup zjawiał się nocą wśród pni z takimi kółkami na nogach!

To są czary. Jednakże — dodał Mahmat po chwili zastanowienia — wezmę sobie te kółka, jeśli można, bo mam czarodziejski środek na duchy i nie boję się ich. Bóg jest wielki!

Nowy wybuch hałaśliwego lamentu pani Almayer przerwał Mahmatowi. Zmieszany Almayer popatrzył kolejno na żonę, Mahmata, Babalatjego i wreszcie jak urzeczone zatrzymał wzrok na zwłokach, które leżały w błocie z zakrytą twarzą. Zmiażdżone członki powyginały się dziwnie, a jedna z rąk, wykręcona i pogruchotana, wyciągnięta była w bok; w kilku miejscach sterczały z niej białe kości przez poszarpane ciało. Rozpostarte palce tej ręki dotykały prawie nogi Almayera.

— Czy wiesz, kto to taki? — zapytał cicho Babalatjego. Babalatji poruszył z lekka wargami, ale hałaśliwy lament pani Almayer zgłuszył szept jego odpowiedzi, przeznaczonej tylko dla uszu Almayera.

— Tak chciało przeznaczenie. Spójrz do swoich stóp, biały człowieku. Widzę na tych poszarpanych palcach pierścień, który znasz dobrze.

Mówiąc to Babalatji postąpił niedbale naprzód i nadeptał niby niechcący na wyciągniętą rękę trupa, wciskając ją w miękkie błoto. Machnął groźnie łaską w stronę tłumu, który cofnął się nieco.

— Odejdźcie — rzeki L powagą — i odeślijcie kobiety do domowych ognisk. Nie powinny izui—ać domu i gapić się na nieznanego trupa. Tu jest robota dla mężczyzn. Zabieram zwłoki w imieniu rady. Tylko niewolnicy tuana Almayera mają ze mną pozostać. Odejdźcie.

Tłum zaczął się rozchodzić, ociągając się niechętnie. Pierwsze ruszyły kobiety, wlokąc za sobą dzieci, które wieszały się u rąk matczynych i ciągnęły je w tył całym ciężarem. Za nimi szli zwolna mężczyźni w ruchomych zmiennych grupkach, topniejących w miarę zbliżania się do osady; każdy przyśpieszał kroku myśląc o oczekującym go rannym ryżu. Tylko na lekkim wzniesieniu, skąd wybrzeże zbiegało ku błotnistemu przylądkowi, pozostało kilku ludzi, przyjaciół lub też wrogów Mahmata; przypatrywali się z ciekawością gromadce otaczającej zwłoki.

— Nie rozumiem ciebie, Babalatji — rzekł Almayer. — O jakim mówisz pierścieniu? Kimkolwiek jest ten biedak... patrz, wdeptałeś w błoto jego rękę. Odsłoń mu twarz — zwrócił się do pani Almayer, która przykucnęła przy głowie trupa i kiwała się nad nim, wstrząsając od czasu do czasu potarganymi, siwymi splotami i mrucząc coś ponuro.

— Hai! — wykrzyknął Mahmat, który ociągał się jeszcze z odejściem. — Popatrz, tuanie, kłody zwarły się tak — tu przycisnął dłoń do dłoni — a głowa jego musiała dostać się w środek, bo nie ma już twarzy, którą byś mógł oglądać. Jest tam jego ciało i kości, i nos, i

usta, a pewnie i jego oczy — ale nikt nie rozróżni jednego od drugiego. W dniu, kiedy się urodził, zostało zapisane, że żaden człowiek nie będzie mógł spojrzeć na niego po śmierci i powiedzieć: oto twarz mojego przyjaciela.

— Cicho, Mahmacie! dosyć tego — rzekł Babalatji. — A nie gap się tak na jego złotą obręcz, ty zjadaczu świńskiego mięsa. Tuanie Almayer — dodał znizywszy głos — czy widziałeś Daina dziś rano?

Almayer otworzył szeroko oczy i zaniepokoił się.

— Nie — odparł prędko — a tyś go widział? Czy nie ma go u radzy? Czekam na niego; dlaczego nie przychodzi?

Babalatji pokiwał smutnie głową.

— On przyszedł, tuanie. Opuścił nas w nocy podczas tej wielkiej burzy, kiedy rzeka bardzo się gniewała. Noc była zupełnie ciemna, ale w jego sercu gorzał płomień, który rozjaśniał mu drogę. Rzeka wydała mu się gładka jak woda w wąskiej cieśninie, a rozpędzone kłody nie większe od źdźbeł suchej trawy. Więc popłynął — i oto leży tutaj — Babalatji wskazał głową na trupa.

— Skąd wiesz, że to on? — krzyknął gorączkowo Almayer. Odepchnął żonę, zerwał nakrycie i wpatrzył się w bezkształtną miazgę ciała, włosów i schnącego błota leżącą na miejscu, gdzie była twarz topielca.

— Nikt nie rozpozna — dodał i wzdrygnął się ze zgrozą.

Tymczasem Babalatji ukląkł obcierając z błota palce wyciągniętej ręki. Powstał i błysnął przed oczami Almayera złotym pierścieniem o wielkim, zielonym kamieniu.

— Znasz dobrze ten pierścień — rzekł — nie schodził on nigdy z ręki Daina. Musiałem poszarpać palec, aby go zdjąć. Czy mi teraz wierzysz?

Almayer podniósł ręce do głowy i opuścił je bezwładnie w przystępie ostatecznej rozpacz. Babalatji przyglądał mu się ciekawie i zobaczył ze zdumieniem uśmiech na jego twarzy. Dziwne urojenie opanowało mózg Almayera, zmacony tym nowym ciosem. Przywidziało mu się, że przez wiele lat spadał w głęboką przepaść. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu spadał nieustannie; była to gładka, krągła, mroczna przepaść, której czarne ściany sunęły w górę z nużącą szybkością. Zdawało mu się, że słyszy jeszcze odgłos tego zawrotnego spadania. Nagłe doznał straszliwego wstrząsu: runął na dno i — o dziwo! — oto jest żywy i cały, a Dain leży martwy z pogruhotanymi kośćmi. Uderzyło go to jako rzecz zabawna. Nieżywy Malaj; tak wielu nieżywych Malajów oglądał bez najmniejszego wzruszenia — a teraz czuje, że płacz go chwyta za gardło, ale nie nad Malajem; żal mu białego człowieka, który spadł w głęboką przepaść, a nie zabił się. Wydało

mu się, że stoi tak jakby z boku, w pewnym oddaleniu — i przygląda się niejakiemu Almayerowi, który jest w bardzo ciężkich opalach. Biedny, biedny człowiek! dlaczego nie poderżnie sobie gardła? Chciałby zachęcić go do tego i ujrzeć, jak Almayer padnie martwy na trupa Daina. Dlaczego nie umiera, aby położyć kres męce? Jęknął mimo woli i zląkł się swojego głosu. Czy ogarnia go szaleństwo? W najwyższym przerażeniu rzucił się ku domowi powtarzając ciągle: „Ja nie zwariowałem! nie, nie — naturalnie, że nie!” Starał się przyswoić sobie dokładnie tę myśl. „Nie jestem wariatem, nie jestem wariatem!” Potknął się, wbiegając na oślep na schody i coraz prędzej powtarzał te słowa, w których zdawał się widzieć ratunek. Zobaczył przed sobą Ninę i chciał jej coś powiedzieć, ale nie mógł sobie przypomnieć co; pochłonął go szalony wysiłek, aby nie stracić ani na chwilę świadomości, że nie jest wariatem. Powtarzał wciąż to samo biegając naokoło stołu, aż potknął się wreszcie o fotel i padł nań wyczerpany. Utkwił dziki wzrok w Ninie, wciąż zapewniając siebie po cichu, że jest przy zdrowych zmysłach, i zdziwił się, że dziewczyna cofa się przed nim z przestachem w oczach. Cóż jej się stało? co za głupota! Walnął pięścią w stół i krzyknął ochryplym głosem: „Dżynu! prędko!” Nina wybiegła, a on siedział w fotelu cicho i spokojnie, zdziwiony hałasem, jaki wywołał.

Wróciła ze szklanką nalaną do połowy dżynem. Zastała ojca wpatzonego bezmyślnie przed siebie; czuł się teraz bardzo zmęczony — jak po powrocie z długiej podróży. Miał wrażenie, że uszedł tego ranka wiele kilometrów, i spragniony był wypoczynku. Wziął szklankę trzęsącą się ręką i zaczął pić dzwoniąc zębami o szkło; wysączywszy dżyn do ostatniej kropli stuknął ciężko szklanką o stół. Podniósł zwolna oczy na Ninę stojącą obok niego i rzekł spokojnym głosem:

— Wszystko przepadło, Nino. On nie żyje, a ja mogę popalić moje łódzie.

Czuł się dumny, że jest w stanie mówić tak spokojnie. Najwidoczniej obłąkanie już mu nie grozi; ta pewność jest bardzo kojąca. Opowiedział o znalezieniu zwłok przysłuchując się z upodobaniem własnemu głosowi. Nina stała spokojnie z ręką opartą lekko o ramię ojca. Twarz jej była nieporuszona, lecz i rysy, i cała postawa wyrażały natężoną, trwożną uwagę.

— Więc Dain nie żyje — odezwała się chłodno, gdy zamilkł głos ojca.

Sztuczny spokój Almayera ustąpił w mgnieniu oka gwałtownemu wybuchowi oburzenia.

— Stoisz przede mną jak słup — krzyknął gniewnie — i mówisz tak, jakby to była fraszka. Tak, Dain nie żyje! czy rozumiesz? nie żyje! Cóż to cię obchodzi! nigdy o mnie nie dbałaś; patrzyłaś obojętnie, jak wysilam się, haruję i walczę; nigdy nie widziałaś moich cierpień, nigdy! Nie masz serca i nie masz duszy, bo inaczej byłabyś zrozumiała, że

pracowałem tylko dla ciebie, dla twojego szczęścia! Chciałem być bogaty, chciałem się stąd wydostać, chciałem widzieć, jak biali ludzie będą się gięli nisko przed potęgą twojej piękności i twojego bogactwa. Choć jestem stary, pragnąłem znaleźć się w obcym kraju, wśród obcej cywilizacji i rozpocząć nowe życie, aby napatrzeć się twojemu powodzeniu, twoim tryumfom, twojemu szczęściu. Tylko dlatego dźwigałem cierpliwie brzemień pracy, zawodów i upokorzeń wśród tych dzikich. I już miałem szczęście prawie że w rękę!

Spojrzał na uważną twarz córki i zerwał się przewracając fotel.

— Słyszysz? miałem szczęście pod ręką — o, tak tylko sięgnąć; — Zamilkł usiłując poskromić rosnący gniew, ale nie potrafił się opanować.

— Czy ty nic nie czujesz? — ciągnął — czy nie wiesz, co to nadzieja? — Milczenie Niny rozjątrzało go; podnosił głos coraz bardziej, choć starał się wciąż zapanować nad sobą.

— Czy miło ci żyć wśród nędzy i oczekiwać na śmierć w tej nikczemnej dziurze? Nino, odezwij się! Czy nie ma w tobie litości? Czy nie znajdziesz ani słowa pociechy? A ja cię tak kochałem!

Czekał przez chwilę i nie słysząc odpowiedzi potrząsnął pięścią przed oczami córki.

— Widzę, że jesteś idiotką! — wrzasnął. Poszukał wzrokiem fotela, podniósł go i siadł sztywno. Gniew jego wygasł; zawstydzony był swoim wybuchem, ale przyniosła mu ulgę świadomość, że odsłonił przed córką istotną treść swego życia. Myślał tak w najlepszej wierze i ludził się co do pobudek swojego postępowania nie zdając sobie sprawy, jak dalece drogi jego są zawile, cel nierealny, a żale jałowe. Wielka, tkliwa miłość do córki przepelniała mu serce. Chciał widzieć ją nieszczęśliwą, aby cierpieć z nią razem, ale pragnął tego w sposób właściwy naturom słabym, które tęsknią za współczuciem i narzucają swoje cierpienia ludziom najzupełniej wobec nich niewinnym. Gdyby Nina cierpiała, zrozumiałaby go i współczułaby mu, a tymczasem ona nie chce czy nie może znaleźć ani słowa pociechy i miłości wobec jego strasznej niedoli. Poczucie zupełnego osamotnienia owładnęło Almayerem z taką siłą, że dreszcz nim wstrząsnął. Zachwiał się i padł twarzą na stół z wyciągniętymi sztywno rękami. Nina przysunęła się szybko do ojca i patrzyła na siwą głowę, na szerokie barki drgające konwulsyjnie pod wpływem uczuć, które znalazły wreszcie ujście we łzach i łkaniu.

Odeszła od stołu z głębokim westchnieniem. Rysy jej straciły pozór kamiennej obojętności, który doprowadził Almayera do wybuchu gniewu i żalu; wyraz jej twarzy uległ teraz, gdy ojciec na nią nie patrzył, nagłej zmianie. Gdy błagał ją o współczucie, o słowo pociechy, słuchała z pozorną obojętnością, choć w sercu jej zmagaly się sprzeczne porywy;

wstrząsnęły nią wypadki, których nie przewidziała, a w każdym razie nie spodziewała się, że nastąpią tak prędko. Poruszona była do głębi rozpaczą Almayera; wiedząc, że może zapobiec jego męce jednym jedynym słowem, gorąco pragnęła je wypowiedzieć, a jednocześnie słyszała ze zgrozą głos przemożnej miłości nakazujący jej milczenie. Poddała się po krótkiej i dzikiej walce, stoczonej przez dawne „ja” z nowymi prawami jej życia. Uzbroidła się w zupełne milczenie, jedyną tarczę przeciw jakiejś zgubnej słabości. Nie ufała sobie tak dalece, że bała się wyszeptać słowo lub uczynić najlżejszy ruch, aby nie powiedzieć za wiele; i właśnie ta gwałtowność uczuć szalejących w najtajniejszych głębiach duszy pozornie obróciła ją w kamień. Tylko rozdęte nozdrza i pałające oczy świadczyły o miotającej ją burzy, lecz Almayer nie dostrzegł wzruszenia córki, bo wzrok jego był zmacony przez rozpamiętywanie swej niedoli, gniew i rozpacz.

Gdyby był spojrział na Ninę wspartą teraz o poręcz werandy, zobaczyłby, że obojętność ustępuje z jej twarzy; głęboki ból odmalował się w jej oczach, a cudownie piękne rysy ściągnały wyraz czujnego niepokoju. Wysoka trawa porastająca zapuszczone podwórze stała przed Niną, wyprężona w żarze południa. Od strony rzeki zbliżały się głosy i szelest bosych nóg; słychać było, jak Babalatji daje wskazówki ludziom Almayera. Wreszcie zza węgła ukazał się szczupły korowód ze zwłokami topielca; pani Almayer otwierała pochód głośno zawodząc, a Babalatji szedł obok zwłok i niósł w ręku kółko zdjęte z nogi trupa. Mahmat trzymał się nieśmiało w tyle, w nadziei, że nie minie go obiecana nagroda.

— Złóżcie go tutaj — rzekł Babalatji do ludzi Almayera wskazując na stos desek suszących się przed werandą. — Złóżcie go tutaj. Był kafirem³³ i synem psa, i przyjacielem białego człowieka. On pił mocną wodę białego człowieka — dodał z udanym wstrętem. — Sam to widziałem.

Niewolnicy złożyli pogruchotane zwłoki na dwóch zsuniętych deskach, pani Almayer nakryła je kawałem białego płótna i poszeptawszy czas jakiś z Babalatjimi, odeszła do zajęć domowych. Ludzie Almayera rozproszyli się w poszukiwaniu cienistych zakątków, gdzieby mogli dzień cały przepróżniaczyć. Babalatji pozostał sam przy trupie, który leżał sztywny pod białym płótnem w jaskrawym blasku słońca.

Nina zeszła ze schodów i zbliżyła się do Babalatjiego; sembirski dyplomata podniósł rękę do czoła i przykucnął z wielkim szacunkiem.

— Przyniosłeś złotą obręcz — rzekła Nina spoglądając na zadartą twarz Babalatjiego i samotne jego oko.

— Przyniosłem, *mem putih* — potwierdził ugrzeczniony mąż stanu i zwróciwszy się

33 niewiernym (mal.)

do Mahmata kiwnął na niego wołając:

— Chodź no tu bliżej!

Mahmat zbliżył się z pewnym wahaniem. Starał się nie patrzeć na Ninę, lecz utkwiał wzrok w Babalatjim.

— A teraz słuchaj — rzekł ostro Babalatji. — Widziałeś pierścień i bransoletę i wiesz, że nie należą do nikogo innego, tylko do kupca Daina. Dain przyjechał wczoraj łódką późnym wieczorem. Po rozmowie z radzą opuścił nas w nocy, aby przepłynąć do domu białego człowieka. Woda była bardzo wielka — i dziś rano znalazłeś go w rzece.

Wyciągnąłem go za nogi — mruknął po cichu Mahmat. — Tuanie Babalatji, a moja nagroda! — wykrzyknął głośno.

Babalatji podniósł złotą bransoletę do oczu Mahmata.

— To, co ci powiedziałem, przeznaczone jest dla wszystkich uszu. To, co ci daję, przeznaczone jest jedynie dla twoich własnych oczu. Bierz!

Mahmat wziął skwapliwie złote kółko i schował je w fałdach pasa.

— Nie głupim pokazywać taką rzecz w domu, gdzie są trzy kobiety — mamrotał. — Ale powiem im o kupcu Dainie, będą miały o czym gadać.

Odwrócił się i odszedł, a za osiedlem Almayera przyśpieszył zaraz kroku.

Babalatji spoglądał za nim, póki nie znikł za krzakami.

— Czy dobrze zrobiłem, *mem putih?* — spytał pokornie, zwracając się do Niny.

— Tak — odrzekła Nina. — Pierścień możesz sobie zatrzymać.

Babalatji dotknął ust i czoła i dźwignął się z ziemi. Spojrzał na Ninę, jakby oczekiwał dalszych jej słów, lecz ona zwróciła się ku domowi i weszła na schody odprawiając go skinieniem ręki.

Babalatji podniósł laskę i zabierał się do odejścia. Bardzo było gorąco i nie miał wcale ochoty przepływać się przez rzekę w taki upał. Ale trudno — musi zawiadomić radzę o nieprzewidzianych wypadkach, o zmianie planów, o wszystkich swoich podejrzeniach. Znalazłszy się na pomoście zaczął rozplątywać linę z rotanu, którą czółno było przywiązane.

Rozległa powierzchnia dolnego biegu rzeki mieniła się olśniewającym blaskiem. Pokrywały ją czarne plamki czółen rybackich, które zdawały się brać udział w jakichś szalonych wyścigach. Babalatji przestał odwiązywać czółno i spojrział z nagłym zainteresowaniem. Rybak z najbliższej łódki, znalazłszy się na odległość głosu od chat stojących na skraju osady, złożył wiosło i stanął w łódce krzycząc:

— Łodzie, łodzie! wojenne łodzie jadą! są już tutaj!

W mgnieniu oka osada zaroiała się znów ludźmi biegnącymi ku rzece. Mężczyźni

odwiązywali czółna, kobiety skupiły się w gromadki spoglądając ku zakrętowi w dole rzeki. Nad drzewami porastającymi brzegi ukazał się lekki kłęb dymu niby czarna skaza na wspaniałym lazurze przeczystego nieba.

Babalatji stał z liną w ręku, zaskoczony tym widokiem. Spojrzał w dół rzeki, potem w górę ku domowi Almayera i znowu zwrócił się w dół, niepewny, co ma robić. Wreszcie przywiązał czółno z powrotem, rzucił się ku domowi i wbiegł po schodach na werandę.

— Tuanie, tuanie! — zawołał gorączkowo. — Łodzie jadą, wojenne łodzie. Przygotuj się, tuanie. Oficerowie przyjdą do ciebie, wiem to na pewno!

Almayer dźwignął powoli głowę ze stołu i spojrzał na niego tępym wzrokiem.

— *Mem putih!* — krzyknął Babalatji do Niny — popatrz tylko! On nic nie słyszy. Musisz bardzo uważać — dodał znacząco.

Nina skinęła głową z bladym uśmiechem i chciała coś odpowiedzieć, gdy nagle wystrzał armatni wstrzymał słowa na rozchylnych jej wargach. Równocześnie ukazała się parowa szalupa z armatą umieszczoną na przednim pomoście. Uśmiech zgasł na ustach Niny, a z oczu jej wyjrzał znowu czujny niepokój. Od strony dalekich wzgórz nadpłynęło echo jak przeciągłe żałosne westchnienie — niby odzew słany przez kraj w odpowiedzi na głos swoich panów.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wieści o rozpoznaniu zwłok złożonych w osiedlu Almayera przebiegły szybko osadę. Większość mieszkańców wyległa na drogę; rozprawiali aż do południa o tajemniczym powrocie i niespodzianej śmierci człowieka, którego mieli sposobność poznać jako kupca. Jego przybycie w czasie północno-wschodniego musonu, długi pobyt w osadzie i nagły odjazd brygu stanowiły niewyczerpany temat rozmów i domysłów. Lecz przede wszystkim rozprawiano o tajemniczym zjawieniu się trupa, który miał być właśnie jego zwłokami. Mahmat krążył od chaty do chaty i od gromadki do gromadki, gotów powtarzać co chwila swoje opowiadanie: jak to spostrzegł trupa zaczepionego sarongiem o kłodę, jak pani Almayer zjawiła się zaraz na jego wołania i rozpoznała zwłoki, zanim je zdążył na brzeg wydostać, i jak Babalatji kazał wyciągnąć trupa z wody. „Wywlokłem go za nogi — patrz — a tu nie ma wcale twarzy!” rozповідаł Mahmat. „Skądże żona białego mogła poznać, kto to taki?” „Wiadomo — jest czarownicą! A czyście widzieli, jak biały człowiek porwał się i uciekł od trupa? sadił jak jeleń!” Tu Mahmat naśladował wielkie kroki Almayera ku szczerzej radości widzów. Za cały ten kłopot nic się Mahmatowi nie okroiło; pierścień z zielonym kamieniem zatrzymał tuan Babalatji. „Nic a nic!”, powtarzał Mahmat spluwając z obrzydzeniem i szedł dalej szukać słuchaczy.

Wieści dotarły do najdalszych krańców osady i wreszcie do Abdulli. Potężny kupiec siedział w składzie, w chłodnym zaciszu: doglądał urzędników Arabów i ludzi ładujących i wyładowujących czołna przybyłe z górnych okolic rzeki. Reszyd, zajęty wówczas w przystani, został wezwany przed oblicze stryja. Znalazł go — jak zwykle — pełnego spokoju, a nawet pogody, choć wielce zdumionego. Wiedział już od trzech dni o ujęciu czy też zniszczeniu statku Daina — donieśli o tym rybacy znad morza i mieszkańcy niższych okolic Pantai. Wieści wędrowały w górę rzeki od sąsiada do sąsiada, aż wreszcie Bulangi, mieszkający najbliżej osady, zjawił się z tą ważną nowiną u Abdulli, o którego łaski zabiegał. Pogłoski mówiły również o walce i o śmierci Daina na pokładzie własnego okrętu, a teraz cała osada rozprawiała o jego odwiedzinach u radży i o tym, że poniósł śmierć przepływając się przez rzekę w drodze do *kampungu* Almayera. Ani Abdulla, ani Reszyd nie mogli nic z tego zrozumieć. Reszyd dziwił się bardzo, a przy tym niespokojny był i pełen wątpliwości. Lecz Abdulla otrząsnąwszy się ze zdumienia ujawnił rezygnację właściwą ludziom wiekowym, którzy niechętnie zajmują się rozwiązywaniem zagadek. Stwierdził, że Dain w każdym razie nie żyje, przestał więc być niebezpieczny. Po co roztrząsać wyroki losu,

szczególniej jeśli są pomyślne dla prawowiernych wyznawców? Tu Abdulla zwrócił się z pobożnym westchnieniem do Allaha, który jest łaski pełen i miłosierdzia, po czym uznał, że zajmowanie się tym wypadkiem nie jest na razie potrzebne.

Reszyd innego był zdania. Ociągał się z odejściem, gładząc w zamyśleniu starannie utrzymaną brodę.

— Widzę w tym wiele łągarstw — mruknął. — On już raz nie żył i zmartwychwstał, a teraz znów umarł po raz drugi. Wkrótce zjawią się tu Holendrzy i zażądają wydania tego człowieka. Czy nie lepiej uwierzyć raczej świadectwu własnych oczu niż językom bab i próżniaków?

— Mówią, że ciało zabrano do *kampungu* Almayera — odrzekł Abdulla. — Jeśli chcesz je zobaczyć, idź tam przed przybyciem Holendrów. Wybierz się późnym wieczorem; nie trzeba, aby którego z nas widziano tymi czasami w osiedlu Almayera.

Reszyd zgodził się na to i opuścił stryja. W wielkich drzwiach wejściowych przystanął i wsparł się ramieniem o futrynę, spoglądając leniwie przez otwartą bramę ku głównej ścieżce osady. Stała przed nim bezludna, prosta i żółta pod ulewą światła. Gładkie pnie palm, chaty, dach domku Almayera, widzialny wśród zarośli na ciemnym tle lasu u drugiego końca ścieżki — wszystko zdawało się drgać w żarze południowej godziny bijącym od rozprażonej ziemi. Roje żółtych motyli wznosiły się i opadały w krótkich wzlotach przed przymkniętymi oczami Reszyda. U jego stóp, w bujnej trawie dziedzińca, brzęczała ckliwie kapela owadów. Patrzył sennie przed siebie.

Z bocznej ścieżki między chatami wyszła na drogę kobieta: smukła dziewczęca jej postać kryła się w cieniu wielkiej tacy, którą niosła na głowie. Widok zbliżającej się postaci rozbudził na wpół uśpionego Reszyda. Poznał Tarninę, niewolnicę Bulangiego, roznoszącą ciastka na sprzedaż — codzienne zjawisko bez żadnego znaczenia. Dziewczyna szła ku domowi Almayera. Może się da użyć jej za narzędzie? Otrząsnął się z senności i pobiegł ku bramie nawołując: „Tamino! o!” Stała, zawahała się i wróciła wolnym krokiem, a on czekał kiwając na nią niecierpliwie.

Zatrzymała się przed nim ze spuszczonej oczami. Przypatrywał jej się przez chwilę i zapytał:

— Czy idziesz do domu Almayera? W osadzie mówią, że w *kampungu* białego człowieka leży kupiec Dain, którego znaleźli w rzece dziś rano.

— Słyszałam o tym — szepnęła Tarnina — i dziś rano widziałam trupa nad brzegiem rzeki. Nie wiem, gdzie się teraz znajduje.

— Więc go widziałas? — zapytał skwapliwie Reszyd. — Czy to Dain? Spotykałas go

nieraz. Powinnaś go poznać.

Wargi dziewczęcia zadrgały; milczała przez chwilę, oddychając szybko.

— Widziałam go niedawno — odrzekła wreszcie. — Ludzie mówią prawdę: Dain nie żyje. Czego chcesz ode mnie, tuanie? Muszę już odejść.

W tej chwili właśnie rozległ się wystrzał armatni na pokładzie parowca; odpowiedź zawisła na ustach Reszyda. Zostawił niewolnicę i pobiegł w kierunku domu. W podwórzu spotkał Abdullę zmierzającego ku bramie.

— *Orang Belanda* przybyli — zawołał Reszyd — czeka nas teraz nagroda!

Abdulla pokiwał głową z powątpiewaniem.

— Długo się czeka na nagrodę z rąk białych ludzi — odpowiedział. — Biali skorzy są w gniewie, ale powolni we wdzięczności. Zobaczymy.

Przystanął u bramy gładząc siwą brodę i słuchał dalekich okrzyków powitania niosących się z drugiego krańca osady. Zawołał na Tarninę, która zabierała się do odejścia.

— Posłuchaj mnie, dziewczyno — rzekł do niej — w domu Almayera znajdzie się dzisiaj wielu białych ludzi. Pójdiesz tam i będziesz sprzedawała ciastka żeglarzom z okrętu. Cokolwiek usłyszysz i zobaczysz, masz mi wszystko powtórzyć. Przyjdź jeszcze przed zachodem słońca, dam ci niebieską chustkę w czerwone kropki. A teraz idź i nie zapomnij, że masz tu wrócić!

Pchnął odchodzącą Tarninę końcem długiej laski tak, że aż się potknęła.

— Cóż to za niemrawa niewolnica — rzekł do siostrzeńca spoglądając nielaskawie na dziewczynę.

Tamina szła z tacą na głowic i oczami wbitymi w ziemię. Przez otwarte drzwi chat biegly ku niej przyjazne nawoływania, zapraszające, aby zaszła z towarem; pogrążona w myślach, nie zwracała na to żadnej uwagi zaniehbując swoje obowiązki. Od wczesnych godzin ranka napatrzyła się i nasłuchwała wielu rzeczy, które napoiły jej serce radością, a zarazem wielkim cierpieniem i trwogą. Przed świtem, zanim opuściła dom Bulangiego, aby udać się do Sembiru, dosięgły jej uszu głosy znad rzeki. Cały dom był jeszcze pogrążony we śnie. Słowa usłyszane w ciemnościach sprawiły, że trzymała teraz w rękach życie człowieka, a w sercu kryła wielki smutek. Lecz nie byłby tego nikt odgadł ze sprężystego jej chodu, śmigłej postawy i twarzy obleczonej w codzienny wyraz apatycznej obojętności. Nie przypuściłby nikt, że prócz ciężaru tacy i całej góry ciastek sporządzonych skrzętnymi rękoma żon Bulangiego Tarnina dźwigała brzemie stokroć dotkliwsze. W gibkiej postaci, prostej jak strzała, sunącej wdzięcznie i swobodnie, w łagodnych oczach wyrażających tylko nieświadomą rezygnację drzemały wszelkie możliwe uczucia i namiętności, wszelkie nadzieje

i wszystkie obawy — przekleństwo życia i ukojenie śmierci. A przecież nic z tego nie było jej znane. Rosła jak te otaczające ją wyniosłe palmy, które dążą ku światłu, pożądamy blasku słońca i lękają się burzy, z niczego sobie sprawy nie zdając. Nie żywiła nigdy żadnej nadziei, nie spodziewała się żadnej zmiany. Nie знаła innego nieba, wód ani lasów; nie wyobrażała sobie innego świata ani odmiennego życia. Nie doznawała żadnych pragnień, nie czuła miłości, nie lękała się niczego — prócz bicia. Jedynym uczuciem dostępnym dla niej był głód, który zresztą cierpiała rzadko, gdyż Bulangi był człowiekiem bogatym i nie brakowało ryżu w samotnym jego domku na polance. Sytość i brak bólu stanowiły jej szczęście, a nieszczęściem było tylko większe niż zwykle zmęczenie po całodziennej pracy. W gorące noce południowo — zachodniego musonu spoczywała w spokojnym śnie bez marzeń pod jasnymi gwiazdami na pomoście zbudowanym przy chacie nad wodą. Wewnątrz chaty leżał tuż przy progu Bulangi, dalej jego żony i dzieci przy swoich matkach. Słyszała ich oddechy; niekiedy odzywał się zaspany głos Bulangiego lub ostry krzyk dziecka, uciszany zaraz tkliwymi słowami. I zamykała powieki wśród poszeptów ciepłego wiatru, przy wtórze szemrzącej rzeki, nieświadoma tętniącego nieustannie życia tropikalnej natury, która przemawiała do niej na próżno tysiącem cichych głosów z pobliskiego lasu. Wabił ją oddech ciepłego powiewu, ciężkie aromaty snuły się naokoło, a białe majaki przedrannej mgły zwisały nad nią w chwili uroczystego skupienia całej przyrody — przed rozbłysnięciem zorzy.

Tak upływało życie Tarniny, zanim pojawił się obcy bryg w Sembirze. Pamiętała dokładnie chwilę jego przybycia. Wrzawa zapanowała w osadzie; nienasycona ciekawość ogarnęła wszystkich mieszkańców podniecając ich do rozmów dniem i nocą. Pamiętała także swoją nieśmiałość wobec obcych ludzi. Z czasem gdy statek przymocowany u brzegu stał się niejako częścią osady, lękliwość Tarniny ustępowała stopniowo wobec rosnącej zażyłości. Odwiedziny na pokładzie weszły w skład jej codziennych obowiązków. Wstępowała z wahaniem na pochyłe deski pomostu, wśród zachęcających okrzyków, którym towarzyszyły mniej lub więcej przyzwoite żarty majtków wspartych beczynniami o burtę. Dostawszy się na pokład sprzedawała swój towar hałaśliwym żeglarzom o wielce swobodnym obejściu. Panował tam nieustanny tłok i ruch, jedni wychodzili, drudzy wracali; rozlegały się nawoływania i rozkazy, które spełniano przy wtórze głośnych okrzyków; zgrzytały bloki, zwoje lin migwały w powietrzu. Tarnina siadywała na uboczu w cieniu płóciennego dachu, zakrywszy szczelnie twarz zasłoną; tacę z ciastkami umieszczała przed sobą. Czuła się bardzo onieśmielona wśród tylu obcych mężczyzn. Uśmiechała się do wszystkich kupujących, lecz nie rozmawiała z żadnym puszczać mimo uszu ich żarty z tępą obojętnością. Różne opowiadania o oddalonych krainach, o dziwnych obyczajach i jeszcze dziwniejszych

wypadkach obijały się o jej uszy. Wszyscy ci ludzie byli odważni, lecz najmężniejsi z nich mówili z trwogą o swym wodzu. Mąż, którego zwali panem, przechodził często obok Tarniny, wyprostowany i obojętny. Bił od niego blask młodości, połyskiwały wspaniałe szaty i podzwiek złotych ozdób szedł za nim, a żeglarze usuwali mu się z drogi i zawisłszy wzrokiem u jego warg wyczekiwali niespokojnie rozkazów. Całe życie Tarniny zbiegało się wówczas w jej oczach; spoglądała ku niemu spod zasłony, pociągnięta neodpartym czarem, ale bała się zwrócić jego uwagę. Pewnego dnia spostrzegł ją i spytał, co to za dziewczyna. „Niewolnica, tuanie! roznosi ciastka na sprzedaż!” — zabrzmiała jednogłośnie odpowiedź z kilkunastu piersi. Porwała się do ucieczki, lecz przyzwał ją z powrotem, a gdy stanęła przed nim, drżąca, ze zwieszoną głową, przemówił łaskawie i ująwszy pod brodę spojrzął jej w oczy z uśmiechem. „Nie bój się!” — powiedział. Nigdy się już więcej do niej nie odezwał. Ktoś zawołał na niego z brzegu; odwrócił się i zapomniał o jej istnieniu. Na wybrzeżu stał Almayer z Niną u boku. Tarnina posłyszała wesoły głos Niny i ujrzała radość na twarzy Daina, który w mig znalazł się na brzegu. W owej to chwili znenawidziła dźwięk głosu Niny.

Przestała odtąd odwiedzać *kampung* Almayera spędzając południowe godziny na pokładzie w cieniu płóciennego dachu. Wyglądała Daina z piersią falującą coraz szybciej, a gdy nadchodził, serce miotало się w niej jak oszalone w rytm świeżo zrodzonych uczuć — wesela, nadziei i trwogi. Z oddaleniem się Daina przycichał dziki zamęt w jej duszy; wyczerpana jak po walce siedziała długi czas w sennym bezwładzie. Wieczorem wracała do domu wiosłując od niechcenia, unoszona leniwym prądem wzdłuż brzegu. Wiosło wisiało beczynnie, a ona siedziała na rufie, z głową wspartą na rękę i szeroko rozwartymi oczyma, wsłuchując się usilnie w szept własnego serca, który się rozrastał w pieśń niewymownej słodyczy. Zasluchana w jej nutę, łuskała ryz w domu; cudna melodia głuszyła krzykliwe kłótnie żon Bulangiego i gniewne wymówki, których jej nie szczędzono. Gdy słońce miało się ku zachodowi, szła kąpać się w zatoce; stojąc na miękkiej trawie wybrzeża, z suknią leżącą u stóp, słuchała wciąż śpiewu serca, zapatrzona w odbicie swej postaci w gładkim zwierciadle wody. Wracała potem zwolna ku domowi, z mokrymi włosami rozsypanymi na plecach; kładła się na spoczynek pod migotaniem gwiazd i zamykała oczy przy wtórze fal, w poszeptach ciepłego wiatru; cała przyroda przemawiała do niej tysiącem szmerów z wielkiego lasu, a serce jej zanosilo się śpiewem.

Słuchała nie rozumiejąc i piła senną radość nowego bytu bez troski o jego trwałość lub znaczenie, aż przyszła do niej przez ból i gniew pełna świadomość życia. Straszny ból targnął nią, gdy ujrzała po raz pierwszy, jak długie czółno Niny mija uszpioną chatę Bulangiego, unosząc dwoje zakochanych w gęstwą białej mgły zawisłej nad rzeką. Zawieść i wściekłość

Tarniny wzmogły się aż do paroksyzmu fizycznego cierpienia: padła na wybrzeże dysząc w niemej męce ranionego zwierzęcia. Lecz mimo to krążyła dalej w zaklętym kole niewoli i dzień w dzień spełniała swoje obowiązki, żywiąc w sercu wielki tragizm cierpienia, którego nie umiała wyrazić nawet wobec samej siebie. Unikała Niny, czuła na jej widok jak gdyby ostrze noża wżerające się w ciało, nie przestała jednak odwiedzać brygu, sycąc pokarmem rozpacz swoją niemą, ciemną duszę. Widywała Daina niejednokrotnie. Nigdy się już nie odezwał ani nie spojrzął na nią. Czy oczy jego mogły widzieć tylko jedną kobietę? Czy uszy jego były otwarte dla jednego, jedyne go głosu? Nie zwrócił na nią uwagi już ani razu.

Wreszcie stało się, że odjechał. Ostatni raz widziała go u boku Niny owego ranka, gdy Babalatji zwiedzając zastawione sieci stwierdził na własne oczy, że słusznie podejrzewa Daina i Ninę o miłosne konszachty. Dain znikł, a serce Tarniny — w którym spoczywały bezużytecznie i jałowo ziarna wszelkiej miłości i nienawiści, wszystkich namiętności i wszystkich poświęceń — serce to zapomniało o swych radościach i bólach, gdy zbrakło mu oparcia zmysłów. Pierwotna, nieokrzesała jej dusza, podlegająca niewolniczo ciału — tak jak i ciało jej podlegało ludzkiej woli — zapomniała o nikłym i mętnym obrazie ideału, który wyrósł na tle fizycznych podnieć jej dzikiej natury. Zapadła znowu w drętwą tępość poprzedniego życia i znajdowała pociechę, a nawet pewien rodzaj szczęścia, w myśli, że Nina i Dain rozstali się — przypuszczalnie na zawsze. On zapomni o Ninie! Ta myśl łagodziła męki gasnącej zazdrości, której zbrakło pokarmu, i Tarnina znalazła wreszcie spokój. Była to jak gdyby martwa cisza pustyni, gdzie spokój panuje tylko dlatego, że nie ma tam życia.

Lecz oto Dain powrócił. Poznała jego głos nawołujący w nocy Bulangiego. Wysunęła się z chaty w ślad za swoim panem, aby wsłuchać się w ten dźwięk czarownicy. Dain siedział w łódce i rozmawiał z Bulangim. Tarnina, chłonąc jego słowa z zapartym oddechem, posłyszała drugi głos jeszcze. Obląkana radość rozsadzająca jej serce zgasła wnet, rzuciwszy ją na pastwę fizycznego bólu; doznawała go już i przedtem na widok Daina i Niny. Głos Niny rozkazywał i groził na przemian, a Bulangi odmawiał, tłumaczył — i zgodził się w końcu. Poszedł do chaty, aby wziąć wiosło ze stosu za drzwiami. Szmer głosów nad rzeką snuł się ciągle; uszu Tarniny dochodziły niekiedy pojedyncze wyrazy. Zrozumiała, że Dain ucieka przed białymi, że szuka kryjówki, że jest w niebezpieczeństwie. Lecz posłyszała także słowa, które zbudziły wściekłą zazdrość uspioną przez wiele dni w jej duszy. Skulona w błocie, w czarnym mroku między palami, nasłuchiwała szeptu przepojonego lekceważeniem trudów, niebezpieczeństw, a nawet samego życia — jeśli nagrodą ma być gorący uścisk, spojrzenie umiłowanych oczu, powiew słodkiego oddechu, dotknięcie miękkich warg. Tak mówił w łódce Dain do Niny czekając na powrót Bulangiego — a Tarnina, wsparta o pal śliski od

blota, czuła, że niezmierny jakiś ciężar wali się na nią i ciągnie w czarną gęstą wodę. Chciała krzyknąć, rzucić się ku nim i roztrącić niewyraźne cienie, a potem pchnąć Ninę w gładką toń, oplatać ją sobą i przywrzeć do dna, gdzieby ten człowiek nie mógł jej dosięgnąć. Niezdolna była do płaczu ani do najlżejszego ruchu. Niebawem rozległy się kroki na bambusowym pomoście nad jej głową; widziała, jak Bulangi wsiadł do najmniejszego czółenka i wysunął się naprzód, a za nim podążyła łódka z Dainem i Niną. Plusnęły lekko wiosła, zanurzone ostrożnie w wodę, mgliste postacie dwojga ludzi przesunęły się przed zbolętymi oczami Tarniny i znikły w ciemnościach.

Pozostała na miejscu, bezwładna w chłodzie i wilgoci, dysząc ciężko pod miazdzącym brzemieniem, które tajemnicza ręka losu zwała tak niespodziewanie na smukłe jej barki; trzęsąc się czuła, jak pożera ją piekący ogień, podżegany własnym jej tchnieniem. Gdy świt rozwinął bladozłocistą wstęgę nad czarnymi lasami, popłynęła do osady z towarem i roznosiła placki na sprzedaż, wiedzona jedynie siłą przyzwyczajenia. Spozrzęła podniecenie ludności i usłyszała, że znaleziono ciało Daina. Szybko ochłonęła ze zdumienia; była to oczywiście nieprawda — wiedziała o tym dobrze. Żal jej się zrobiło, że nie umarł. Chętnie ujrzałaby go martwym, aby odgrodzić go śmiercią od tej kobiety — od wszystkich kobiet w ogóle. Zapragnęła nagle zobaczyć Ninę — bez wyraźnego celu. Nienawidziła i lękała się jej, ale czuła, że nieodparty jakiś popęd gna ją ku domowi Almayera, że pragnie spojrzeć w twarz białej kobiecie, zatopić wzrok w jej oczach i usłyszeć znów dźwięk głosu, za który Dain gotów narazić wolność, a nawet życie. Widywała przecież Ninę tyle razy, słyszała dzień w dzień jej głos przez długie miesiące. Cóż jest szczególnego w tej istocie? Czym się to dzieje, że Dain tak do niej przemawia, że oślepl na wszystko, co nią nie jest, że ogłuchł na wszystko — krom jej głosu.'

Zostawiła tłum na wybrzeżu, i szła bez celu wśród pustych chat. Walczyła wciąż z popędem, który ciągnął ją nieprzeparcie ku Ninie. Może zdoła zgłębić w jej oczach tajemnicę własnej niedoli? Słońce wznosiło się coraz wyżej chłonąc cienie i zalewało Tarninę potokami blasku i dusznego żaru. Przechodziła z cienia w światło, ze światła w cień, wśród chat, krzewów i wyniosłych drzew, uchodząc nieświadomie przed cierpieniem skrytym we własnym sercu. W ostatecznej niedoli nie umiała złożyć modlitwy z prośbą o ulgę, nie знаła żadnych niebios, do których by mogła słać błagania, i wędrowała przed siebie strudzonymi stopami w niemym zdumieniu i zgrozie wobec niesprawiedliwości mąk spadłych na nią bez powodu i bez miłosierdzia.

Krótką rozmowa z Reszydem i propozycja Abdulli po krzepiły ją nieco zwracając myśli w inną stronę. Niebezpieczeństwo grozi Dainowi. Dain kryje się przed białymi ludźmi:

oto co zdołała zrozumieć ubiegłej nocy. Wszyscy mieli go za umarłego. Lecz Tarnina wiedziała, że żyje, i wiedziała także, dokąd się schronił. Czego chcą Arabowie od białych ludzi? Czego chcą biali ludzie od Daina? Czyżby zamierzali go zabić? Mogłaby im wszystko powiedzieć... Nie, nie powie im nic! przekradnie się do niego w nocy, sprzeda mu własne jego życie za słowo, za uśmiech — chociażby za skinienie — a potem będzie jego niewolnicą w odległej krainie, z dala od Niny. Ale czyhają różne niebezpieczeństwa. Jednooki Babalatji wie wszystko, a żona białego jest czarownicą. Mogą zdradzić tajemnicę. A Nina? Trzeba pójść i zobaczyć.

Zboczyła w pośpiechu ze ścieżki i biegła ku domowi Almayera przez zarośla i gaj palmowy. Znalazła się z tyłu domu, gdzie szeroki rów pełen wody sączącej się z rzeki oddzielał *kampung* od reszty osady. Gąszcz krył przed jej wzrokiem rozległy dziedziniec z szopą kuchenną. Wykwitały stamtąd smukłe kolumny dymu; dźwięk obcych głosów zdradzał, że „morscy ludzie” z wojennego statku już wylądowali i obozują między rowem a domem. Z lewej strony zbliżyła się do rowu któraś z niewolnic Almayera i schyliła się nad lśniąca wodą szorując rondel. Na prawo szczyty drzew w bananowym lasku chwiały się i wstrząsały pod dotknięciem niewidzialnych rąk zrywających owoce. Na cichej wodzie rowu tkwiło kilka czółen uwiązanych do tęgiego pala, tworząc niemal rodzaj mostu tuż przed Tarniną. Gwar na dziedzińcu rozsypywał się niekiedy w grad okrzyków, śmiechów i nawoływań, po czym ucichał stopniowo, aby po chwili znów wrzawą wybuchnąć. Wątki niebieski dym gęstniał czerniejąc, rozwłóczył się wonnymi smugami po zatoce i owijał Tarninę duszną oponą; potem, gdy ogień wgryzł się już w świeże polana, dym zniknął w jasnym blasku słońca i tylko aromat pachnącego drzewa niósł się z powiewem od trzaskających ognisk.

Umieściła tacę na pniu i stała z oczyma zwróconymi w stronę domu, którego dach i część bielonej ściany widać było między krzewami. Niewolnica skończyła swoją pracę, spojrzała z ciekawością w stronę Tarniny i zapuściła się znów w gęstwą krzaków ku dziedzińcowi. Tarnina pozostała teraz w zupełnej samotności. Rzuciła się na ziemię i skryła twarz w rękach. Będąc już tak blisko poczuła, że nie ma odwagi spojrzeć na Ninę. Za każdym razem, gdy rozlegały się krzyki, drżała w obawie, że usłyszy jej głos. Postanowiła czekać, aż się ściemni, i udać się wprost do kryjówki Daina. Z miejsca, gdzie leżała, mogła śledzić poruszenia białych i Niny — wszystkich przyjaciół Daina i wszystkich jego wrogów. Nienawidziła jednak i jednych, i drugich, gdyż i jedni, i drudzy chcieli jej go zabrać. Przytuliła się w bujnej trawie oczekując zachodu słońca, które przeciągało w nieskończoność swoją wędrówkę po niebie.

Z drugiej strony rowu, za krzakami, majtkowie z fregaty, zaproszeni gościnnie przez Almayera, rozłożyli się obozem naokoło jasnych ognisk. Almayer pod wpływem próśb i nalegań Niny otrząsnął się wreszcie z apatii i znalazł się w porę na wybrzeżu, aby powitać oficerów. Dowodzący porucznik przyjął zaproszenie Almayera i zauważył, że tak czy owak mają do niego interes — może nawet nie bardzo przyjemny — dodał. Almayer ledwie go słyszał. Machinalnie podał rękę gościom i szedł naprzód ku domowi. Niejasno zdawał sobie sprawę z uprzejmych słów, którymi witał nieznajomych, choć powtarzał je po kilkakroć wysilając się na swobodę. Zmieszanie jego nie uszło uwagi oficerów; starszy szepnął drugiemu na ucho, iż trzeźwość Almayera pozostawia wiele do życzenia. Młody podporucznik roześmiał się i wyraził nadzieję, że mimo to biały człowiek da im chyba coś do wypicia.

— Ten nie wygląda niebezpiecznie — dodał, gdy wstępowali powoli za Almayerem na schody werandy.

— Wcale nie, wygląda prędzej na głupca niż na łotra; słyszałem o nim — odparł starszy.

Zasiedli naokoło stołu. Almayer przyrządził trzęsącymi się rękoma cocktaile z dżynu, poczęstował gości i pił razem z nimi, czując, jak z każdym łykiem wstępuje w niego siła, spokój i zdolność do pokonania wszelkich trudności. Nie wiedział, co się stało z brygiem, i nie podejrzewał prawdziwego celu wizyty oficerów. Miał niejasne wrażenie, że władze holenderskie przewąchały coś niecoś o handlu prochem, ale nie obawiał się niczego poza jakimś chwilowym kłopotem. Wychylił szklanekę i jął swobodnie gawędzić, rozparty wygodnie w fotelu, z nogą przerzuconą przez poręcz. Porucznik siedział okrakiem na krześle, z żarzącym się cygarem w kącie ust, i z przebiegłym uśmiechem przysłuchiwał się Almayerowi zza gęstych kłębow dymu wymykających się przez zaciśnięte wargi. Młody podporucznik oparł łokcie o stół, głowę ujął w dłonie i spoglądał sennie, odurzony zmęczeniem i dżynem. Almayer wciąż mówił:

— Wielka to przyjemność widzieć tu u nas białe twarze. Przez długie lata żyłem w zupełnej samotności. Panowie rozumiecie: Malaje — cóż to za towarzystwo dla białego człowieka! A przy tym, oni nie są dla nas przyjaźnie usposobieni. Wcale nas nie rozumieją. To skończone łotry. Zdaje mi się, że jestem jedynym białym, który zamieszkuje na stałe wschodnie wybrzeże. Mamy tu czasem gości z Makassaru czy Singapuru — kupców, agentów, badaczy, ale rzadko. Rok temu, a może i więcej, bawił tu pewien uczonec. Mieszkał u mnie i pił od rana do nocy. Żył sobie wesoło przez kilka miesięcy, a kiedy zabrakło wreszcie trunków, które przywiózł ze sobą, wrócił do Batawii ze sprawozdaniem o mineralnych

bogactwach w głębi wyspy. Ha, ha, ha! dobre, co?

Urwał nagle i powiódł po gościach bezmyślnym wzrokiem. Oficerowie śmieli się, a on powtarzał wciąż to samo: „Dain nie żyje. Na nic wszystkie moje plany. Przepadła ostatnia nadzieja — wszystko przepadło.” Zamarło w nim serce. Uczuł się zmożony jak gdyby śmiertelną chorobą.

— To doskonale! znakomite! — wykrzykiwali obaj oficerowie.

Almayer otrząsnął się z przygnębienia w nowym przypływie gadatliwości.

— No, a co będzie z obiadem? Panowie macie z sobą kucharza! To doskonale! Jest tam szopa kuchenna w podwórzu. Mogę panom ofiarować gęś. Proszę popatrzeć na moje gęsi — jedyne gęsi na całym wybrzeżu, może i na całej wyspie. To jest kucharz panów? Bardzo dobrze. Słuchaj, Ali, zaprowadź tego Chińczyka do kuchni i powiedz mem Almayer, żeby pozwoliła mu się rozgościć. Moja żona, proszę panów, nigdy się nie pokazuje; co innego moja córka. Napijmy się jeszcze tymczasem. Gorący dzień dzisiaj.

Porucznik wyjął z ust cygaro, spojrzął krytycznie na popiół, strzepnął go i zwrócił się do Almayera:

— Mamy do pana niezbyt przyjemny interes—— oświadczył.

— Bardzo mi przykro — odrzekł Almayer. — Ale to chyba nic ważnego?

— Pan uważa, że próba wyrzucenia w powietrze czterdziestu ludzi nie jest czymś ważnym? Niewiele osób zgodzi się z pańskim zdaniem — odparł ostro oficer.

— Wyrzucenia w powietrze? Co takiego? Nic nie wiem! — zawołał Almayer. — Któż to zrobił czy też chciał to zrobić?

— Człowiek, z którym łączą pana różne konszachty — odparł porucznik. — Przebywał tutaj pod mianem Daina Manili. Pan dostarczył mu prochu, który znaleźliśmy na brygu opanowanym przez nas.

— Skąd pan dowiedział się o brygu? — spytał Almayer. — Nie wiem nic o żadnym prochu.

— Kupiec arabski z waszej osady doniósł o pańskich sprawkach do Batawii parę miesięcy temu — odrzekł oficer. — Czatowaliśmy na bryg przy ujściu rzeki, ale prześliznął się obok nas i musieliśmy ścigać tego łotra ku południowi. Dostrzegł nas, puścił się między skały i wpędził statek na brzeg. Załoga umknęła, nim zdołaliśmy się zbliżyć, a kiedy łodzie nasze podjechały do brygu, wyleciał z przeraźliwym hukiem w powietrze i zatopił najbliższe czółno. Dwóch ludzi utonęło — oto skutek pańskich matactw, panie Almayer. Chcemy teraz dostać w ręce tego Daina. Mamy wszelkie powody do przypuszczenia, że kryje się w Sembirze. Czy panu wiadomo, gdzie on jest? Radzę panu usprawiedliwić się wobec władz —

tak dalece, jak to będzie możliwe — przez otwarte wyznanie. Gdzie jest ten Dain?

Almayer powstał i zbliżył się do balustrady. Zdawał się nie myśleć wcale o zapytaniu oficera. Spoglądał na wyciągnięte, sztywne ciało pod białą oponą, na którą spływał nikły blask czerwieni od słońca kłoniącego się wśród chmur ku zachodowi. Porucznik czekał na odpowiedź i zaciągał się raz po raz, usiłując rozpalić na wpół wygasłe cygaro. W głębi werandy Ali krzątał się cicho przy nakrywaniu stołu; ustawił uroczyście niedobrane i obtłuczony serwis, rozmieścił cynowe łyżki, widelce o wyłamanych zębach i noże z obłuzowanymi rączkami, o ostrzach wyszczerbionych na kształt piły. Zapomniał już niemal, jak się nakrywa stół dla białych ludzi. Bardzo był zmartwiony, bo mem Nina nie chciała mu pomóc. Odstąpił wreszcie od stołu i spojrzał na swoje dzieło z podziwem i wielką dumą. Tak jest chyba dobrze, a jeżeli pan będzie się potem gniewał i wymyślał — tym gorzej dla mem Niny. Dlaczego nie chciała mu pomóc? I wysunął się z werandy, aby przynieść obiad.

— No, panie Almayer, czy pan odpowie mi tak szczerze, jak ja pana pytam? — odezwał się wreszcie porucznik po długim milczeniu.

Almayer odwrócił się i spojrzał na niego ze spokojem.

— Jeśli pan dostanie do rąk tego Daina, co pan z nim zrobi? — zapytał.

Twarz oficera poczerwieniała.

— To nie jest odpowiedź — rzekł zniecierpliwiony.

— A co pan zrobi ze mną? — ciągnął Almayer nie zważając na jego słowa.

— Czy pan ma zamiar się targować? — warknął oficer. — Zapewniam pana, że to zła taktyka. Nie dano mi na razie żadnych wskazówek co do pańskiej osoby; spodziewamy się, że pan nam pomoże ująć tego Malaja.

— Otóż to — przerwał Almayer — nie możecie nic zrobić beze mnie, a że znam dobrze tego człowieka, więc chcecie, abym pomógł go schwytać.

— Tego właśnie od pana oczekujemy — potwierdził oficer. — Złamał pan prawo, panie Almayer, powinien pan dać nam zadośćuczynienie.

— Aby siebie ocalić?

— No tak, do pewnego stopnia. Pańska głowa nie jest w niebezpieczeństwie — dodał porucznik zaśmiawszy się krótko.

— Więc dobrze — rzekł stanowczo Almayer — wydam wam tego człowieka.

Obaj oficerowie zerwali się na równe nogi rozglądając się za odpasaną bronią. Almayer roześmiał się chrapliwie.

— Spokojnie, panowie! — zawołał. — Na wszystko przyjdzie czas. Będziecie go mieli po obiedzie.

— To nonsens — naglił porucznik. — Panie Almayer, tu nie ma żartów! Ten człowiek jest zbrodniarzem. Zasłużył na stryczek. Będziemy tu spokojnie jedli obiad, a on drapnie przez ten czas. Wiadomość o naszym przyjeździe... Almayer podszedł do stołu.

— Daję panom słowo honoru, że nie ucieknie; trzymam go w bezpiecznym miejscu.

— Trzeba go uwięzić przed zmrokiem — zauważył młodociany podporucznik.

— Będzie pan odpowiadał, jeśli nam się nic uda. Jesteśmy w pogotowiu, ale nie możemy nic zrobić bez pana — dodał starszy nie tając zniecierpliwienia.

Almayer kiwnął potakująco głową.

— Ręczę słowem honoru — powtórzył. — A teraz siadajmy do stołu — dodał żywo.

We drzwiach ukazała się Nina. Przystanęła na chwilę, usunąwszy firankę przed Alim i starą Malajką, którzy wnieśli półmiski, po czym zbliżyła się do trzech mężczyzn stojących obok stołu.

— Niechże panowie pozwolą — rzekł pompatycznie Almayer. — Oto moja córka. Nino, panowie są oficerami z przybyłej dziś fregaty; uczynili mi zaszczyt przyjmując moje zaproszenie.

Nina skłoniła powoli głowę odpowiadając na niskie ukłony obu oficerów i siadła przy stole naprzeciw ojca. Nadszedł sternik z szalupy niosąc kilka butelek wina.

— Czy pozwoli mi pan postawić to na stole? — spytał porucznik Almayera.

— Jak to! wino? to bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Ależ naturalnie! W moim domu wcale nie ma wina. Ciężkie czasy!

Głos zadrżał mu przy ostatnich słowach. Uświadomił sobie znów z całą jaskrawością, że Dain nie żyje; poczuł, jak gdyby niewidzialna ręka zaciskała mu się wokoło gardła. Goście odkorkowywali wino, a on sięgnął po butelkę dzynu i pociągnął długi łyk. Porucznik, który rozmawiał z Niną, obrzucił go krótkim wejrzeniem. Młodociany podporucznik ochłonął już trochę z podziwu i zmieszania, jakie go ogarnęło z chwilą niespodziewanego pojawienia się Niny na widok niezmierniej jej piękności. „Bardzo piękna i imponująca — rozmyślał — ale koniec końców to przecież Metyska” Ta myśl sprawiła, że zebrał się na odwagę i spojrzał bokiem na Ninę. Spokój powlekał jej twarz, rozmawiała cichym, równym głosem ze starszym oficerem, który rozpytywał uprzejmie o kraj i o tryb jej życia. Almayer odepchnął talerz i pił wino swych gości w ponurym milczeniu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

— Czy mogę wierzyć twoim słowom? są one jak bajka dla wojowników, którzy obozują wokół ognisk na poły tylko czuwając; i widzi mi się, że wybiegły z ust kobiety.

— Kogóż mam wywodzić w pole, o radzo? — odrzekł Babalatji. — Bez ciebie jestem niczym. Wierzę w prawdę wszystkiego, co ci rzekłem. Długie lata spoczywałem bezpiecznie w zagłębieniu twojej dłoni. Nie czas na żywienie podejrzeń. Niebezpieczeństwo jest bardzo groźne. Radźmy i działajmy natychmiast, nim jeszcze słońce zajdzie.

— Słusznie mówisz — odmruknął frasobliwie Lakamba.

Siedzieli już od godziny w sali posłuchań radzy. Babalatji stwierdziwszy przybycie oficerów przepawił się zaraz przez rzekę, aby zdać swemu panu sprawę z porannych wypadków, i razem z nim wytknąć linię postępowania wobec zmienionych okoliczności. Niespodziewany obrót wydarzeń przeraził i zaskoczył ich obu. Radza siedział w fotelu ze skrzyżowanymi nogami utkwivszy wzrok w podłódze; Babalatji przykucnął tuż przy nim w postawie wyrażającej wielkie zwątpienie.

— I gdzież on się teraz ukrywa? — spytał Lakamba przerywając ciszę rojącą się od złowróżbnych przeczuć, które pochłaniały ich obu przez długą chwilę.

— Na polance Bulangiego — tej, co leży najdalej od Jego domu. Popłynęli tam dziś w nocy. Zawiozła go córka białego człowieka; powiedziała mi to otwarcie, bo jest na wpół biała i nie zna się na obyczajności. Czekala długo na Daina, podczas gdy był u ciebie. Wynurzył się wreszcie z ciemności i padł wyczerpany do jej stóp. Leżał jak martwy, ale przywróciła mu życie w swych ramionach i tchnęła w niego własne tchnienie. Oto, co mi rzekła prosto w twarz, tak jak ja mówię do ciebie, radzo. Podobna jest białej kobiecie i nie zna sromu.

Urwał, przejęty ogromnym zgorszeniem. Lakamba pokiwał głową.

— No i co dalej? — spytał.

— Zawołali starą kobietę — ciągnął Babalatji — a gdy przyszła, opowiedział o tym, co się stało z brygiem, i o swojej zasadzce na białych ludzi. Wiedział dobrze, że *orang Belanda* są blisko — choć wcale nam o tym nie wspomniał; wiedział, jak wielkie grozi mu niebezpieczeństwo. Zdawało mu się, że zabił wielu *orang Belanda*, ale zginęło ich tylko dwóch; mówili mi to morscy ludzie, którzy przybyli na łodziach okrętu wojennego.

— A ten drugi człowiek, którego znaleźli w rzece? — przerwał Lakamba.

— To był jeden z wiosłarzy Daina. Gdy się czołno wywróciło, płynęli obok siebie; zdaje się, że tamten człowiek był ranny. Dain podtrzymał go. Dobił do brzegu i zostawił

go w krzakach. Kiedy wrócili po niego wszyscy troje, serce niewolnika już bić przestało. Wówczas przemówiła stara kobieta; Dain wysłuchał jej słów i uznał, że są mądre. Zdjął kółko ze swojej nogi, złamał je i wcisnął na nogę niewolnika. Pierścień swój włożył na jego palec. Zdjął sarong i z pomocą kobiet przyoblekł weń trupa, który przecież odzienia już nie potrzebował; w ten sposób umyślili oszukać wszystkie oczy i zwieść całą osadę, aby każdy mieszkaniec mógł przysiąc, że widział to, czego nie było, i aby nikt nie zdradził Daina przed białymi.

Potem Dain i biała kobieta popłynęli do Bulangiego i zażądali, aby im wynalazł kryjówkę. Stara pozostała przy zwłokach.

— *Hai!* — wykrzyknął Lakamba. — Ona jest mądra.

— Tak, ona ma swojego diabła, który szepce jej rady do ucha — potwierdził Babalatji. — Z wielkim trudem zaciągnęła ciało aż na miejsce, gdzie dużo pni zebrało się u brzegu. Wszystko to działo się w ciemnościach po przejściu nawałnicy. Stara czuwała obok trupa. Jak tylko dzień zaczęło, wzięła ciężki kamień, pogruchotała twarz umarłego i pchnęła ciało między kłody. Potem skryła się w pobliżu na czatach. O wschodzie słońca Mahmat Bandjar przyszedł i znalazł zwłoki. Wszyscy uwierzyli, że to Dain, nawet ja zostałem oszukany, ale nie na długo. Biały człowiek uwierzył także i uciekł do domu w rozpacz. Kiedy znaleźliśmy się sami, powiedziałem starej kobiecie, co o tym myślę. Przestraszyła się mego gniewu i twej potęgi i wyznała mi wszystko prosząc o pomoc w ocaleniu Daina.

— Nie powinien wpaść w ręce *orang Belanda* — rzekł Lakamba — niech raczej umrze, jeśli da się to gładko zrobić.

— Nie podobna, tuanie! pamiętaj o tej kobiecie, której nie można poskromić, bo jest w pół białą, ona podniosłaby wielki gwałt! A przy tym oficerowie są tutaj. Oni już i tak się gniewają. Dain musi ocaleć, musi stąd uciec. Musimy mu dopomóc ze względu na własne bezpieczeństwo.

— Czy oficerowie są bardzo rozgniewani? — spytał z zajęciem Lakamba.

— Bardzo. Wódz ich mówił do mnie gwałtowne słowa, do mnie, który złożyłem mu pokłon w twoim imieniu. Zdaje mi się — dodał po chwili zgnębiony Babalatji — że nie widziałem nigdy białego wodza w tak wielkim gniewie! Powiedział, że jesteśmy gorzej niż opieszali i że chce pomówić z radzą, bo ja nic nie znacę.

— Pomówić z radzą! — powtórzył Lakamba w zamyśleniu. — Słuchaj mnie, Babalatji: jestem chory i muszę się położyć; przepraw się i powiedz to białym ludziom.

— Dobrze — rzekł Babalatji — zaraz jadę; a co będzie z Dainem?

— Wypraw go w jakikolwiek sposób. Wielka to zgryzota dla mojego serca —

westchnął Lakamba.

Babalatji powstał, zbliżył się do władcy i jął mówić z powagą.

— Jedno z naszych prau³⁴ znajduje się teraz na południe od ujścia Pantai. Holenderski okręt stoi na czatach bardziej na północ, przy głównym wjeździe do rzeki. Tajnymi przesmykami wyprawię jutro w czólnie Daina na pokład prau. Ojciec jego jest wielkim władcą; niech pozna naszą wspaniałomyślność. Prau zawiezie Daina do Ampenanu. Wielką będzie twoja chwała, o radzo, a nagrodą stanie ci się potężny sojusz. Almayer na pewno wyda oficerom ciało niewolnika jako zwłoki Daina, a głupi biali ludzie powiedzą: „Wszystko już dobrze; niech teraz zapanuje pokój.” I zgryzota opuści twoje serce, o radzo!

— Prawda! Prawda! — rzekł Lakamba.

— A jako że się to stanie za moją sprawą, który jestem twoim niewolnikiem, nagrodzisz mnie szczodrą dłońią. Wiem o tym. Biały człowiek martwi się, że skarb przepadł, bo spragniony jest dolarów jak wszyscy biali ludzie. Teraz, kiedy wszystko na dobrej drodze, może się nam uda wydobyć skarb od białego człowieka. Dain musi ujść, a Almayer musi pozostać przy życiu.

— Jedź już, Babalatji, jedź! — rzekł Lakamba powstając z fotela. — Bardzo jestem chory i muszę zażyć lekarstwo. Powiedz to białemu wodzowi.

Ale Babalatji nie dał się tak łatwo odprawić. Wiedział, że jego pan — na wzór wszystkich wielkich ludzi — lubi zsuwać brzemię trudu i niebezpieczeństw na barki swych slug, ale uważał, że wobec ciężkich oparów, w których się znaleźli, musi i radza odegrać swoją rolę. Wolno mu udawać ciężko chorego przed białymi, a choćby i przed całym światem, jeśli mu się spodoba, ale musi wziąć udział w wykonaniu planu, który Babalatji starannie obmyślił. Wierny sługa zażądał, aby wysłano o zmierzchu wielką łódź z dwunastu zbrojnymi ludźmi do polanki Bulangiego. Nie jest wykluczone, że trzeba będzie wziąć Daina siłą. Zakochany mężczyzna nie zawsze widzi jasno ścieżkę Bezpieczeństwa, zwłaszcza jeżeli ta odwodzi go od przedmiotu jego uczuć — rozumował Babalatji — a w takim razie trzeba będzie użyć przemocy. Czy radza zechce dopilnować, aby obsadzono łódź zaufanymi ludźmi? Trzeba wykonać wszystko w ścisłej tajemnicy. Może by radza zgodził się wziąć osobiście udział w wyprawie i wpłynąć na Daina mocą swego dostojęstwa, w razie gdyby okazał się uparty i nie chciał opuścić kryjówek? Radza nie zobowiązał się jednak do niczego i z niepokojem naglił Babalatjego do wyjazdu, lękając się, że biali przybędą znienacka w odwiedziny. Wreszcie Babalatji pożegnał się niechętnie z radzą i wyszedł na podwórze.

Przed zejściem do przystani zatrzymał się chwilę na rozległym dziedzińcu. Gęste

34 Prau — łódź malajska

listowie drzew rzucało czarne plamy cienia, które zdawały się pływać po gładkiej powierzchni jaskrawego światła, co rozlewało się w górę ku domom i w dół ku częstokołowi, i hen po szerokiej rzece, łamiąc się i skrząc w tysiącach drobnych, połyskliwych fal niczym szlak z lazuru i złota, ujęty w jaskrawą zieleń lasów strzegących obu brzegów Pantai. W głuchej ciszy, przed spłynięciem wieczornego powiewu, fantastyczne karby liściastych czubów zastygły w spokoju niby zygzak nakreślony niepewną ręką na błękitie rozpalonego nieba. W przestrzeni zamkniętej częstokołem snuł się zapach wędnących kwiatów z pobitego lasu i zalatywała woń suszących się ryb. Niekiedy kłęb ciepłego dymu z kuchennego ogniska przypląwał spod liści tych konarów i pełzał leniwie, czepiając się spiekłej trawy.

Gdy Babalatji spojrzął na żerdź z chorągwią sterczącą nad kępą niskich drzew w środku dziedzińca, trójbarwna flaga Niderlandów drgnęła pierwszy raz od chwili, gdy wywieszono ją tego ranka na powitanie łodzi okrętu wojennego. Z nikłym szelestem liści powiew spłynął z góry w lekkich podmuchach, igrając kapryśnie z godłem potęgi Lakamby, które było zarazem i piętnem jego niewoli. Ostry podmuch wiatru wionął nagle chłodem i rozpostarta flaga powiała spokojnie nad drzewami. Mroczny cień potoczył się wzdłuż rzeki gasząc na falach skry zachodzącego słońca. Wielka biała chmura żeglowała zwolna po ciemniejącym niebie i zawisała na zachodzie niby czekając na połączenie się ze słońcem. I ludzie, i rzeczy — wszystko strząsnęło odrętwiałość sennego popołudnia i zbudziło się do życia z pierwszym tchnieniem morskiego powiewu.

Babalatji zbiegł spiesznie ku wrotom wiodącym do rzeki. Obejrzał się i raz jeszcze ogarnął wzrokiem słoneczny dziedziniec usiany plamami cienia, rozpalone ogniska, trzaskające wesoło, i gromadki żołnierzy i domowników Lakamby. Spojrzął także na swój dom stojący wśród innych budynków opasanych częstokołem i ze ściśniętym sercem zadał sobie pytanie, kiedy i jak dane mu będzie wrócić do rodzinnego ogniska. Miał do czynienia z mężem niebezpieczniejszym niż dzikie zwierzę, dumnym, samowolnym jak władca, zakochanym. Do tego człowieka miał przemówić słowami chłodnej, ziemskiej mądrości. Czy jest coś bardziej przerażającego? Co się stanie, jeśli Dain uwidzi sobie jakąś urojoną zniewagę czy lekceważenie swych uczuć i da się porwać szalonemu gniewowi? Ofiarą padnie przede wszystkim mądry doradca a śmierć stanie się jego nagrodą. Okropność położenia pogarszało jeszcze niebezpieczeństwo grożące M strony tych natrętnych głupców, białych ludzi. Przed oczami Babalatjego zamajaczyła wizja smutnego wygnania na dalekiej Madurze. To byłoby gorsza od samej śmierci! A tu jeszcze wchodzi w grę ta na wpół biała kobieta o groźnych oczach. Jakże przewidzieć, do czego jest zdolna taka niezrozumiała istota? Wie o wszystkim i dlatego właśnie nie podobna zabić Daina. Nie ma co do tego wątpliwości. A

jednak kąśliwe ostrze krisa dobrym i wiernym jest druhem — pomyślał Babalatji. Obejrzał miłośnie swoją broń i wsunął ją z powrotem do pochwy z głębokim westchnieniem żalu. Odwiązawszy łódkę odsądził się od brzegu i ujął wiosło czując niezbitcie, jak dalece niepożądanym jest mieszanie się kobiet do spraw państwowych. Młodych kobiet, oczywiście. Dla dojrzałej wiedzy pani Almayer, dla biegłości w intrygach, której niewiasty nabywają z wiekiem, Babalatji czuł tylko najgłębszy szacunek.

Wiosłował od niechcenia, a woda znosiła czółno zmierzające ku przylądkowi. Słońce tkwiło jeszcze wysoko i pośpiech był zbyteczny. Do dzieła swojego będzie mógł przystąpić dopiero z nastaniem zmroku. Minął pomost Lingarda, objechał przylądek i skierował łódź do zatoczki za domem Almayera. Tkwiło tu już kilka czółen skupionych dziobami u jednego pała. Babalatji wepchnął swoją łupinkę między łódki i wysiadł na brzeg. Z drugiej strony zatoki coś poruszyło się w trawie.

— Kto się tam kryje? — zawołał Babalatji. — Wyjdź i pokaż się.

Nikt nie odpowiedział. Babalatji przeszedł na drugą stronę zatoki po zsuniętych czółnach i uderzył ze złością laską w podejrzane miejsce. Z krzykiem wyskoczyła stamtąd Tarnina.

— Cóż ty tu robisz? — spytał zdziwiony. — O mało co nie nastąpiłem na twoją tacę. Czy jestem Dajakiem, że kryjesz się na mój widok?

— Zmęczona byłam i ... spałam — wyszeptła zawstydzona Tarnina.

— Spłaś! Twoje placki nie sprzedane i zbiją cię, jak wrócisz do domu — rzekł Babalatji.

Tarnina stała przed nim zmieszana i milcząca; Babalatji oglądał ją starannie z wielkim zadowoleniem. Postąpi za nią stanowczo pięćdziesiąt dolarów temu złodziejowi Bulangiemu. Dziewczyna podobała mu się.

— A teraz idź do domu, późno już — rzekł ostro. — Powiedz Bulangiemu, że znajdę się w pobliżu jego domu, nim pół nocy upłynie, i że ma przygotować wszystko do długiej podróży. Rozumiesz? do długiej podróży na południe. Powiedz mu to jeszcze przed zachodem, a nie zapomnij o moich słowach!

Tarnina kiwnęła głową na znak zgody i patrzyła za Babalatjim, który przełazi z powrotem na drugą stronę zatoczki i znikł w gąszczu krzewów opasujących osiedle Almayera. Wówczas odeszła nieco dalej od brzegu, osunęła się znowu w trawę i przypadła twarzą do ziemi dygocąc w męce bez jednego słowa, bez jednej łzy.

Babalatji szedł prosto ku szopie i rozglądał się za panią Almayer. Na dziedzińcu panował gwałt i hałas. Jakiś obcy Chińczyk objął w posiadanie kuchenne ognisko i domagał

się wrzaskliwie drugiego rondla. Darł się wniebogłosy wymyślając w kantońskim dialekcie, to znów w łamanej malajszczyźnie, a niewolnice zbite opodał w gromadkę słuchały go, zaleknione i zarazem rozśmieszona jego gwałtownością. Od strony ognisk roznieconych przez marynarzy z fregaty dochodziły zachęcające okrzyki wraz ze śmiechem i żartami. Wśród tego hałasu i zamieszania Babalatji spotkał Alego, który niósł próżny półmisek.

— Gdzie są biali? — spytał Babalatji.

— Jedzą obiad na werandzie — odrzekł Ali. — Nie zatrzymuj mnie, tuanie. Noszę pożywienie dla białych ludzi i jestem bardzo zajęty.

— Gdzie jest mem Almayer?

— W korytarzu. Słucha ich rozmowy.

Ali wyszczerzył zęby w uśmiechu i poszedł dalej. Babalatji wspiał się po kładce na tylny ganek, wywołał panią Almayer i zapuścił się z nią w poważną rozmowę. Przez długi korytarz, zamknięty z drugiego końca czerwoną zasłoną, dolatywał głos Almayera górujący nad innymi gwałtownym, podniesionym tonem. Pani Almayer spojrzała znacząco na Babalatjego. — Słyszysz? — szepnęła. — On dużo wypił.

— O tak — potwierdził Babalatji. — Będzie mocno spał dziś w nocy.

Pani Almayer nie była tego pewna.

— Czasem szatan dzynu zsyła na niego bezsenność.

Chodzi wtedy przez całą noc po werandzie i klnie, a my trzymamy się z daleka — objaśniała, czerpiąc swą wiedzę z doświadczenia nabytego przez dwadzieścia kilka lat małżeńskiego pożycia.

— Ale wtedy nic nie słyszy ani nie rozumie i ramię jego nie ma żadnej siły. Nie trzeba, aby słyszał cokolwiek dziś w nocy.

— Nie trzeba! — powtórzyła pani Almayer energicznym, choć ściszym tonem. — Jeśli usłyszy, gotów nas zabić.

Babalatji spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— *Hai!* możesz mi wierzyć, tuanie! Czy nie przeżyłam długich lat z tym człowiekiem? Czy nie widziałam wielekroć śmierci w jego oczach czasu mej młodości, kiedy domyślał się wielu rzeczy? Gdyby był mężem z mego plemienia, nie spotkałabym się dwa razy z takim wzrokiem, ale on...

Lekceważący ruch napiętnował niewymowną pogardą małoduszny wstręt Almayera do przelewu krwi.

— Jeśli mu brak siły, aby wykonać to, czego pragnie, to czego się lękać? — spytał Babalatji po krótkiej pauzie, w czasie której nasłuchiwali hałaśliwej gadaniny Almayera, póki

głos jego nie zlał się z gwarem ogólnej rozmowy. — Czego mamy się lękać? — powtórzył Babalatji.

— Aby zatrzymać córkę, którą kocha, gotów przebić twoje i moje serce bez wahania. Kiedy dziewczyny nie stanie, rozpęta się jak diabeł wcielony. Musimy się wtedy strzec oboje, ty i ja.

— Stary jestem i nie lękam się śmierci — odrzekł kłamliwie Babalatji udając obojętność. — Ale co się stanie z tobą?

— A ja jestem stara i pragnę żyć — odparła pani Almayer. — Ona jest także i moją córką. Poszukam schronienia u stóp naszego radży, przemowie w imieniu przeszłości, kiedy byliśmy młodzi oboje, kiedy... Babalatji podniósł rękę.

— Dostyc. Znajdziesz u nas schronienie — rzekł uspokajająco.

Znowu rozległ się głos Almayera i znów przycichli nasłuchując. Beładna gadanina wzmagała się chwilami aż do głośnych wybuchów o nierównej sile, po których zapadało nagle milczenie. Słowa i zdania, powtarzane wielokrotnie, wrywały się z plątaniny gorączkowych okrzyków; towarzyszyło im walenie pięści w stół. W czasie krótkich chwil ciszy drgające od uderzeń szklanki dźwięczały żałosną skargą; fale cienkich wibracji zamierały stopniowo, gdy nagle hałaśliwy brzęk znów wybuchał: to nowa jakaś myśl Almayera tryskała potokiem słów sprowadzając uderzenie ciężkiej pięści. Wreszcie swarliwe krzyki ustały i żałosny brzęk szkła rozpląnął się w ciszy.

Babalatji i pani Almayer nasłuchiwali z ciekawością, przechyleni w stronę korytarza. Po każdym głośniejszym wybuchu kiwali głowami ze śmieszną przesadą, udając zgorszenie, i trwali w pozie urażonej przyzwoitości, nawet gdy hałas już ustał.

— To wszystko za sprawą szatana dżynu — szepnęła pani Almayer. — Słyszysz? on mówi tak czasem do siebie, nawet gdy nie ma przy nim nikogo.

— O czym rozmawiają? — pytał skwapliwie Babalatji. — Ty powinnaś rozumieć.

— Zapomniałam już ich mowy; niewiele z tego zrozumiałam. Mówił bez żadnego szacunku o białym władcy w Batawii, o opiece rządu i o tym, że został skrzywdzony; powtórzył to nawet kilka razy. Posłuchaj! znowu zaczyna.

— Tse! tse! tse! — cmokał Babalatji wysiłając się na zgorszenie, choć jego samotne oko rzucało radosne błyski. — Teraz nastąpi wielki zamęt wśród białych ludzi. Zайдę od tamtej strony i zobaczę, co się dzieje. Zawiadam swoją córkę, że czeka ją nagła i długa podróż, która doprowadzi ją do wspaniałości i chwały. I powiedz, że Dain musi odjechać albo umrzeć i że nie zechce odjechać sam jeden.

— Nie, nie zechce odjechać sam jeden — powtórzyła w zadumie pani Almayer i gdy

Babalatji znikł za węglem, wśliznęła się z powrotem na korytarz.

Wiedziony gwałtowną ciekawością, sembirski statysta obiegił w mig naokoło domu i jął wspinać się ostrożnie na schody werandy, stopień za stopniem. Usiadł spokojnie u samej góry i spuścił nogi, gotów do ucieczki, w razie gdyby jego obecność okazała się niepożądana. W tej pozycji czuł się mniej więcej bezpieczny. Stół był ku niemu zwrócony końcem, widział tylko plecy Almayera, a Ninie spoglądał prosto w twarz. Obaj oficerowie siedzieli do niego bokiem. Z czterech osób siedzących przy stole tylko Nina i młodszy oficer zauważyli ciche zjawienie się Babalatjego. Na jego widok Nina spuściła powieki, ale wnet zagadała do porucznika, a ten zwrócił się do niej z uprzejmą skwapliwością. Rozmawiając wciąż spokojnie, nie odwracała wzroku od twarzy ojca, który rozprawiał hałaśliwie.

— ...niesumienność i nielojalność; a cóżeście takiego uczynili, że wymagacie ode mnie lojalności? Nie macie żadnej władzy nad tym krajem. Musiałem sam sobie radzić, a kiedy prosiłem o opiekę, odpowiedziano groźbami i wzgardą rzucając mi w twarz arabskie oszczerstwa! Mnie! człowiekowi białemu!

— Proszę się uspokoić, panie Almayer — przekładał porucznik — wszystko to już słyszałem.

— Więc dlaczego gada mi pan o niesumienności? Potrzebowałem pieniędzy i dawałem w zamian proch. Skądże mogłem wiedzieć, że ci nieszczęśnicy wylecą w powietrze? Phy! sumienność!

Sięgnął niepewnym ruchem do butelek i brał w rękę jedną po drugiej mamrocząc coś pod nosem. — Nie ma już wina! — mruknął niezadowolony.

— Dosyć pan wypił — rzekł porucznik zapalając cygaro.

— Czy nic czas wydać nam pańskiego więźnia? — Myślę, że pan trzyma tego Daina Marulę w jakimś bezpiecznym miejscu, ale trzeba już raz z tym skończyć; potem będzie jeszcze coś do wypicia. No, no! Cóż pan tak na mnie patrzy?

Almayer wlepił w oficera tępy wzrok i jął wodzić drżącymi rękoma koło szyi.

— Złoto — wymówił z trudnością i usiłował odchrząknąć. — Coś trzyma mnie za gardło... o tutaj... pan wybaczy. Co ja chciałem powiedzieć... trochę złota za odrobinę prochu. Cóż w tym złego?

— Wiem, wiem! — rzekł porucznik, uspokajając go.

— Nie! pan nie wie. Żaden z was nie wie! — krzyknął Almayer. — Mówię wam, że rząd jest głupi. Góry złota! Ja jeden wiem o tym! Ja i jeszcze ktoś inny. Ale on nie powie. On...

Urwał z niewyraźnym uśmiechem i, usiłując poklepać oficera po ramieniu, przewrócił

parę pustych butelek.

— Setny z pana chłop — rzekł bardzo wyraźnie protekcyjnym tonem i pokiwał sennie głową mruczając coś pod nosem.

Oficerowie spojrzeli na siebie bezradnie.

— Tak nie da rady — rzekł porucznik do młodszego oficera. — Zbierz pan ludzi na dziedzińcu. Muszę wydobyć z mego choć jedno rozsądne słowo. Nuże, panie Almayer! proszę się zbudzić. Niechże pan dotrzyma przyrzeczenia! Pan przecież dał słowo. Pan dał słowo honoru! Czy pan pamięta?

Almayer wyrwał się niecierpliwie oficerowi. Nagle opuścił go zły humor; spojrzął w górę, przykładając palec do nosa.

— Pan jest jeszcze bardzo młody; przyjdzie czas na wszystko — rzekł z wielce mądrą miną.

Porucznik zwrócił się do Niny, która oparła się plecami o poręcz krzesła i obserwowała spokojnie ojca.

— Cała ta historia bardzo mi jest przykra ze względu na panią. Nie wiem — ciągnął dalej z pewnym zakłopotaniem — czy mam prawo prosić panią o cokolwiek, chyba tylko o to, aby pani nie była obecna przy tym przykrym zajściu, ale mimo to muszę nadmienić dla dobra ojca pani, że pani powinna właściwie... to znaczy się, uważam, że jeśli pani ma jakiś wpływ na ojca, powinna go pani teraz użyć, aby dotrzymał przyrzeczenia danego mi, zanim... zanim popadł w ten stan.

Zauważył ze zniechęceniem, że nie zwróciła żadnej uwagi na jego słowa i siedziała ze spuszczoneymi powiekami.

— Ufam — rozpoczął znowu.

— O jakim przyrzeczeniu pan mówi? — spytała nagle Nina i powstawszy zbliżyła się do ojca.

— Nie żądam niczego, co by nie było sprawiedliwe i słuszne. Ojciec pani obiecał wydać człowieka, który w czasie pokoju targnął się na życie niewinnych ludzi; chciał ująć karze grożącej mu za złamanie prawa. Obmyślił swój zamach na wielką skalę. Jeśli doznał częściowego niepowodzenia, nie jego w tym wina. Słyszała pani naturalnie o Dainie Maruli. Uciekł w górę rzeki. Jak wnoszę, ojciec pani go przytrzymał. Może pani...

— Więc zabił białych ludzi! — przerwała Nina.

— Przykro mi wyznać, że to byli rzeczywiście biali. Tak, dwóch białych postradało życie przez kaprys tego. łotra.

— Tylko dwóch?! — wykrzyknęła Nina.

Oficer spojrział na nią w zdumieniu.

— Jak to! jak to, pani... — zająknął się zmieszany.

— Mogło ich być więcej — przerwała Nina. — A jeśli dostaniecie do rąk tego... tego łotra, wówczas oddalicie się stąd?

Porucznik, wciąż jeszcze oniemiały, skinął potakująco głową.

— A więc wy dostałabym go dla was z głębi gorejącego stosu! — wybuchnęła z siłą. — Nienawidzę widoku waszych białych twarzy. Nienawidzę dźwięku waszych łagodnych głosów. Oto jak się zwracacie do kobiet, szepcząc czułe słowa każdej ładnej dziewczynie! Miałam kiedyś sposobność słuchać waszych głosów. Cieszyłam się nadzieją, że nie zobaczę już nigdy żadnej białej twarzy prócz tej jednej — dodała łagodniej, dotykając lekko policzka ojca.

Almayer przestał mamrotać; otworzył oczy i przytrzymał dłoń córki tuląc do niej twarz. Nina gładziła siwe, potargane włosy ojca i spoglądała wyzywająco na oficera, który odzyskał już równowagę i odwzajemnił jej wzrok chłodnym, spokojnym wejrzeniem. Przed werandą słychać było miarowy tupot; to marynarze zbierali się stosownie do rozkazu. Podporucznik wszedł po schodach, a Babalatji powstał niespokojnie i trzymając palec na ustach, starał się zwrócić na siebie uwagę Niny.

— Dobra z ciebie dziewczyna — szepnął z roztargnieniem Almayer i puścił rękę córki.

— Ojcze, ojczel! — krzyknęła pochylając się nad nim z namiętą prośbą w głosie — spójrz na tych dwóch ludzi, którzy na nas patrzą. Wypraw ich stąd! Dłużej tego nie zniosę. Wypraw ich! Zrób, czego chcą — i niech sobie pójdą!

Wzrok jej padł na Babalatjego; zamilkła nagle, lecz uderzała szybko nogą o podłogę w przystępie gorączkowego rozdrażnienia. Oficerowie stali obok siebie przyglądając się jej ciekawie.

— Co jej się stało? co to znaczy? — spytał młodszy.

— Nie wiem — odpowiedział drugi. — Córka jest wściekła, a ojciec urżnięty. A jednak niezupełnie urżnięty. To ciekawe! Popatrz no pan!

Almayer powstał z miejsca przytrzymując się ramienia córki. Zawahał się chwilę, potem puścił swoją podporę i zatoczył się aż do połowy werandy. Zebrawszy siły stał wyprostowany, ciężko dysząc i rozglądając się gniewnie.

— Czy ludzie gotowi? — spytał porucznik.

— Wszystko gotowe, panie poruczniku.

— Proszę nam teraz pokazać drogę, panie Almayer — rzekł porucznik.

Almayer wlepił w niego wzrok, jak gdyby go spostrzegł po raz pierwszy.

— Dwóch ludzi — rzekł niewyraźnie. Zdawało się, że wysiłek, z jakim wymówił te słowa, nadwreżył jego równowagę; postąpił szybko o krok, aby uniknąć upadku, i stał kiwając się w tył i naprzód. — Dwóch ludzi! — zaczął znów z trudnością. — Dwóch białych w mundurach, ludzi honorowych. To jest, chciałem powiedzieć, ludzi honoru. Czy pan jest człowiekiem honoru?

— No, no, dosyć już tego! — rzekł niecierpliwie oficer — — Proszę nam wydać tego pańskiego przyjaciela.

— Za kogo mnie pan ma? — rzucił z wściekłością Almayer.

— Za pijanego, ale nie tak dalece, aby pan nie wiedział, co pan robi. Dość tych błazeństw — rzekł oficer z powagą — bo skazę pana na areszt domowy.

— Areszt! — rozległ się zgrzytliwy śmiech Almayera.

— Ha, ha, ha! Areszt! Przez dwadzieścia lat usiłowałem wydostać się z tej piekielnej dziury i nie mogłem! Słyszysz, człowieku! Nie mogłem! i nigdy już się stąd nie wydostanę! nigdy!

Szloch go chwycił przy ostatnim słowie. Zszedł niepewnie ze schodów; gdy znaleźli się na dziedzińcu, porucznik zbliżył się i wziął go pod ramię. Podporucznik i Babalajtji szli tuż za nimi.

— Czy tak nie lepiej, panie Almayer? — rzekł zachęcająco oficer. — Ale dokądże pan prowadzi? Tu są tylko deski. Panie Almayer — dodał trącając go z lekka — czy łodzie będą potrzebne?

— Nie! — odrzekł zjadliwie Almayer. — Potrzebny będzie grób.

— Co takiego? znów pan bredzi! Niechże się pan postara mówić do rzeczy.

— Grób! — wrzeszczał Almayer usiłując się wyrwać oficerowi. — Dziura w ziemi. Czy pan nie rozumie? To pan jest pijany. Proszę mnie puścić. Puścić mnie, mówię!

Wyrwał się i zatoczył aż ku deskom, na których spoczywały zwłoki pod białym przykryciem; nagle odwrócił się i stanął na wprost półkola zaciekawionych twarzy. Słońce zniżało się szybko, kładąc na dziedzińcu długie cienie drzew i domu, lecz blask pozostał jeszcze na rzece, kędy mknęły z prądem kłody znacząc się czarno i wyraźnie w bladej czerwieni zachodu. Pnie drzew na wschodnim wybrzeżu tonęły już w mroku, a wierzchołki chwiały się lekko w gasnącej poświacie. Powietrze czyniło się ciężkie i chłodne; od rzeki szedł powiew i rozpraszał się w lekkich podmuchach.

Almayer usiłował coś powiedzieć, lecz nagle wstrząsnął się i niepewnym ruchem podniósł znów ręce do gardła, jak gdyby chciał wyswobodzić się z uścisku niewidzialnej ręki.

Jego krwią nabiegłe oczy błędziły od twarzy do twarzy.

— Czy jesteście tu wszyscy? — rzekł wreszcie. — To niebezpieczny człowiek.

Szarpnął gwałtownie płócienną zasłonę; ciało potoczyło się sztywno i bezradnie do jego stóp.

— Zimny, zupełnie zimny — rzekł Almayer z martwym uśmiechem wodząc wzrokiem po obecnych. — Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. I nie możecie go nawet powiesić. Jak panowie widzicie — dodał uroczyście — nie ma tu wcale głowy, a z szyi prawie nic nie zostało.

Ostatni promień słońca zagasł na szczytach drzew; rzeka zapadła nagle w mrok, a wśród wielkiej ciszy rósł szmer płynącej wody i zdawał się przepełniać nieobjęty przestwór szarego cienia, który zstąpił na ziemię.

— Oto Dain — rzekł Almayer do milczącej gromadki skupionej wkoło niego. — Dotrzymałem słowa. Najpierw jedna nadzieja, potem druga, a to jest ostatnia. Nic już nie zostało. Myślicie, że tu jeden trup tylko? Zapewniam was, że to omyłka. Jestem daleko bardziej martwy od niego. Dlaczego mnie nie wieszacie? — poddał nagle przyjaznym tonem, zwracając się do porucznika. — Ręczę wam, ręczę, że to byłaby ty—tylko czysta formalność.

Ostatnie słowa wybelkotał pod nosem i ruszył zygzakami do domu. „Precz!” — huknął na Alego, który zbliżył się nieśmiało, chcąc go podtrzymać. Gromadki wylękłych mężczyzn i kobiet śledziły z oddali jego błędne kroki. Wgramolił się na schody trzymając się poręczy, dotarł do fotelu i zwałił się nań całym ciężarem. Przez chwilę siedział spokojnie, dysząc z wysiłku i gniewu, i rozglądał się za Niną. Nagle pogroził pięścią w stronę osady, skąd dochodził głos Babalatjego, i kopnął stół, który runął z wielkim łoskotem i brzękiem tłuczonej zastawy. Przez chwilę mruczał coś jeszcze groźnie pod nosem, wreszcie głowa opadła mu na piersi, oczy zamknęły się i zasnął z głębokim westchnieniem.

Tej nocy — pierwszy raz w dziejach Sembiru — kwitnąca ta i spokojna osada ujrzała światła w „Szaleństwie Almayera”. Były to latarnie z fregaty zawieszane przez majtków na werandzie, gdzie obaj oficerowie prowadzili śledztwo. Przebieg całej sprawy przedstawił im Babalatji. Sembirski statysta odzyskał wreszcie należne mu znaczenie. Wymowny był i przekonywający, wzywał niebo i ziemię, aby świadczyły o prawdzie jego słów. Byli także inni świadkowie. Mahmata Bandjara i wielu innych Malajów poddano szczegółowemu badaniu, które przeciągnęło się aż do późnego wieczora. Posłano gońca po Abdullę, który, usprawiedliwiając sędziwym wiekiem swoją nieobecność, wydelegował zamiast siebie Reszyda. Mahmat musiał pokazać złote kółko i ujrzał z wściekłością i rozpaczą, że oficer

chowa je do kieszeni, jako jeden z dowodów śmierci Daina, aby przesłać je rządowi wraz z oficjalnym sprawozdaniem o wyprawie. Pierścień Babalatjego został również skonfiskowany w tym samym celu, lecz doświadczony mąż stanu z góry się tego spodziewał. Zniósł stratę z rezygnacją, pragnąc tylko, aby biali ludzie uwierzyli jego słowom. Zadawał sobie w duchu poważnie to pytanie, gdy odchodził, jeden z ostatnich, po skończonym badaniu. Tego nie był pewien. Jeśli uwierzą choćby tylko na jedną noc, będzie mógł usunąć Daina poza obręb ich władzy i odetchnie nareszcie w poczuciu bezpieczeństwa. Oddalił się szybko, spoglądając niekiedy przez ramię, aby przekonać się, czy nikt za nim nie idzie, ale nie zobaczył i nie usłyszał nic podejrzanego.

— Dziesiąta — rzekł porucznik i ziewnął spoglądając na zegarek. — Słyszę już zawczasu przyjemne uwagi, jakimi powita mnie kapitan. Cóż to za podła historia.

— Czy pan myśli, że to wszystko prawda? — spytał młodszy.

— Bo ja wiem! możliwe, że to i prawda. A jeśli nie, to cóż możemy poradzić? Gdybyśmy mieli tak ze dwanaście łodzi można by spatrolować zatoki, a i to nie na wiele by się przydało. Ten pijany wariat ma rację, nie władamy dostatecznie tym wybrzeżem. Robią tu, co chcą. Czy przygotowali nam hamaki?

— Kazałem je zawiesić sternikowi. Co za dziwna para! — rzekł porucznik wskazując w stronę domu Almayera.

— Hm! Rzeczywiście, ciekawa para. O czym pan z nią mówił? Przez cały czas zajęty byłem głównie ojcem.

— Zareczam panu, że zachowałem się jak najgrzeczniej — zapewniał gorąco oficer.

— To doskonale. Niechże się pan nie gorączkuje. Najwidoczniej ona nie znosi grzeczności. A ja myślałem, że pan był może za czuły. Widzi pan, jesteśmy tu na służbie.

— Ależ naturalnie! Nigdy o tym nie zapominam. Chłodna uprzejmość, nic ponad to.

Roześmiali się obaj, a że nie byli jeszcze śpiący, zaczęli chodzić ramię w ramię po werandzie. Księżyc wychynął ukradkiem zza drzew przeobraziwszy nagle rzekę w strumień lśniącego srebra. Las wyłonił się z czarnej próżni i stanął w posępnej zadumie nad roziskrzoną wodą. Powiew rozplątał się w zupełnej ciszy.

Zwyczajem marynarzy, oficerowie chodzili miarowo po werandzie tam i z powrotem, nie zamieniając ani słowa. Luźne deski skrzypiały rytmicznie pod ich stopami, a suchy zgrzyt drzewa rozlegał się natrętnie w nie zmaconej niczym nocnej ciszy. Gdy zawracali doszedłszy do końca werandy, młodszy oficer stanął jak wryty.

— Słyszał pan? — zapytał.

— Nie! — odrzekł starszy. — A co takiego?

— Zdawało mi się, że słychać krzyk. Bardzo słaby krzyk, coś jakby kobiece wołanie, w tamtym drugim domu. O! teraz znowu. Słyszysz pan?

— Nic a nic — odrzekł porucznik wyężywszy słuch przez chwilę. — Wy, młodzi, słyszycie wszędzie kobiece głosy. Już się panu coś marzy, niech pan lepiej idzie spać. Dobranoc!

Księżyc piął się coraz wyżej, a ciepłe cienie malały i kurczyły się, jakby spłoszone zimnym, okrutnym światłem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

— Zaszło nareszcie! — rzekła Nina do matki wskazując na wzgórza, za które stoczyło się słońce. — Posłuchaj, matko, jadę teraz do zatoki Bulangiego, a gdybym nigdy już nie wróciła...

Zamilkła nagle. Coś jakby zwątpienie zamgliło na chwilę jej oczy, przygasł gorejący w nich płomień powściąganego uniesienia, który tchnął życie w pogodną, obojętną jej twarz owego pamiętnego dnia — dnia radości i niepokoju, nadziei i zgrozy, nieuchwytnego żalu i mglistej rozkoszy. Trwała niezłomnie w powziętym zamiarze, póki jaśniał blask słońca; w jego promiennym olśnieniu poczęła się i wzrosła miłość Niny, aż owładnęła całą jej istotę. Skryte podszepty pragnień podsycaly jej niecierpliwość i tęsknotę za mrokiem, który miał położyć kres niebezpieczeństwu i walce zwiastując szczęście, zachwyty miłości, pełnię życia. Zaszło nareszcie! Krótki, podzwrotnikowy zmierzch minął, nim zdążyła z ulgą odetchnąć. Wydało jej się nagle, że ciemność roi się od groźnych głosów wzywających, aby rzuciła się bez pamięci w nieznaną, aby pozostała wierna własnym porywom i oddała się namiętności, która wybuchnęła w Dainie ogarniając ją swym płomieniem. W odosobnieniu dalekiej polanki czekał wśród głuchej ciszy lasów samotny zbieg, niepewny życia. Obojętny na czyhające niebezpieczeństwa, wyglądał jej przybycia. Po nią tylko wrócił; a teraz, gdy nadeszła dla niego chwila nagrody, Nina zapytywała siebie z trwogą, co znaczy to zwątpienie mrozące jej wole i porywy. Z wysiłkiem odtrącała lęk przed chwilową słabością. Ona go musi nagrodzić. Miłość jej i honor kobiety zwyciężą przelotny brak wiary w nieznaną przyszłość, która czeka na nią w mrokach rzeki.

— Nie, nie wrócisz nigdy — wyrzekła proroczo pani Almayer. — On bez ciebie nie odjedzie, a jeśli ty pozostał... — wyciągnęła rękę w kierunku świateł w „Szaleństwie Almayera” i urwane zdanie rozplynęło się w groźnym pomruku.

Obie kobiety spotkały się za domem i szły teraz powoli w kierunku zatoki, gdzie przywiązane były czółna. Przystanąły nagle u skraju zarośli, tknięte wspólnym odruchem. Pani Almayer położyła rękę na ramieniu córki usiłując spojrzeć na próżno w odwróconą jej twarz. Chciała coś powiedzieć, lecz słowa jej utonęły w zduszonym szlochu, który zabrzmiał dziwnie, dobyte z piersi tej kobiety. Zdawało się, że ze wszystkich ludzkich namiętności tylko gniew i nienawiść nie są jej obce.

— Odchodzisz, aby stać się wielką *rani* — rzekła wreszcie dość pewnym głosem. — Jeżeli będziesz mądra, posiadasz wielką władzę, co przetrwa długie lata i sięgnie nawet w

dni twojej starości. Czymże ja byłam? Niewolnicą. Przez całe życie gotowałam ryż dla człowieka pozbawionego męstwa i mądrości. *Hai!* Taką kobietę jak ja wódz i wojownik oddał w darze człowiekowi, który był niczym. *Hai! Hai!*

Zawodziła po cichu, oplakując stracone sposobności walk i mordów, co byłyby się stały jej udziałem w razie skojarzenia się z duchem pokrewnym. Nina schyliła się nad wątłą postacią matki i w świetle gwiazd — które wybiegły na czarne niebo i zawisły bez tchu nad tym dziwnym rozstaniem — wpatrywała się badawczo w zwiędłą jej twarz; zatopiła wzrok w zapadłych oczach, zdolnych przeniknąć mroczną przyszłość w świetle długich, bolesnych doświadczeń. Tak jak dawniej, uczuła się znów we władzy dziwnego czaru bijącego z uniesień matki i proroczej pewności jej słów. Wyroczny ton i gniewne uniesienia pani Almayer przyczyniły się niemało do opinii o czarodziejskiej władzy, z jakiej słyła w osadzie.

— Ja byłam niewolnicą, a ty będziesz królową — ciągnęła pani Almayer patrząc wprost przed siebie — lecz pamiętaj o tym, co jest siłą mężczyzny, a co jego słabością. Drzyj przed jego gniewem, aby widział w świetle dnia twoją trwogę, ale śmieję się z tego w sercu, gdyż po zachodzie słońca będzie twym niewolnikiem.

— Niewolnikiem! on, władca życia! Nie znasz go, matko.

Pani Almayer raczyła zaśmiać się pogardliwie.

— Mówisz jak głupia biała kobieta. Co ty wiesz o gniewie męskim i o męskiej miłości? Czy czuwałaś nad snem mężów strudzonych od zadawania śmierci? Czy poczułaś kiedy uścisk potężnego ramienia, co zdolne jest wrazić głęboko kris w bijące serce? *Ja!* Jesteś białą kobietą i winnaś modlić się do boga—niewiasty.

— Dlaczego mi to mówisz? Słuchałam twoich słów tak długo, że zapomniałam o dawnym życiu. Czy stałabym teraz obok ciebie gotowa na wszystko, gdybym była białą kobietą? Matko, wróć do domu i spojrzę raz jeszcze w twarz ojca.

— Nie! — rzuciła gwałtownie pani Almayer. — Nie! on śpi teraz snem dżynu; gdybyś wróciła, mógłby się ocknąć i ujrzeć cię. Nie! on ciebie już nigdy nie zobaczy. Kiedy ten groźny starzec zabrał mi cię malutką, pamiętasz...

— To było już tak dawno — szepnęła Nina.

— Ale ja pamiętam — ciągnęła dziko pani Almayer. — Pragnęłam spojrzeć na ciebie raz jeszcze. Nie pozwolił! Usłyszałam twój płacz i skoczyłam w rzekę. Byłaś wtedy Jego córką, a teraz należysz do mnie. Nie wrócisz nigdy do tego domu; nie przejdiesz już nigdy przez ten dziedziniec. Nigdy! Nigdy!

Głos jej wzmógł się prawie do krzyku. Po drugiej stronie zatoki zaszleściła wysoka

trawa, spłoszone kobiety nasłuchiwały chwilę w trwożnym milczeniu.

— Pobiegnę prędko — szepnęła Nina cicho, ale wyraźnie. Co mnie obchodzi twoja zemsta albo twoja nienawiść!

Zwróciła się ku domowi. Pani Almayer wczepiła się w nią usiłując ją zatrzymać.

— Stój! ani kroku dalej — syknęła.

Nina odepchnęła niecierpliwie matkę i uniosła suknię do szybkiego biegu, lecz pani Almayer zabiegła jej drogę i stanęła z rozpostartymi ramionami.

— Jeśli posuniesz się o krok — szepnęła gorączkowo — zacznę krzyczeć. Widzisz światła w wielkim domu? Tam siedzą dwaj biali i gniewają się, ponieważ nie mogą przelać krwi człowieka, którego kochasz. A w tych ciemnych chatkach — ciągnęła spokojniej, wskazując w stronę osady — głos mój potrafi zbudzić ludzi, którzy zaprowadzą do niego żołnierzy *orang Belanda*, do niego, który czeka na ciebie.

Nie mogła widzieć rysów córki, lecz biała postać stała przed nią w mroku, milcząca i niezdecydowana. Pani Almayer skorzystała ze swej przewagi.

— Zaniechaj dawnego życia! zapomnij — mówiła błagalnie. — Zapomnij, że spoglądałaś na białe twarze, zapomnij ich słów, zapomnij ich myśli. Słowa ich kłamią i myśli ich kłamią. Pogardzają nami, którzyśmy lepsi od nich, choć nie tak silni. Zapomnij o ich przyjaźni i wzgardzie, zapomnij o ich wielu bogach. Dziewczyno! jakże możesz wspominać przeszłość, gdy wojownik i wódz czeka na ciebie, gotów poświęcić wszystko, nawet własne swoje życie, za jeden twój uśmiech!

Mówiąc to popychała z lekka córkę ku czółnom kryjąc własną obawę, niepokój i niepewność w potoku namiętnych słów, które nie pozwoliły Ninie ani przez chwilę zebrać myśli i stawić oporu, gdyby nawet chciała to uczynić. Ale już teraz nie chciała. Na dnie przelotnej zachcianki, aby spojrzeć raz jeszcze w twarz ojca, nie było silnego przywiązania. Nie miała żadnych skrupułów i nie czuła wyrzutów sumienia opuszczając nagle człowieka, którego miłości nie potrafiła ani zrozumieć, ani nawet dostrzec. Było to tylko instynktowne lgnięcie do dawnego życia, dawnych przyzwyczajzeń, dawnych twarzy — ten lęk przed krokiem ostatecznym — lęk, co czai się w każdej ludzkiej piersi i zapobiega tylu bohaterstwem i tylu zbrodniom. Lata całe przebyła między matką a ojcem, z których jedna tak silna była w swej słabości, a drugi tak słaby, gdy mógł okazać siłę. Trwała z oniemiałym sercem między tym dwojgiem istot tak do siebie niepodobnych, tak wręcz sobie przeciwnych, rozpamiętując ze zdumieniem i gniewem fakt własnego istnienia. Ciśnięta przez los bezmyślnie i upokarzająco w sam środek dziczy, patrzyła, jak dzień za dniem mija bez żadnej nadziei, pragnienia ani też celu, który by nadał jakiś sens życiu ciężącemu jej coraz

dotkliwiej. Nie wierzyła marzeniom ojca i nie rozumiała ich wcale, ale dzikie majaczenia matki trąciły o pokrewną strunę gdzieś na dnie zrozpaczonego serca. Zapamiętywała się w rojeniach jak więzień, który rwie się do swobody wśród ścian celi. Wreszcie zjawił się Dain i ukazał jej drogę do wolności. Poddawała się nowym siłom, które nagle się w niej zrodziły, i wierzyła w pełnym zdumienia olśnieniu, że w oczach Daina wyczyta odpowiedź na dręczące ją zagadki. Posiadła tajemnicę życia — cel jego i znaczenie — i w radosnym tryumfie odrzuciła wzgardliwie całą przeszłość. Smutne myśli, gorzkie uczucia i wątle przywiązania — wszystko zwiędło i zmartwiało w zetknięciu z potęgą namiętności.

Pani Almayer odwiązała czołno Niny i, wyprostowawszy się z trudem, stała z liną w rękę patrząc na córkę.

— Prędko! — rzekła — musisz odjechać, nim księżyc wzejdzie, póki cień leży jeszcze na rzece. Lękam się niewolników Abdulli. Ci nędznicy włóczą się często po nocy, mogliby cię dostrzec i puścić się twoim śladem. Są tu dwa wiosła w łódce.

Nina podeszła do matki i musnęła niepewnie ustami jej pomarszczone czoło. Pani Almayer zachnęła się pogardliwie, protestując przeciw tej pieszczocie, ale poczuła, że tkliwość córki mogłaby się stać zaraźliwa.

— Czy cię jeszcze kiedy zobaczę, matko? — szepnęła Nina.

— Nie — odrzekła pani Almayer po krótkim milczeniu. — Na co ci wracać tutaj, gdzie przeznaczone mi jest umrzeć? Będziesz pędziła życie hen daleko, we wspaniałości i potędze. Jeśli posłyszę, że nasi wojownicy żeną z wysp białych ludzi, wówczas zrozumieć, że żyjesz i że pamiętasz moje słowa.

— Będę je zawsze pamiętała — rzekła poważnie Nina — ale powiedz, w czym leży moja potęga? co ja mogę uczynić?

— Nie pozwól mu zbyt długo spoglądać w twoje oczy ani trzymać głowy na twych kolanach; przypominaj, że mężczyzna ma walkę zapracować na wypoczynek. Gdyby się ociągał, podaj sama kris i rozkaż mu pójść, jak przystoi żonie potężnego władcy, gdy nieprzyjaciół w pobliżu. Niech zabija białych ludzi, którzy przybywają do nas i handlują z modlitwą na ustach, a nabitą strzelbą w rękę. Ach — kończyła z westchnieniem — oni są na każdym morzu i na każdym wybrzeżu i jest ich bardzo wielu!

Obróciła łódkę dziobem ku rzece, ale wciąż jeszcze trzymała rękę na krawędzi, zamyślona i niepewna. Nina oparła koniec wiosła o brzeg, gotowa do odjazdu.

— Co to jest, matko? — spytała po cichu. — Czy słyszysz coś?

— Nie — odrzekła z roztargnieniem pani Almayer i po krótkiej pauzie zaczęła znów porywco: — Słuchaj mnie, Nino, po latach będą inne kobiety...

Przerwał jej zduszony krzyk i łoskot: Nina upuściła wiosło i wyciągnęła ramiona, jak gdyby broniąc się przed jej słowami. Pani Almayer uklękła na brzegu i pochyliła się nad łódką, aby spojrzeć z bliska w twarz córki.

— Będą inne kobiety — powtórzyła nieubłaganie — mówię ci to, bo jesteś na wpół biała: możesz zapomnieć, że on jest wielkim wodzem i że tak być musi. Ukryj swój gniew i nie pokaz bółu, który będzie jadł twoje serce. Spotykaj go z weselem w oczach i mądrością na ustach, gdyż do ciebie zwróci się w smutku czy zwątpieniu. Póki wzrok jego będzie spoczywał na wielu kobietach, poty przetrwa twoja władza, ale gdyby znalazła się jedna — jedna jedyna — z którą by ciebie zapomniał, wówczas...

— Nie mogłabym żyć — wybuchnęła Nina kryjąc twarz w dłoniach. — Nie mów tego, matko, to być nie może!

— Wówczas — ciągnęła niewzruszenie pani Almayer — dla tej kobiety, Nino, bądź bez miłosierdzia.

Pchnęła lekko czołno, zwrócone dziobem do rzeki, trzymając je wciąż za krawędź obu rękami.

— Płaczesz? — spytała surowo córki, która siedziała bez ruchu z zakrytą twarzą. — Powstań i ujmij wiosło, bo czekał już dość długo. Pamiętaj, Nino, bądź bez miłosierdzia; a jeśli będziesz musiała ugodzić, niechaj ci ręka nie zdrzy.

Zebrała wszystkie siły i podawszy się naprzód pchnęła lekkie czołenko daleko na wody rzeki. Gdy przyszła do siebie po tym wysiłku, na próżno wyteżała wzrok; łódka rozplynęła się w białej mgłę rozwleczonej nad ogrzаныmi wodami Pantai. Chwilę jeszcze pozostała na kolanach, nasłuchując usilnie, wreszcie dźwignęła się z głębokim westchnieniem. Dwie łzy stoczyły się zwolna po zwiędłych jej policzkach. Otarła je szybko kosmykiem siwych włosów jakby wstydząc się samej siebie, lecz nie potrafiła stłumić głośnego westchnienia; ciężko jej było na sercu i cierpiała bardzo nie będąc zwyczajną tkliwych wzruszeń. Nagle wydało się jej, że słyszy lekki szmer, jak echo własnego westchnienia; przystanąła wyteżywszy słuch, spoglądając lęklwie w stronę pobliskich krzaków.

— Kto tam? — spytała niepewnie, a w wyobraźni ujrzała widziadła błakające się w pustce wybrzeża. — Kto tam? — powtórzyła słabym głosem.

Nie było żadnej odpowiedzi. Tylko szum rzeki snując się smutno i monotennie za białą zasłoną jak gdyby wzmógł się na chwilę i przycichł znów w miękkim szepcie wirów podmywających wybrzeże.

Pani Almayer potrząsnęła głową niby w odpowiedzi własnym myślom i oddaliła się

szybko od krzaków rozglądając się czujnie na wszystkie strony. Szła wprost do szopy kuchennej, gdyż spostrzegła, że węgle w ognisku żarzą się silniej niż zwykle; widać ktoś w ciągu wieczora dorzucił świeżego paliwa. Babalatji, przykucnięty w ciepłym blasku żaru, powstał i spotkał się z nią w mroku za szopą.

— Czy pojechała? — spytał dyplomata porywczo i niespokojnie.

— Tak — odrzekła pani Almayer. — Co robią biali? dlaczego ich opuściłeś?

— Pewno śpią teraz. Oby nie zbudzili się już więcej! — wybuchnął żarliwie. — Och, to są wcielone diabły, tyle gwałtu i gadaniny o tego trupa! Wódz ich groził mi dwa razy ręką i powiedział, że chciałby mnie widzieć przywiązanego do drzewa! Mnie! przywiązanego do drzewa! — powtarzał bijąc się gwałtownie w piersi.

Pani Almayer zaśmiała się szyderczo.

— A ty biłeś pokłony prosząc o przebaczenie. Mężowie z bronią u boku zachowywali się inaczej za czasów mej młodości.

— Ty szalona kobieto! I gdzież oni są, mężowie z czasów twojej młodości? — odparł gniewnie Babalatji. — Zabici przez Holendrów. A ja będę żył, aby wywodzić ich w pole. Mężczyzna wie dobrze, kiedy ma walczyć, a kiedy rzecz pojednawcze kłamstwo. I ty byś wiedziała, gdybyś nie była kobietą!

Lecz pani Almayer zdawała się go nie słyszeć. Wyciągnąwszy ramię nasłuchiwała pochylona.

— Tam za szopą słyhać dziwne dźwięki — szepnęła z niepokojem. — Już przedtem słyszałam jakby płacz i westchnienia. To było tam na wybrzeżu. A teraz znowu...

— Gdzie? — spytał Babalatji zmienionym głosem. — Co słyszałaś?

— Tu blisko, Tak jakby ktoś głęboko westchnął. Trzeba było spalić papier nad ciałem, zanim je pogrzebali.

— Tak — potwierdził Babalatji. — Ale biali ludzie wrzucili je zaraz do jamy. Widzisz, on zginął w rzece — dodał raźniej — a duch jego będzie się włóczył za czółnami, ale wybrzeże zostawi w spokoju.

Pani Almayer, która z wyciągniętą szyją zaglądała za węgiel szopy, cofnęła wreszcie głowę.

— Nie ma tu nikogo — rzekła uspokojona. — Czy już nie czas, aby wojenna łódź radzy ruszyła w stronę polanki?

— Zajedzie tu po mnie, bo i ja muszę popłynąć — objaśnił Babalatji. — Pojadę chyba zobaczyć, czemu się spóźniają. Kiedy do nas przybędziesz? Radza ci daje schronienie.

— Przeprowadzę się przed świtem. Nie mogę tu zostawić moich dolarów — mruknęła

pani Almayer.

Rozeszli się. Babalati minął podwórze kierując się ku zatoce, gdzie było przywiązane jego czółno, a pani Almayer ruszyła zwolna ku domowi. Wspięła się po kładce, minęła tylną werandę i weszła na korytarz wiodący do frontu. We drzwiach obejrzała się jeszcze, ogarniając wzrokiem puste, ciche podwórze, już oświetlone promieniami wschodzącego miesiąca. Ledwie znikła w korytarzu, niewyraźny cień mignął między pniami drzew bananowych, przeszył jak strzała przestrzeń zalaną księżycem i zapadł w mrok u stóp werandy. Tak błyskawicznie i cicho przemknęło to zjawisko, że mogło wydać się cieniem pędzącej chmury, gdyby nie ślad pozostały na trawach. Pierzaste kity słaśniały się i drżały długi czas jeszcze w księżycowej poświacie, zanim stanęły nieruchomo, błyszcząc na ciemnym tle jak misterny haft ze srebrnych gałązek.

Pani Almayer zapaliła kaganek z kokosowej łupiny; odsunawszy ostrożnie czerwoną firankę spojrzała na męża osłaniając światło dłonią. Almayer leżał rozwalony w fotelu; lewe jego ramię zwisło ku ziemi, a drugie przerzucone było przez twarz; wyglądało to, jakby chciał odeprzeć cios niewidzialnego napastnika. Nogi wyciągnął przed siebie i spał ciężkim snem, nieświadom wrogich oczu, które przyglądały mu się badawczo i pogardliwie. U jego stóp leżał zwalony stół wśród szczątków zastawy i potłuczonych butelek. Weranda wyglądała jak pobojuwisko, gdzie stoczono rozpaczliwą walkę; krzesła, poroztrącane gwałtownie na wszystkie strony, leżały w żalonych, pijackich pozach pełnych bezsilności. Tylko wielki fotel Niny sterczał nieruchomo na wysokich biegunach, górując z niezachwianą godnością nad chaosem zgniebionych mebli; czekał cierpliwie na swoją panią.

Pani Almayer rzuciła jeszcze na męża pogardliwe spojrzenie i puściwszy firankę, skierowała się do swego pokoju. Para nietoperzy ośmielonych mrokiem i ciszą jęła znów pląsać w ukośnych zygzakach nad głową Almayera. Długi czas nic nie mąciło skupionej ciszy domu prócz głębokiego oddechu śpiącego mężczyzny i słabego dźwięku srebra w rękach kobiety przygotowującej się do ucieczki. Księżyc wzniósł się tymczasem ponad nocną mgłę, wydobył z mroku sprzęty na werandzie, zalał ją światłem i rozrzucił czarne bryzgi cienia uwydatniając brzydotę i nieporządek porzucanych mebli. Na brudnej bielonej ścianie za śpiącym Almayerem zbawiła się jego karykatura, wyolbrzymiona do bohaterskich rozmiarów o groteskowo przesadzonych szczegółach. Spłoszone światłem nietoperze odfrunęły poszukując ciemniejszego zakątka, a na stół wylazła jaszczurka o krótkich, nerwowych ruchach; snadź podobał jej się biały obrus, bo przystanęła na nim i znieruchomiła. Mogło się zdawać, że tknęła ją nagła śmierć, gdyby nie melodyjny zew, którym wabiła mniej odważnego towarzysza, skrytego gdzieś między rupieciami na podwórzu. Zatrzeszczała

podłoga w korytarzu, jaszczurka znikła, a Almayer poruszył się niespokojnie i westchnął. Z nicości i zraty pijackiego snu wracał powoli do świadomości przez krainę widzeń. Przerzucał głowę z ramienia na ramię w sennym otumanieniu. Niebieskie sklepienie spadło mu na barki jak ciężki płaszcz; gwiazdne fałdy wloką się gdzieś głęboko, hen w dole. Gwiazdy w górze i wszędzie wokoło; z gwiazdnej przepaści wznosi się szept nabrzmiały błaganiem i łzami; smutne twarze snują się wśród rojów światła migocących w nieskończonym przestworze. Natrętne, żalosne krzyki uderzają o jego uszy, smutne oczy patrzą ku niemu z twarzy cisnących się wokoło — aż tchu mu brak pod miażdżącym brzemieniem światów rzuconych na omdlałe barki. Uciec! ale jak? Jeśli posunie się o krok, stąpnie w próżnię i z przeraźliwym łoskotem zwał się razem w otchłań — i on, i wszechświat, którego jest jedyną podporą. Czego chcą te głosy? Żądają, aby ruszył naprzód. Dlaczego? Ruch to zagłada! Ani mu to w głowie. Oburzył go ten szalony pomysł. Rozparł się mocniej na nogach i wyteżył mięśnie w bohaterskim postanowieniu: będzie dźwigał swoje brzemie przez całą wieczność! Mijały tysiąclecia, a on trwał w nadludzkim trudzie wśród wirujących światów. Żalosny szept smutnych głosów snuł się ciągle i naglił do czynu, póki nie jest jeszcze za późno. Tajemnicza moc, która zwała na niego nadludzkie zadanie, postanowiła wreszcie jego zgubę. Uczuł ze zgrozą ciężar żelaznej dłoni wstrząsającej jego ramieniem, a jednocześnie chór głosów wybuchł rozpaczliwą modlitwą błagając, aby nie zwlekał, aż będzie za późno. Wydało mu się, że coś pęta mu nogi; stracił równowagę, poślizgnął się i padł z krzykiem w otchłań. Pierzchnęła z mora walących się światów. Leżał w półśnie, nie wyzwolony jeszcze spod władzy sennego czaru.

— Co? co? — szepnął ospale nie otwierając oczu. Głowa ciążyła mu bardzo i nie miał odwagi rozewrzeć powiek. Do uszu cisnęły się wciąż błagalne szepty. — Czy ja śpię? dlaczego słyszę te głosy? — Usiłował zrozumieć, co się z nim dzieje. — Nie mogę się jeszcze pozbyć tej okropnej zmy. Bardzo byłem pijany. Kto to mną potrząsa? Jeszcze mi się coś śni. — Muszę otworzyć oczy i raz z tym skończyć. Widać nie jestem jeszcze zupełnie obudzony.

Pokonał z wysiłkiem odrętwienie i rozwarł powieki. Ujrzał tuż przy twarzy wytrzeszczone, błyszczące źrenice. Zamknął prędko oczy, osłupiały i przerażony, i siadł w fotelu, trzęsąc się ze zgrozy. Co to za stwór? Z pewnością jakieś przywidzenie. Nic dziwnego: nerwy jego przeszły taki straszny wstrząs, a w dodatku dużo wypił. Niechby się tylko zdobył na odwagę i otworzył oczy — na pewno nic już nie zobaczy. Zaraz spojrzy. Tylko przedtem trzeba się uspokoić. O tak. — Już!

Spojrzął. W oddalonym kącie werandy stała kobieca postać oblana stalowym światłem

i błagalnie wyciągała ku niemu ramiona. Między upartą zjawą a Almayerem szemrał potok słów; do uszu jego dobijały się dręczące go zdania, lecz mimo największych wysiłków nie mógł nic zrozumieć. Ktoś mówi po malajsku... Kto uciekł? Dlaczego już za późno? Co znaczą te słowa nienawiści i miłości tak dziwnie poplątane? te imiona, co uderzają wciąż o jego uszy: Nina, Dain; Dain, Nina. Dain nie żyje, a Nina śpi nie przeczuwając, że z ojcem jej dzieje się coś strasznego. Czy ta męka ma trwać wiecznie? i we śnie, i na jawie? Czy nie ma dla niego spokoju ani we dnie, ani w nocy? Co to ma wszystko znaczyć?

Krzyknął głośno ostatnie słowa. Ciemna postać wzdrygnęła się z piskiem i posunęła ku drzwiom. Almayer, doprowadzony do ostateczności niepojętą męką, rzucił się ku niej, lecz wymknęła mu się; uderzył ciężko o ścianę. Odwrócił się błyskawicznie i rozpoczął dziki pościg. Tajemnicza postać uciekała wydając przenikliwe krzyki, które podsycaly coraz bardziej jego wściekłość. Sadył przez meble, biegał wokoło przewróconego stołu i wpędził ją nareszcie w kąt za fotelem Niny. Rzucali się to na prawo, to na lewo, krzesło kołysało się jak szalone, zjawą odpowiadała przenikliwym piskiem na każdy podstępny ruch Almayera, który ciskał urywane przekleństwa przez zaciśnięte zęby. Cóż to za piekielny wrzask! W mózg się wwierca i wtłacza oddech w gardło. Zabije go ten wrzask. Trzeba go zdusić! Porwała go obłąkana żądza, aby zmiażdżyć ten wrzeszczący stwór. Rzucił się na oślep przez fotel i oboje potoczyli się w tumanie kurzu wśród potrzaskanych szczątków mebla. Ostatni pisk zamarł pod Almayerem w słabym bełkocie; zdobył wreszcie upragnioną ulgę głuchej ciszy.

Spojrzał na twarz zjawy. To kobieta — prawdziwa kobieta. Jakies znajome rysy — na Boga, to Tarnina! Skoczył na równe nogi i stał w oszołomieniu, obcierając czoło, zawstydzony swoją wściekłością. Dziewczyna zwlekła się na kolana i objęła mu nogi zebrząc o miłosierdzie.

— Nie bój się — rzekł podnosząc ją. — Nic ci się nie stanie. Dlaczego przychodzisz tu po nocy? A jeśli masz coś ważnego, czemu nie wejdiesz tam za firankę, gdzie śpią kobiety?

— Miejsce za firanką jest puste — wykrztusiła Tamina, chwytając oddech między poszczególnymi słowami. — Nie ma już kobiet w twoim domu, tuanie. Widziałam, jak stara mem odeszła, zanim zaczęłam cię budzić. Nie chcę mówić z twoimi kobietami, chcę mówić z tobą.

— Stara mem! — powtórzył Almayer. — To znaczy się moja żona?

Skinęła głową w odpowiedzi.

— Ale mojej córki się nie boisz?

— Czy nie słyszałeś, tuanie? — wykrzyknęła. — Mówiłam do ciebie długi czas, gdyś

leżał z zamkniętymi oczami. Ona także odeszła!

— Przecież wiesz, że spałem. Czy nie umiesz poznać, kiedy człowiek śpi, a kiedy czuwa?

— Niekiedy — szepnęła Tarnina — niekiedy duch trzyma się blisko ciała uspiętego człowieka i słyszy, co się mówi. Mówiłam długo, zanim ciebie dotknęłam, i mówiłam bardzo cicho, żeby nie przerazić ducha; nagły hałas mógłby go spłoszyć i pozostałbyś śpiącym na wieki. Dotknęłam twojego ramienia dopiero, gdy zacząłeś mruzczyć słowa, których nie mogłam zrozumieć. Więc nic nie słyszałeś i nic nie wiesz?

— Nie mam pojęcia, o co chodzi. Powtórz, to będę wiedział.

Wziął ją za ramię i pociągnął ku balustradzie w światło księżyca. Nie stawiała oporu, tylko załamała ręce z wyrazem takiej rozpacz, że ogarnął go niepokój.

— Mówże! Narobiłaś hałasu, że umarli mogliby się zbudzić. A jednak nikt żywy się nie zjawił — szepnął po chwili niespokojnie. — No! Zaniemówiłaś? Odezwijże się nareszcie!

Chwilę jeszcze pasowała się z sobą, wreszcie potok słów wydarł się z drżących jej ust; opowiedziała wszystko o miłości Niny i o swojej zazdrości. Na próżno spoglądał groźnie w jej twarz nakazując milczenie; nie był w stanie powstrzymać dźwięków, które buchnęły z ust Tarniny jak wrzący potok i objęły palącym wirem jego stopy. Rozpętane fale pną się coraz wyżej; już dotykają serca, już wdzierają się do ust jak roztopiony ołów: kłęby pary pochłaniają wszystko naokół. Wreszcie kipiąca toń zwiera się nad jego głową przynosząc bezlitosną zagładę. Gdy Tarnina mówiła o zmyślonej śmierci Daina i podstępie, którego ofiarą padł Almayer ledwie wczoraj, spojrział na nią tak dziko, że słowa uwięzły jej na chwilę w gardle — lecz wnet się odwrócił i z twarzy jego znikł wszelki wyraz. Patrzył kamiennym wzrokiem gdzieś w dal ponad rzekę. Ach, ta rzeka! Dawny jego przyjaciel i dawny wróg. Przemawia wiecznie tym samym głosem, szemrząc nieustannie; rok za rokiem niesie powodzenia i zawody, szczęście i zgryzotę — a powierzchnia jej zawsze jednaka, choć tak rozmaita, pełna połyskliwych prądów i kotłujących się wirów. Przez długie lata słuchał jej beznamietnego, kojącego szeptu, który brzmiał chwilami jak śpiew nadziei, to znów jak hejnał tryumfu lub otuchy. Najczęściej jednak niosła mu ukojenie szemrząc o lepszych dniach, które nadejdą niebawem. Tyle lat! tyle lat!... A teraz szmer tych samych fał wtóruje mozolnym i bolesnym uderzeniom jego serca. Przysłuchuje się uważnie i dziwi ich miarowości, Zaczyna machinalnie liczyć: raz, dwa... Po co liczyć? Przy najbliższym uderzeniu serce musi się zatrzymać. Żadne serce nie jest w stanie tyle wycierpieć i bić tak spokojnie. Zmilkną miarowe uderzenia, co tętnią w jego uszach jak głuche ciosy młota. A jednak bije wciąż jeszcze, nie ustające i okrutne. Nikt by tego znieść nie mógł. — Czy to

ostatnie uderzenie? A może następne będzie ostatnie? Jak długo jeszcze to potrwa, o Boże, jak długo?

Ręka Almayera wpierała się nieświadomie w ramię Tarniny z coraz większą siłą. Znalazła się wreszcie u jego nóg i kończyła opowiadanie ze łzami bólu, wstydu i gniewu. Czyżby zemsta jej miała pójść na marne? Ten biały człowiek nieczuły jest jak kamień. Za późno! za późno!

— Widziałas, jak odchodziła? — zabrzmiał nad Tarniną ochryply głos Almayera.

— Czyż ci nie mówiłam, tuanie! — łkała starając się wywinąć nieznacznie z jego garści. — Przecież widziałam na własne oczy, jak czarownica zepchnęła czołno! Przyczałam się w trawie i słyszałam każde słowo. Ta, którą zwaliśmy białą mem, chciała wrócić się i spojrzeć ci w twarz, ale czarownica zabroniła jej, a ona...

Pod naciskiem ciężkiej dłoni Tarnina zrobiła pół obrotu i zgięła się jeszcze niżej, lecz podniosła głowę patrząc mściwie na Almayera.

— A ona usłuchała! — wybuchnęła konwulsyjnie, płacząc i śmiejąc się z bólu. — Puść mnie, tuanie! Dlaczego się na mnie gniewasz? Spiesz się! Wkrótce już będzie za późno i nie pokażesz swego gniewu kobiecie, która cię oszukała.

Almayer poderwał z ziemi Tarninę i spojrzął jej z bliska w oczy, choć wyrwała mu się odwracając twarz przed wściekłym jego wzrokiem.

— Kto ciebie wysłał? Po co mnie dręczysz? — wybuchnął. — Nie wierzę ci. Kłamiesz.

Wyprężył nagle ramię i cisnął ją przez werandę ku drzwiom, gdzie padła i znieruchomiała. Zdało się, że wydarte jej życie zostało w dłoni Almayera, a u drzwi leży tylko nieruchomy, ciemny kłęb gałganów.

— Nino! — szepnął Almayer z tkliwym wyrzutem, pełnym bólu i miłości — Nino! Ja nie wierzę!

Lekki powiew od rzeki przeciągnął falą po trawie podwórza, wbiegł na werandę i musnął chłodnym oddechem czoło Almayera niby pieszczota pełna niezmiernej litości. Zasłona w drzwiach wydeła się i opadła natychmiast z niepokojącą bezsilnością. Spojrzął na trzepocącą się tkaninę.

— Nino! — krzyknął. — Nino, gdzie jesteś?

Wiatr przewiał przez pusty dom z żalonym westchnieniem i wszystko znów ucichło.

Almayer ukrył twarz w dłoniach jak przed ohydny jakimś widokiem. Nagle usłyszał lekki szelest i odsłonił oczy: ciemny kłęb gałganów znikł z werandy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na czworokątnej polance zalanej księżycem połyskiwał gładki, zwarty łań młodych pędów ryżu. W pośrodku sterczał na wysokich palach niewielki szałas; stos chrustu leżał tuż obok. Przy żarzącym się ognisku spoczywał człowiek. Zdawał się niezmiernie drobny i jakby zgubiony w bladozielonej poświacie odbitej od ziemi. Zwodne światło miesiąca odsunęło w dal potężne drzewa obejmujące z trzech stron polankę; spętane jakby licznymi więzami przez masę poplątanych lian, olbrzymy spoglądały z mroczną rezygnacją na kiełkujące u swych stóp młode życie — snadź utraciły wiarę we własną potęgę. Bezlitosne pnącza Ignęły do mocarnych pni w zwojach i skrętach jak liny okrętowe, skakały z drzewa na drzewo, zwieszały się z konarów ciernistymi festonami i słały śmigłe pędy hen, w górę, w pościgu za najdrobniejszą gałązką, niosąc śmierć swym ofiarom w tryumfalnym porywie milczącej zagłady.

Od strony Pantai, wzdłuż wygięcia brzegu — skąd był jedyny dostęp do polanki — czernił się gąszcz młodych drzew, zarośli i leśnego podszycia, przeciętego szparą wyrąbaną w zwartej ścianie. Biegła stąd ścieżynka do szałasu z trzciny, gdzie się chronili nocą ludzie strzegący dojrzałego plonu przed dzikami. Dróżka kończyła się u stóp pali, na których stała budka wśród niewielkiego kręgu pokrytego popiołem i szczątkami zwęglonego drzewa. Dain leżał tutaj przy mdłym ogniu.

Przewróciwszy się na bok z niecierpliwym westchnieniem ułożył głowę na zgiętym ramieniu i legł spokojnie z twarzą zwróconą ku gasnącemu ognisku. Żar mienił się czerwono, zapalając błyski w szeroko rozwartych oczach Daina. [Za każdym głębszym jego oddechem wlatywał z przygasłych węgli biały, delikatny popiół, wzbijał się nikłą chmurką sprzed rozchylonych warg i płynął od ciepłego żaru w światło księżyca zatapiające polankę.] Ciało Daina zmęczone było wysiłkami ostatnich dni, a dusza wyczerpana do cna natężeniem, z jakim czekał samotnie na wyrok losu. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezsilny. Słyszał wystrzał armatni na pokładzie fregaty; wiedział, że jego życie spoczywa w rękach ludzi nie zasługujących na zaufanie i że nieprzyjaciel jest bardzo blisko.

Podczas długich godzin popołudnia wałęsał się na skraju lasu albo zaszyty w zarośla obiegał niespokojnym wzrokiem zatokę wypatrując, skąd grozi niebezpieczeństwo. Nie lękał się śmierci, lecz pragnął gorąco żyć, bo życiem jego była Nina. Obiecała, że pójdzie za nim, że podzieli jego dobrą i złą dolę — niebezpieczeństwa i chwałę. Gdy będzie ją miał u boku, pokona z łatwością niebezpieczeństwa; bez niej — nie ma dla niego w życiu nic wspaniałego

ani radosnego. Kulił się w cienistej kryjówce i zamykał oczy usiłując wywołać wdzięczny i czarowny obraz białej postaci, w której zamknął całe swoje życie. Zaciskał powieki i zęby w namiętym pragnieniu, aby przedłużyć wizję — źródło najwyższej rozkoszy. Na próżno! Postać Niny rozpływała się ustępując innemu zjawisku. Oto widzi zbrojnych ludzi, gniewne twarze, połyskującą broń, słyszy — zda się — gwar podnieconych i tryumfujących głosów: odkryto jego schronienie! Przerażony wyrazistością widzenia, otwierał oczy, wyskakiwał w blask słońca i snuł się znów bez celu wokół polanki. Wędrując krajem lasu spoglądał niekiedy w mroczną jego głąb, tak nęcącą zwodnym pozorem chłodu, tak odpychającą nieprzeniknionym mrokiem. Spoczywały tam niezliczone pokolenia próchniejących drzew, a nad nimi stali ich potomkowie przyodziani w ciemną szatę liści — niby w żałobę — bezsilne olbrzymy czekające swej kolei. Tylko pasożyty kipiały życiem. Pięły się krętym ruchem ku słońcu i powietrzu, zerowały jednak na martwych i na konających, wieńcząc swe ofiary różowością i błękitem jaskrawych kwiatów, które lśniły między gałęzmi rażące i okrutne, niby ostre, szyderczy rozdzwięk w uroczystym hymnie skazanych drzew.

„Można by tu się ukryć — pomyślał Dain, spostrzegłszy rodzaj arkady wyciętej w pnączach — pewno tam jest ścieżka.” Schylił się, aby zajrzeć w głąb; usłyszał gniewne pochrząkiwanie i stado dzików uciekło z łoskotem poprzez gąszcza poszycia. Cierpka woń wilgotnej ziemi i gnijących liści chwyciła go za gardło; cofnął się z przerażoną twarzą jak przed tchnieniem śmierci. Wydało mu się, że nawet powietrze martwe jest tam w głębi, ciężkie i stojące — zatrute rozkładem panoszącym się od wieków. Ruszył znów chwiejnie przed siebie, gnany nerwowym niepokojem, który go męczył, lecz nie dopuszczał nawet myśli o spoczynku. Przecież nie jest dzikiem! Nie chce kryć się po lasach i być zabity w mroku, nie mogąc nawet pełną piersią odetchnąć. Będzie oczekiwał na wroga w blasku słońca, w powiewie wiatru, pod błękitem niebios Wiedział, jak przystoi umierać malajskiemu wodzowi. Rozgorzała w nim posepna, rozpaczliwa wściekłość, dziedzictwo jego rasy. Wlepił dziki wzrok w szparę wyciętą w gąszczu nad brzegiem rzeki: tam się pojawią wrogowie. Widzi już brodate twarze, białe kurtki oficerów, błyski na poziomych lufach strzelb. I czymże jest męstwo największego wodza wobec ognistej broni w ręku niewolnika? Podejdzie do nich z uśmiechniętą twarzą i wyciągnie ręce na znak poddania. Mówiąc przyjazne słowa znajdzie się wreszcie tak blisko, że wrogom dość będzie wyciągnąć ręce, aby go wziąć w niewolę.

Wówczas skoczy między nich z bojowym okrzykiem na ustach i krisem w garści; zadając śmiertelne ciosy ujrzy tryskającą ciepłą krew nieprzyjaciół i skona z uszami pełnymi wrzasku wrogów.

Porwało go uniesienie. Chwycił za kris; odetchnąwszy głęboko, rzucił się naprzód —

przeciał puste powietrze i padł na twarz. Nagła niemoc ogarnęła go po napadzie szaleństwa; leżał jak ogłuszony i czuł, że jeśli ma umrzeć z chwałą, musi się to stać, zanim ujrzy Ninę. Tak będzie lepiej. Gdyby ją zobaczył raz jeszcze, śmierć stałaby się zbyt okropna. Potomek radzów i zdobywców uczył ze zgrozą, że zaczyna wątpić o własnym męstwie. Porwały go dręczące wyrzuty sumienia, ale nie zgłuszyły żądzy życia. Leżał nie śmiejąc uczynić najbliższego ruchu. Przepadła jego wiara w siebie; a nie miał już w sobie nic innego, co by go natchnęło męstwem. Pozostało tylko cierpienie — albowiem powiedziane jest, że ciało ludzkie będzie pastwą męki aż do ostatniego tchnienia. I lęk pozostał. Dain spojrzał w głąbie swej przepastnej miłości, odczuł całą jej moc i słabość — i ogarnęła go trwoga.

Słońce zniżało się powoli. Cień lasu po stronie zachodniej wstąpił na polankę, rzucił swój chłodny płaszcz na spiekle barki mężczyzny i pośpieszył zlać się z cieniami innych lasów po wschodniej stronie. Słońce przystało na chwilę wśród delikatnej koronki gałęzi; zdało się, że z przyjaźni tak się ociąga, że nie chce opuścić postaci leżącej wśród zielonego łąnu ryżu. Orzeźwiony chłodnym, wieczornym powiewem, Dain usiadł wreszcie! rozejrzał się dokoła. W tej chwili właśnie słońce skryło się za lasem — jakby wstydząc się swoich życzliwych uczuć — a pełna blasku polanka zapadła nagle w mrok; tylko ognisko jarzyło się jak świetlista źrenica. Dain zszedł powoli do zatoki, odrzucił swój poszarpany sarong i zanurzył się ostrożnie w wodę. Przez cały dzień nie miał nic w ustach i nie śmiał pokazać się na wybrzeżu, aby ugasić pragnienie. Za to teraz, płynąc cicho i ostrożnie, połknął kilka łyków wody muskającej mu usta i uczył się pokrzepiony. Wrócił do ogniska z nowym przypływem wiary w siebie i innych. Przyszło mu na myśl, że gdyby Lakamba go zdradził, byłoby już teraz po wszystkim. Rozpalił wielki ogień, osuszył się w jego ciepłe i legł znów obok żaru. Nie mógł spać mimo niezmiernego znużenia. Niepokój go opuścił; dobrze mu było tak cicho leżeć. Mierzył upływający czas śledząc gwiazdy, które wschodziły nad lasem w nieskończonym korowodzie. Niekiedy blask ich silniej się rozżarzał, niby rozdmuchany przez powiewy ciepłego wiatru pod bezchmurnym niebem. Dain pograżył się w marzeniach. Poty powtarzał sobie, że Nina zjawi się przy nim, aż pewność ukołysała jego serce i napełniła go wielkim spokojem. Tak! jutro o świcie ogarnie ich oboje nieobjęty błękit morza, które jest jak życie; ziejące śmiercią lasy zostaną hen za nimi. Z tkliwym uśmiechem wyszeptał jej imię w cichą przestrzeń. Pryszał czar milczenia; daleko, gdzieś nad zatoką, żaba zakumkała głośno w odpowiedzi. Chór głośnych rechotów i żalostnego kumkania wzniósł się nad błotnistym wybrzeżem wzdłuż zarośli. Roześmiał się wesoło: był to bez wątpienia ich śpiew miłości. Ogarnęła go serdeczna życzliwość dla żab; słuchał ich pieśni i radował się głośnymi objawami życia w pobliżu niego.

Gdy księżyc wyjrzał zza drzew, niepokój i podniecenie ogarnęły znów Daina. Czemu jej jeszcze nie ma? Prawda, że długą ma drogę przed sobą i musi przebyć ją o jednym tylko wiosle. Jak zręcznie umieją te drobne ręce władać ciężkim wiosłem, jak wytrwale! To wprost zdumiewające. Takie małe rączki — mięciutkie dłonie, co potrafią dotknąć jego policzka muśnięciem lżejszym od powiewu motyli skrzydeł! Cudowne! Zatopił się w rozpamiętywaniu tej wielkiej tajemnicy, a gdy znów spojrzął w górę, księżyc wznosił się już o szerokość dłoni nad drzewami. Czy Nina przyjedzie? Zmusił się do spokojnego leżenia, choć ciągnęło go, aby wstać i znów pognać dokoła polanki. Przewracał się z boku na bok, wreszcie wyciągnął się na wznak drząc z wysiłku i ujrzał między gwiazdami jej twarz spoglądającą ku niemu.

Rechot żab nagle ustał. Dain siadł i z czujnością tropionego człowieka jał niespokojnie nasłuchiwać. Doszedł go plusk żab skaczących w wodę. Musiało je coś wystraszyć; zerwał się rozglądając się podejrzliwie i uważnie. Rozległ się lekki zgrzyt, a potem suchy odgłos, jak gdyby dwa kawałki drzewa uderzyły o siebie. Widocznie ktoś wylądował! Dain nabrał w garść chrustu i trzymał nad ogniskiem, nie odwracając oczu od ścieżki. Czekał w niepewności; zamajaczyło coś wśród zarośli, później biała postać wyłoniła się z cienia i zdawała się płynąć ku niemu w bladym świetle. Serce skoczyło mu w piersi i zastygło na chwilę, a potem jęło miotać się w szalonych rzutach. Upuścił chrust na żarzące się węgle. Miał wrażenie, że krzyczy jej imię, że rzuca się ku niej — lecz nie wyrzekł ani słowa i nie poruszył się wcale. Stał jak posąg z brązu, milczący i nieruchomy w świetle księżyca spływającym mu na barki, tylko usta jego chwytały gorączkowo powietrze: zdawało się, że intensywność doznawanego szczęścia pozbawiła go zmysłów. Nina zbliżyła się szybkimi, stanowczymi krokami i nagłym ruchem rzuciła mu się na szyję jakby padając prosto w jego ramiona z jakiejś niebezpiecznej wyżyny. Niebieskie błyski rozpełzły się po suchych gałęziach; trzask odżywającego ognia był jedynym dźwiękiem wśród skupionej ciszy ich spotkania. Wtem płomień ogarnął suchy chrust i strzelił na wysokość ich głów; w blasku tym ujrzeli nawzajem swoje oczy.

Milczeli oboje. Dain przychodził zwolna do siebie. Lekki dreszcz przebiegł od stóp do głów jego zdrętwiałe ciało i zatrzymał się na drżących wargach. Nina odchyliła głowę topiąc w jego oczach owo przeciągłe spojrzenie, które stanowi najgroźniejszą broń kobiety. Bardziej jest przejmujące od najbliższego zetknięcia, a niebezpieczniejsze niż pchnięcie sztyletem. Wywleka duszę z ciała pozostawiając ciało żywe, choć bezsilne, i rzuca je na pastwę kapryśnych wybuchów namiętności i żądz. Takie spojrzenie pochłania całe jestestwo i przenika w najtajniejsze zakątki istoty; w nieprzytomnym porywie odniesionego zwycięstwa

przynosi druzgocącą klęskę. Jednakże ma znaczenie dla syna lasów i mórz i dla tego, który się zapuszcza w bezdroża niebezpieczniejsze po stokroć — w labirynt miasta. Mężczyzna, który uczył w piersi nadludzki zachwyty zbudzony tym spojrzeniem, staje się igraszką chwili bieżącej, co niesie mu rajska szczęśliwość, zapomina o dniu wczorajszym, nabrzmiałym cierpieniem, i nie dba o jutro, skąd może grozić zagłada: pragnie żyć na wieki we władzy tego wzroku. Jest to spojrzenie kobiety, która poddaje się miłości. Zrozumiał. Przysty niewidzialne więzy: padł do jej stóp z krzykiem szczęścia. Objął jej kolana i ukrył głowę w fałdach sukni, szepcząc bezładne słowa wdzięczności i uwielbienia. Nigdy jeszcze nie uczył takiego porwy dumy jak u stóp tej kobiety, złączone] połowicznie węzłami krwi z jego wrogami. Nina stała głęboko zamyślona, a palce jej błądziły po włosach Daina w nieświadomej pieszczocie. Stało się. Matka jej miała słusność. Ten człowiek jest jej niewolnikiem. Spojrzała na klęczącą postać i uczyła niezmierną, tkliwą litość dla tego męża, którego nawet w myślach zwała władcą życia. Podniosła głowę i patrzyła smutno na południowe niebo rozpięte nad ścieżką ich wspólnego życia — jej i tego człowieka u jej stóp. Czyż nie powiedział, że ona jest jego światłem? Będzie jego światłem i jego wiedzą, jego wielkością i jego siłą; a nade wszystko — w tajemnicy przed całym światem — stanie się na zawsze jedyną, stałą jego słabością. Prawdziwa kobieta! We wzniosłej dumie niewieściej pragnęła już stworzyć bóstwo z gliny rzuconej do swych stóp. Bóstwo, któremu wszyscy się pokłonią. Słodko jej było widzieć go u swych kolan i czuć, jak drży przy najsłabszym dotknięciu lekkich palców. Oczy jej patrzyły wciąż w południowe gwiazdy, a na stanowcze usta spłynął odblask nikłego uśmiechu. Któż by go zgłębił w niepewnym świetle ogniska? Mógł to być uśmiech tryumfu albo świadomej siebie potęgi, albo tkliwego współczucia — a może i miłości.

Przemówiła do niego łagodnie; wstał i otoczył ją ramieniem, ruchem władcy bielącego swój skarb w posiadanie. Złożyła głowę na jego piersi czując, że, chroniona jego ramieniem, mogłaby rzucić wyzwanie całemu światu. Dain należał do niej ze wszystkim, co było w nim dobrego i złego. Jego siła i odwaga, zuchwałość i lekkomyślność, jego prosta mądrość i dzika przebiegłość — wszystko było jej własnością. Minęli czerwony krąg ognia wstępując w srebrny deszcz księżycowych promieni. Gdy schylił ku niej głowę, ujrzała w jego oczach upojenie szczęsne bez miary od zetknięcia z wiotką postacią przytuloną do jego boku. Kołysząc się giętko i rytmicznie szli przez oświetloną polankę ku mrocznej ścianie lasu, który zdawał się strzec ich szczęścia, uroczysty i nieruchomy. Postacie ich rozplynęły się w grze światła i cleni u stóp wielkich drzew; szepty tkliwych słów unosił się jeszcze nad pustą polanką, lecz przycichł i ustał niebawem. Westchnienie pełne niezmiernego smutku przewiało nad lasami w ostatnim wysiłku mrącego powiewu. Zapadła głucha cisza. Ziemia i niebo

uciszyły się nagle w ponurej zadumie nad ludzką miłością i ludzkim zaślepieniem.

Wrócili do ogniska wolnym krokiem. Dain usłał dla Niny siedzenie z suchych gałęzi i rzucił się do jej stóp; złożony głowę na jej kolanach oddał się całej rozkoszy mijających chwil. Głosy obojga wznosiły się i opadały tchnąc ożywieniem lub tkliwością. Mówili o swej miłości i o wspólnym przyszłym życiu. Nina wtrącała niekiedy kilka zręcznych słów, które kierowały myślami Daina, a z jego ust płynęły potokiem wyrazy namiętne lub tkliwe, poważne lub groźne, zależnie od wywołanego przez nią nastroju. Mówił o swej rodzinnej wyspie, gdzie nieznane są ponure lasy i błotniste wybrzeża. Opowiadał o polach spadających tarasami, o szemrzących, jasnych strumykach, które błyszczą na zboczach wielkich gór i niosą krainie życie, a radość mieszkańcom. I mówił także o samotnym szczycie górującym nad pierścieniem z drzew, szczycie, co zna tajniki przelotnych chmur i jest siedliskiem tajemniczego ducha jego rasy — geniusza i opiekuna rodu. Mówił o przestrzennych widnokęgach, kędy szaleją dzikie wichry wyjąc wysoko nad szczytami ognistych gór. Opowiadał o swoich przodkach, którzy zdobyli przed wiekami wyspę, przyszłe jego dziedzictwo. A gdy Nina pochyliła się nad nim, zasłuchana, musnął ręką bogate zwoje jej włosów i zapragnął nagle mówić o morzu, co tak mu jest drogie; o nie milkącym nigdy jego głosie, w który wsłuchiwał się od dziecka, pragnąc przeniknąć tajne jego znaczenie, nie zgłębione dotąd przez żadnego człowieka; o czarownym jego lśnieniu; o napadach bezrozumnej, kapryśnej wściekłości; o wieczystości zmiennej powierzchni, co nęci zawsze jednakowo — i o zawsze tych samych przepastnych głębiach, zimnych i okrutnych, pełnych mądrości zniweczonych istnień. Opowiadał, jak morze rzuca na ludzi czar na całe życie i przykuwa ich do siebie, a potem pochłania wiernych niewolników bez względu na ich oddanie, gniewne, że boją się jego tajemnicy, której nie zdradzi nigdy przed nikim, nawet przed tymi, co je najbardziej ukochali. W miarę jak mówił, Nina spuszczała głowę coraz niżej, aż dotknęła prawie twarzą jego twarzy. Włosy jej przesłoniły mu oczy, oddech muskał skronie, a ramiona oplótły ciało. Mimo tak ścisłego zespolenia odgadła raczej, niż usłyszała, ostatnie jego słowa, co po krótkiej pauzie spłynęły cichutkim szeptem i rozwiały się w głębokim milczeniu:

Widzisz, Nino, morze podobne jest sercu kobiety. Nagły pocałunek zamknął mu wargi. Odrzekła spokojnie:

— Władco mojego życia! Morze dochowuje wierności tym, co nie znają trwogi.

Przędza włóknistych chmur rozsnuła się nad nimi niby olbrzymia pajęczyna rozpięta pod gwiazdami. Niebo omroczyło się zapowiedzią nadciągającej burzy. Z niewidzialnych pagórków stoczył się pierwszy, oddalony łoskot grzmotu i tłukł się między pasmami wzgórz,

aż zapadł wreszcie w lasy nad rzeką. Podnieśli się oboje; Dain spojrział niespokojnie na niebo.

— Babalatji powinien już tu być — zauważył. — Minęło więcej niż pół nocy. Czeka nas długa droga, a lot kuli szybszy jest od najściglejszego czółna.

— Będzie tu, nim księżyc skryje się za chmurami — rzekła Nina. — O, plusk wody — słyszysz?

— To aligator — odparł Dain spojrzawszy niedbale w stronę zatoki. — Im ciemniejsza noc, tym krótsza podróż przed nami; popłyniemy wtedy z głównym prądem. Ale jeśli będzie jasno, nawet nie jaśniej niż teraz, trzeba będzie przemykać się drobnymi przesmykami i woda nie przyjdzie z pomocą naszym wiosłom.

— Dainie — przerwała Nina poważnie — to nie jest aligator. Słyszę szelest kroków na wybrzeżu. Dain nasłuchiwał przez chwilę.

— Tak. To nie może być Babalatji; ten przyjechałby otwarcie, w wielkiej łodzi wojennej, a ci przybysze nie chcą widać robić hałasu. Ale ty słyszałaś, a ja już widzę — dodał prędko. — To tylko jeden człowiek. Stań za mną, Nino. Jeśli to przyjaciel, powitamy go z radością, jeśli wróg — zobaczysz, jak będzie umierał.

Położył rękę na krisie i czekał na niespodziewanego gościa. Ogień przygasł. Drobne chmurki, zwiastunki burzy, przelatywały szybkim korowodem przed tarczą księżyca; a z jego ust płynęły potokiem wyrazy namiętne lub tkliwe, poważne lub groźne, zależnie od wywołanego przez nią nastroju. Mówił o swej rodzinnej wyspie, gdzie nieznane są ponure lasy i błotniste wybrzeża. Opowiadał o polach spadających tarasami, o szemrzących, jasnych strumykach, które błyszczą na zboczach wielkich gór i niosą krainie życie, a radość mieszkańcom. I mówił także o samotnym szczycie górującym nad pierścieniem z drzew, szczycie, co zna tajniki przelotnych chmur i jest siedliskiem tajemniczego ducha jego rasy — geniusza i opiekuna rodu. Mówił o przestrzennych widnokęgach, kędy szaleją dzikie wichry wyjąc wysoko nad szczytami ognistych gór. Opowiadał o swoich przodkach, którzy zdobyli przed wiekami wyspę, przyszłe jego dziedzictwo. A gdy Nina pochyliła się nad nim, zasłuchana, musnął ręką bogate zwoje jej włosów i zapragnął nagle mówić o morzu, co tak mu jest drogie; o nie milkącym nigdy jego głosie, w który wsłuchiwał się od dziecka, pragnąc przeniknąć tajne jego znaczenie, nie zgłębione dotąd przez żadnego człowieka; o czarownym jego lśnieniu; o napadach bezrozumnej, kapryśnej wściekłości; o wieczycie zmiennej powierzchni, co nęci zawsze jednakowo — i o zawsze tych samych przepastnych głębiach, zimnych i okrutnych, pełnych mądrości zniweczonych istnień. Opowiadał, jak morze rzuca na ludzi czar na całe życie i przykuwa ich do siebie, a potem pochłania wiernych niewolników bez względu na ich oddanie, gniewne, że boją się jego tajemnicy, której nie

zradzi nigdy przed nikim, nawet przed tymi, co je najbardziej ukochali. W miarę jak mówił, Nina spuszczała głowę coraz niżej, aż dotknęła prawie twarzą jego twarzy. Włosy jej przesłoniły mu oczy, oddech muskał skronie, a ramiona oplótły ciało. Mimo tak ścisłego zespolenia odgadła raczej, niż usłyszała, ostatnie jego słowa, co po krótkiej pauzie spłynęły cichutkim szeptem i rozwiały się w głębokim milczeniu:

Widzisz, Nino, morze podobne jest sercu kobiety. Nagły pocałunek zamknął mu wargi. Odrzekła spokojnie:

— Władco mojego życia! Morze dochowuje wierności tym, co nie znają trwogi.

Przędza włóknistych chmur rozsunęła się nad nimi niby olbrzymia pajęczyna rozpięta pod gwiazdami. Niebo omroczyło się zapowiedzią nadciągającej burzy. Z niewidzialnych pagórków stoczył się pierwszy, oddalony łoskot grzmotu i tłukł się między pasmami wzgórz, aż zapadł wreszcie w lasy nad rzeką. Podnieśli się oboje; Dain spojrzał niespokojnie na niebo.

— Babalatji powinien już tu być — zauważył. — Minęło więcej niż pół nocy. Czeka nas długa droga, a lot kuli szybszy jest od najściślejszego czółna.

— Będzie tu, nim księżyc skryje się za chmurami — rzekła Nina. — O, plusk wody — słyszysz?

— To aligator — odparł Dain spojrzawszy niedbale w stronę zatoki. — Im ciemniejsza noc, tym krótsza podróż przed nami; popłyniemy wtedy z głównym prądem. Ale jeśli będzie jasno, nawet nie jaśniej niż teraz, trzeba będzie przemykać się drobnymi przesmykami i woda nie przyjdzie z pomocą naszym wiosłom.

— Dainie — przerwała Nina poważnie — to nie jest aligator. Słyszę szelest kroków na wybrzeżu. Dain nasłuchiwał przez chwilę.

— Tak. To nie może być Babalatji; ten przyjechałby otwarcie, w wielkiej łodzi wojennej, a ci przybysze nie chcą widać robić hałasu. Ale ty słyszałaś, a ja już widzę — dodał prędko. — To tylko jeden człowiek. Stań za mną, Nino. Jeśli to przyjaciel, powitamy go z radością, jeśli wróg — zobaczysz, jak będzie umierał.

Położył rękę na krisie i czekał na niespodziewanego gościa. Ogień przygasł. Drobne chmurki, zwiastunki burzy, przelatowały szybkim korowodem przed tarczą księżyca; lotne ich cienie powlekały mrokiem polankę. Dain nie mógł rozpoznać zbliżającego się człowieka, ale uczył niepokój na widok wysokiej postaci posuwającej się spokojnym, ciężkim krokiem. „Stój!” — krzyknął. Człowiek zatrzymał się w pewnym oddaleniu; Dain oczekiwał, że się odezwie, lecz słyszał tylko głęboki jego oddech. Przez rozdarcie w lecącej chmurze przelotna jasność spłynęła na polankę: spostrzegł nagle wyciągniętą ku sobie rękę z czymś błyszczącym i usłyszał krzyk Niny: „Ojczel!” Dziewczyna znalazła się w mgnieniu oka między Dainem i

rewolwerem Almayera. Gwałtowny jej okrzyk zbudził echa drzemiących lasów. Wszyscy troje zastygli w milczeniu: zdawało się, że czekają z wyrażeniem swych różnorodnych uczuć aż do chwili, gdy cisza nastanie. Na widok Niny Almayer opuścił rękę i postąpił krok naprzód. Dain łagodnie usunął Ninę na bok.

— Czy jestem dzikim zwierzem, że usiłujesz zabić mnie znieczeka i w ciemności, tuanie Almayer? — rzekł przerywając naprężone milczenie. — Dorzuć chrustu do ognia — ciągnął dalej zwracając się do Niny — a ja będę pilnował mego białego przyjaciela, aby nie wyrządził krzywdy ani mnie, ani tobie, o rozkoszy mego serca!

Almayer ścisnął zęby i podniósł znów ramię. Błyskawicznym skokiem Dain znalazł się przy nim; zawiązała się krótka walka, rewolwer wypalił nieszkodliwie, aż wreszcie, wyrwany z ręki Almayera, zawirował w powietrzu i padł w krzaki. Obaj mężczyźni stali obok siebie ciężko dysząc. Podsycony ogień rzucał niepewny krąg blasku i oświetlał przerażoną twarz Niny, która patrzyła na nich z wyciągniętymi rękoma.

— Dainie! — krzyknęła ostrzegawczo — Dainie! Uspokoił ją skinieniem i zwrócił się z dwornością do Almayera.

— Możemy teraz porozmawiać, tuanie. Łatwo zadać śmierć, ale czy twoja mądrość potrafi przyzwać z powrotem życie? Mogłeś ją zranić — ciągnął wskazując na Ninę — Ręka ci mocno drżała; nie bałem się o siebie.

— Nino! — krzyknął Almayer — chodź tu natychmiast! Co znaczy ten nagły obłęd? Co cię opętało? Chodź do ojca, postaramy się zapomnieć o tej ohydnej zmurze!

Otworzył ramiona, pewien, że przycisnie ją natychmiast do serca. Nie poruszyła się wcale. Gdy zrozumiał, że nie zechce go usłuchać, poczuł śmiertelny chłód w sercu i ścisnął dłońmi czoło w niemej rozpacz. Dain wziął Ninę za ramię i powiódł ją do Ojca.

— Przemów w języku jego narodu — rzekł do niej. — On rozpacza i ktoś by nie rozpaczał tracąc ciebie, moja perło! To już ostatnie słowa, które możesz do niego powiedzieć. Głos twój słodkim być musi i dla niego, ale dla mnie jest wszystkim.

Puścił ją. odstąpił poza krąg światła i zatrzymał się w mroku przypatrując się obojgu ze spokojnym zainteresowaniem. Daleka błyskawica zapaliła chmury nad ich głowami; rozległ się stłumiony łoskot grzmotu i zlał się z głosem Almayera, który wreszcie przemówił.

— Czy ty wiesz, co robisz? Czy wiesz, co cię czeka, jeśli pójdziesz za tym człowiekiem? Nie masz nad sobą litości! Będiesz z początku jego zabawką, a potem wzgardzoną niewolnicą, popychadłem, igraszką każdej nowej fantazji tego człowieka!

Przerwała mu ruchem ręki i odwróciła z lekka głowę pytając:

— Słyszysz, Dainie! czy to prawda?

— Na wszystkie bogi — zabrzmiała z mroku przesycona namiętnością odpowiedź — na ziemię i niebo, na moją i na twoją głowę przysięgam: to jest kłamstwo białego człowieka. Złożyłem duszę na wieki w twoje dłonie; oddycham twoim tchnieniem, patrzę twoimi oczami, myślę twoim umysłem i biorę cię w serce na zawsze.

— Złodzieju! — krzyknął rozjątrzony Almayer.

Głęboka cisza zapadła po tym wybuchu; wkrótce głos Daina rozległ się znowu.

— Nie, tuanie — odrzekł łagodnie — to także nieprawda. Dziewczyna jest tu z własnej woli. Ja tylko okazałem jej swoją miłość, jak przystoi mężczyźnie; usłyszała krzyk mego serca i przyszła. Okup za nią dałem kobiecie, którą nazywasz żoną.

Almayer jęknął w ostatecznej wściekłości i wstydzie. Nina położyła mu lekko rękę na ramieniu; dotknięcie to, słabe jak otarcie się spadającego liścia, zdało się nieść mu ukojenie. Zaczął prędko mówić, tym razem po angielsku.

— Powiedz, co oni ci zadali oboje, twoja matka i ten człowiek? Co cię przywiodło do oddania się temu dzikiemu? Bo to jest dziki. Między nim a tobą jest przepaść, której nic nie zapełni. Widzę w twoich oczach nieprzytomny wyraz człowieka, co w chwili szalu popełnia samobójstwo. Jesteś szalona! Nie uśmiechaj się, rozdzierasz mi serce. Nie cierpiałbym straszniejszej męki, gdybyś tonęła w moich oczach bez możliwości ratunku. Czy zapomniałaś wszystko, czego cię uczyli przez tyle lat?

— Nie — przerwała — pamiętam dobrze. Pamiętam także, jak się skończyła moja nauka. Wzgarda za wzgardę, poniżenie za poniżenie, nienawiść za nienawiść. Nie należę do twojej rasy. Między twoim narodem a mną jest także przepaść, której nic nie zapełni. Pytasz, czemu odchodzę, a ja się ciebie pytam, czemu mam pozostać?

Zachwiał się jak od policzka, lecz podtrzymała go szybkim ruchem, chwyciwszy jego ramię.

— Czemu masz pozostać! — powtórzył zwolna jak otepiały i urwał, zdumiony ogromem swego nieszczęścia.

— Powiedziałeś mi wczoraj — ciągnęła — że nie umiem ciebie zrozumieć, że nie widzę twojej miłości; to jest prawda. I jakże ma być inaczej? Nie ma na świecie dwóch istot rozumiejących się nawzajem; rozumieją tylko swoje słowa. Chciałeś, abym żyła twoimi, marzeniami, abym zatopila się w twoich wizjach, wizjach życia wśród białych twarzy, wśród ludzi, którzy odepchnęli mnie z gniewną pogardą. Lecz gdy mówiłeś, wsłuchiwałam się w głos własnej duszy. Nagle zjawił się ten człowiek i wszystko na raz ucichło; słyszałam tylko szept miłości. Nazywasz go dzikim! a jak nazwiesz moją matkę, a twoją żonę?

— Nino! — krzyknął Almayer — nie patrz tak na mnie!

Spuściła natychmiast oczy, lecz ciągnęła dalej zniżywszy głos prawie do szeptu:

— Z czasem nasze głosy zlały się w słodką harmonię dostępną tylko nam dwojgu. Mówiłeś wtedy o złocie, ale uszy nasze pełne były śpiewu miłości i nie słyszeliśmy cię. Przekonałam się, że widzimy wszystko jednakowo; że on widzi to, czego prócz mnie i jego nikt spostrzec nie jest w stanie. Znaleźliśmy się w kraju, dokąd nikt nie mógł za nami podążyć, a ty najmniej ze wszystkich. Wtedy dopiero zaczęło się dla mnie życie.

Zatrzymała się. Almayer odetchnął głęboko. Z oczami wbitymi wciąż w ziemię zaczęła mówić na nowo.

— Ja chcę żyć! chcę pójść za nim. Biali ludzie odepchnęli mnie z pogardą, jestem teraz Malajką! Wziął mnie w ramiona i położył mi do stóp swoje życie. Mężny jest i stanie się potężnym władcą. Trzymam w ręku jego męstwo i jego siłę i uczynię go wielkim. Imię jego będzie głośno rozbrzmiewać, gdy oba nasze ciała w proch się już rozsypią. Kocham cię tak jak i dawniej, ale nie opuszczę go nigdy, bo żyć bez niego nie mogę.

— Jeśli zrozumiał, co mówisz — odrzekł pogardliwie Almayer — musi się czuć niezmiernie zaszczycony. Potrzebujesz go dla zaspokojenia niezrozumiałej jakiejś ambicji. Dostyc tego. Jeżeli nie zejdiesz natychmiast do zatoki, gdzie Ali czeka w łódce, każę Alemu wrócić do osady i sprowadzić tu Holendrów. Nie możesz uciec, puściłem z prądem twoje czółno. Jeśli Holendrzy złapią tego twojego bohatera, powieszą go bez wahania. A teraz chodź!

Zbliżył się i położył rękę na jej ramieniu wskazując ścieżkę wiodącą ku rzece.

— Sta zez się! — krzyknął Dain. — Ta kobieta należy do mnie!

Nina wyrwała się i spojrzała prosto w gniewną twarz Almayera.

— Nie pójdę! — rzekła z rozpaczliwą energią. — Jeśli on zginie, umrę z nim razem.

— Ty nie umrzesz — odparł pogardliwie Almayer. — Będziesz żyła życiem pełnym kłamstw i oszustw, póki nie zjawi się inny jakiś włóczęga i nie zaśpiewa ci — jak to powiedziałaś? — pieśni miłości! No, decyduj się prędko.

Czekał przez chwilę, po czym spytał z naciskiem:

— Czy mam zawołać Alego?

— Wołaj go! — odrzekła po malajsku — ty, co nie umiesz być wierny nawet własnym rodakom. Dopiero co sprzedawałeś proch na ich zagładę, a teraz chcesz wydać im człowieka, którego wczoraj zwałeś przyjacielem. Dainie — zwróciła się do postaci stojącej nieruchomo, lecz w niemym oczekiwaniu w mroku — przynoszę ci śmierć zamiast życia, on cię wyda, jeżeli nie porzucę ciebie na zawsze'

Dain zbliżył się, objął Ninę za szyję i szepnął jej do ucha:

— Mogę zabić go tak, jak stoi, nim zdoła wymówić słowo. Od ciebie to tylko zależy. Babalatji musi już być blisko.

Wyprostował się, wypuścił ją z ramion i zwrócił się w stronę Almayera, który patrzył w nich z wyrazem skupionej wściekłości.

— Nie! — krzyknęła dziko, czepiając się z trwogą Daina. — Zabij mnie raczej! może ci wtedy daruje. Nie znasz serca białego człowieka. On woli ujrzeć mnie martwą niż oddać w twoje ramiona. Przebac mi, przebac twjej niewolnicy, ale nie zabijaj go! — Upadła mu do nóg łkając gwałtownie i powtarzając ciągle: — Zabij mnie! zabij!

— Chcę cię mieć żywą — rzekł po malajsku Almayer z ponurym spokojem. — Albo pójdiesz ze mną, albo on będzie wisiał. Słyszysz, co mówię?

Dain odepchnął Ninę i nagłym ruchem uderzył w pierś Almayera rękojeścią krisa zwracając ostrze ku sobie.

— Hai, popatrz tylko! łatwo mi było obrócić ostrze w stronę przeciwną — rzekł równym, spokojnym głosem. — Odejdź, *tuanie putih* — dodał z godnością. — Darowuję ci twoje życie, moje życie i jej życie. Jestem niewolnikiem tej kobiety, a ona tego żąda.

Niebo zaciągnęło się szczelnie mrokiem. Szczyty i pnie drzew tonęły w gęstwie chmur wiszących nisko nad lasem, polanką i rzeką. Kontury znikły w głębokiej czerni, co pochłonęła, zda się, wszystko krom przestrzeni. Tylko ogień świecił jak gwiazda, o której zapomniano w zagładzie wszystkiego oprócz przestrzeni. Gdy Dain skończył mówić, w ciszy rozlegały się tylko łkania Niny; Dain trzymał ją w ramionach klęcząc obok ogniska. Almayer patrzył na nich w ponurej zadumie. Gdy otwierał usta, aby coś powiedzieć, padł ostrzegawczy okrzyk od strony rzeki; po chwili usłyszeli plusk wioseł i gwar głosów.

— Babalatji! — krzyknął Dain i zerwał się podnosząc Ninę.

— *Ada! ada!* — zabrzmiał w odpowiedzi głos Babalatjego, który wbiegł na ścieżkę i stanął wśród nich, zgorączkowany i bez tchu. — Leć do mego czółna — rzekł do Daina nie zwracając żadnej uwagi na Almayera. — Prędko! jedziemy natychmiast. Ta kobieta wszystko im powiedziała.

— Jaka kobieta? — spytał Dain spoglądając na Ninę.

W tej chwili istniała dla niego jedna, jedyna kobieta na świecie.

— Ta suka z białymi zębami, po siedemkroć przeklęta niewolnica Bulangiego. Darła się u wrót Abdulli, aż cała osada zerwała się na nogi. Biali oficerowie jadą tutaj, prowadzeni przez nią i przez Reszyda. Jeśli chcesz żyć, nie przypatruj mi się, tylko uciekaj.

— Skąd wiesz o tym? — spytał Almayer.

— Och, tuanie, czy to ważne w tej chwili! Jedno tylko mam oko, lecz dojrzałem

światło w *kampungu* Abdulli, gdy przejeżdżaliśmy tamtędy. I uszy mam dobre; leżeliśmy tuż pod brzegiem i usłyszałem, jak słano gońców do białych ludzi.

— Czy pojedziesz bez tej kobiety, która jest moją córką? — rzekł Almayer do Daina. Babalati tupął z niecierpliwości, powtarzając.

— Jedź ze mną! Jedź natychmiast!

— Nie — odrzekł spokojnie Dain — nie pojedę. Nikomu na świecie nie oddam tej kobiety.

— Więc zabij mnie i uchodź! — wyszeptała Nina wśród łkań.

Przytulił ją i spojrział tkliwie w jej twarz szepcząc:

— Nie rozstaniemy się nigdy!

— Ja tu siedzieć nie myślę — oświadczył gniewnie Babalati. — To szaleństwo. Żadna kobieta nie jest warta życia mężczyzny. Stary jestem i wiem to dobrze.

Podniósł laskę zabierając się do odejścia i spojrział raz jeszcze pytająco na Daina, lecz Dain wtulił twarz w czarne sploty Niny, nie dostrzegł więc tego ostatniego niemego wezwania.

Babalati znikł w ciemnościach i wkrótce usłyszeli, jak łódź wojenna oddala się z rytmicznym pluskiem wielu wiosł. Jednocześnie nadszedł Ali od strony rzeki niosąc dwa wiosła na ramieniu.

— Tuż Almayer! ukryłem nasze czółno w zatoce — rzekł — w gęstych zaroślach, tam gdzie las schodzi aż do wody. Zrobiłem to, bo usłyszałem od wiosłarza Babalatego, że biali ludzie tu jadą.

— Czekaj tam na mnie i zostaw łódkę w ukryciu — odrzekł Almayer.

Nasłuchiwał przez chwilę jeszcze kroków Alego, po czym zwrócił się do Niny:

— Nino — rzekł smutnie — czy nie ulitujesz się nade mną?

Nie było odpowiedzi. Nie odwróciła nawet głowy przytulonej do piersi Daina.

Poruszył się, jakby chciał odejść, i zatrzymał się znowu. W słabym blasku dopalającego się ogniska widział nieruchome ich postacie. Nina odwrócona była do niego plecami, a jej długie, czarne włosy spływały po białej sukni; nad głową córki spoglądała ku niemu spokojna twarz Daina.

— Nie mogę — szepnęła Almayer i zamilkł. Po długiej pauzie zaczął mówić jeszcze ciszej, niepewnym głosem.

— To byłaby za wielka hańba. Jestem przecież białym człowiekiem! — Poczul się doszczętnie złamany i szeptał dalej przez łyzy: — Jestem białym człowiekiem i pochodzę z dobrej rodziny. Z bardzo dobrej rodziny — powtórzył, gorzko płacząc. — To byłaby hańba...

wszędzie po wyspach... jedyny biały człowiek na całym wschodnim wybrzeżu... Nie, to się stać nie może. Biali ludzie nie zobaczą mojej córki z tym Malajem... Mojej córki! — krzyknął głośno z rozpaczą.

Po chwili odzyskał panowanie nad sobą i rzekł wyraźnie:

— Nie przebaczę ci nigdy, Nino, nigdy! Gdybyś teraz do mnie wróciła, pamięć tej nocy zatrułaby mi całe życie. Postaram się zapomnieć. Nie mam córki. Była w moim domu dziewczyna, Metyska, a teraz właśnie odchodzi na zawsze. Dainie, czy jak się tam nazywasz, zabieram ciebie i tę kobietę na wyspę przy ujściu rzeki. Chodźcie za mną.

Poszedł naprzód wybrzeżem w stronę lasu. Ali odpowiedział okrzykiem na jego wołanie. Przedarłszy się przez zwarty gąszcz wsiedli do czółna ukrytego pod nawisłymi gałęziami. Dain ułożył Ninę na dnie i siadł trzymając jej głowę na kolanach. Almayer i Ali wzięli się do wiosł. Gdy już mieli ruszać, rozległ się ostrzegawczy syk Alego; wyteżyli słuch wszyscy troje.

Wśród wielkiej ciszy poprzedzającej burzę usłyszeli zgrzyt wiosł obracających się rytmicznie w dulkach. Odgłos ów zbliżał się coraz bardziej; wreszcie Dain ujrzał przez gałęzie mętny zarys wielkiej, białej łodzi. Kobięcy głos odezwał się po cichu:

— Biali ludzie, możecie tu wylądować. Trochę wyżej, o, tam.

Łódź przepełnęła tak blisko, że końce długich wiosł zawadziły prawie o czółno.

— Dość miejsca na przejazd! Zatrzymać się. Ładujcie! On jest sam jeden i bezbronny — rozległ się spokojny rozkaz w języku holenderskim. Ktoś drugi szepnął:

— Zdaje mi się, że widzę błysk ognia przez zarośla. — I łódź minęła ich, wchłonięta zaraz przez ciemność.

— A teraz — szepnął Ali — do wiosł. Odbijajmy prędko!

Czółenko znalazło się wnet na środku rzeki. W chwili gdy skoczyło naprzód pod energicznym naporem wiosł, usłyszeli gniewny okrzyk:

— Nie ma go przy ogniu! rozbiegnąć się i szukać wszędzie!

Niebieskie światełka zabłyśły w różnych stronach polanki. Nagle rozległ się ostry krzyk kobiety, pełen bólu i wściekłości:

— Za późno! o głupi biali ludzie, nie ma go! Uciekł!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

— Oto umówione miejsce — rzekł Dain wskazując piórem wiosła wysepkę oddaloną jeszcze o jaki kilometr. — Oto miejsce, o którym mówił Babalatji. Gdy słońce znajdzie się w środku nieba, przyjedzie po mnie łódka. Poczekamy tu na nią.

Almayer, który siedział u steru, skinął potakująco głową i lekkim uderzeniem wiosła skierował czółno w stronę wysepki.

Znajdowali się właśnie u południowego ujścia Pantai. Za nimi otwierała się daleka perspektywa lśniących wód ujętych w dwie ściany zwartej zieleni, które biegły w dół na spotkanie i zlewały się hen, w oddali. Słońce wschodziło nad spokojną tonią cieśniny, znacząc swą drogę promienną smugą. Blask ślizgał się po falach i mknął rozległym obszarem rzeki niby ściągły goniec niosący światło i życie ponurym losom wybrzeża. Promiennym szlakiem sunęło czółno dążąc ku wysepce, co leżała skąpana w słońcu, w pierścieniu żółtych piasków, jak złota tarcza wkuta w polerowaną stal gładkiego morza. Ku północy i południowi wyłaniały się inne wysepki, radosne w przepychu swych barw zielonych i żółtych, a na głównym lądzie mroczna linia zarośli mangrowych³⁵ zlewała się z czerwonymi skałami przylądka Tandjung Merah, który wstępował daleko w morze, stromy i bez cienia w blasku wczesnego słońca.

Dobili do brzegu; dno czółenka zgrzytnęło o piasek. Ali wyskoczył i przytrzymał łódkę, a Dain wysiadł niosąc w ramionach Ninę, wyczerpaną wrażeniami i długą, nocną podróżą. Almayer wyszedł z czółna ostatni i wciągnął je na brzeg wspólnie z Alim. Malaj położył się w cieniu i zasnął natychmiast, zmęczony długim wiosłowaniem, zaś Almayer siadł na krawędzi czółna, skrzyżował ręce na piersiach i wpatrzył się w morze.

Dain ułożył troskliwie Ninę w cieniu krzewów rosnących w środku wysepki i rzucił się na ziemię obok niej. Patrzył z milczącą troską na łzy, co wymykały się spod jej przymkniętych powiek i ginęły w drobnym piasku, na którym leżeli oboje twarzą w twarz. Łzy jej i smutek zastanawiały go jak głęboka, niepokojąca tajemnica. Czemu się martwi teraz, gdy niebezpieczeństwo już minęło? Nie wątpił o jej miłości, jak nie mógł wątpić i o fakcie własnego istnienia, a jednak gdy tak leżał i patrzył żarliwie w jej twarz śledząc jej łzy, rozchylone usta i nawet oddech — czuł z niepokojem, że jest w niej coś, czego on zrozumieć nie może. Nic dziwnego: wszak ona posiada wiedzę istot doskonałych. Westchnął. Poczł, że przedziela ich niewidzialna jakaś zapora, która mu pozwoli zbliżyć się do niej na pewną

³⁵ Zarośla mangrowe porastają bagniste wybrzeża mórz tropikalnych.

odległość, ale nie dalej. Żaden poryw miłości, żaden wysiłek — ani tęsknota, ani nawet wspólne, długie życie — nic nie zdoła usunąć tej nieuchwytnej przegrody. Z przerażeniem, ale także z wielką dumą stwierdził, że przyczyną tego jest niedościgła jej doskonałość. Ta kobieta należy do niego, a jednak przebywa jak gdyby w innym świecie. Jego jest! jego! Radosny tryumf go przeniknął, a zarazem i ból z powodu jej łez.

Z nieśmiałą czią ujął promień jej włosów i w przypiływie niezgrabnej tkliwości usiłował otrzeć łzy błyszczące na rzęsach. Przelotny uśmiech go nagroził rozjaśniając jej twarz na mgnienie, ale wkrótce łzy posypały się jeszcze obficie. Nie mógł znieść tego dłużej. Powstał i zbliżył się do Almayera, który siedział wciąż na krawędzi czółna, pochłonięty widokiem morza. Nie widział go już bardzo dawno — tego morza, co wszędzie prowadzi, co przynosi wszystko na swych falach, a tak wiele zabiera. Zapomniał prawie, czemu się tu znajduje, i w sennym rozmarzeniu widział całe swoje życie na gładkiej, bezkresnej przestrzeni, mieniącej się blaskiem przed jego oczami.

Wstrząsnęło nim dotknięcie ręki Daina i przyzwało z dalekiej zaiste krainy. Odwrócił się, lecz oczy jego zdawały się patrzeć nie na samego Daina, a raczej na miejsce, gdzie stał. Dain uczył niepokój pod tym nieświadomym spojrzeniem.

— Co takiego? — rzekł Almayer.

— Ona płacze — szepnął Dain cicho.

— Płacze, dlaczego? — spytał obojętnie Almayer.

— Przyszedłem ciebie zapytać. Moja rani uśmiecha się, gdy patrzy na kochanego człowieka. To biała kobieta płacze w niej teraz. Powinieneś wiedzieć dlaczego.

Almayer wzruszył ramionami i odwrócił się znów ku morzu.

— Chodź, *tuanie putih* — nalegał Dain — chodź do niej. Jej łzy straszniejsze są dla mnie niż gniew bogów.

— Doprawdy? Będziesz je nieraz oglądał. Powiedziała mi, że żyć bez ciebie nie może — ciągnął dalej bez cienia wyrazu w twarzy — więc przystoi, abyś prędko do niej wrócił. Nie boisz się, że przez ten czas umrze?

Wybuchnął głośnym, przykrym śmiechem. Dain spojrzał na niego z pewną obawą. Biały podniósł się jednak i szedł zwolna ku Ninie spoglądając na słońce.

— Więc pojedziecie, gdy słońce znajdzie się nad nami? — zapytał.

— Tak, tuanie — odrzekł Dain.

— Niedługo będę czekał — mruknął Almayer. — Niezmiernie to dla mnie ważne, abym widział wasz odjazd. Was obojga. To właśnie jest dla mnie najważniejsze — powtórzył i przystanął nagle patrząc uporczywie na Daina.

Ruszył znowu ku Ninie, a Dain pozostał w tyle. Almayer zbliżył się do córki i stał przy niej czas jakiś, spoglądając na nią z góry. Nie otworzyła oczu, lecz posłyszawszy kroki szepnęła cicho, szlochając: „Dainie!”

Almayer zawahał się chwilę i osunął się w piasek obok niej. Nie słysząc odpowiedzi, nie czując dotknięcia ręki Daina otworzyła oczy i — zobaczywszy ojca — siadła nagle w przerażeniu.

— To ty, ojcze! — szepnęła cicho, zawarłszy w tych słowach cały swój żal, trwogę i budzącą się nadzieję.

— Nie przebaczę ci nigdy, Nino — rzekł Almayer obojętnym głosem. — Wydarłaś mi serce, gdy śniłem o twoim szczęściu. Oszukałaś mnie. Twoje oczy, które były dla mnie samą prawdą, kłamały mi każdym spojrzeniem — od jak dawna? sama wiesz o tym najlepiej. Głaskałaś moją twarz, licząc chwile dzielące cię od zachodu, który był hasłem twojego spotkania z tym człowiekiem.

Urwał. Siedzieli w milczeniu obok siebie, wpatrzeni w bezkres morza. Słowa ojca osuszyły powieki Niny; stwardniał jej wzrok utkwiony w nieobjętą przestrzeń lazuru, przejrzystą, gładką i spokojną jak niebo. Almayer patrzył weń także, lecz z rysów jego znikł wszelki wyraz i zdawało się, że życie w oczach zagasło. Jego twarz — niby pusta karta — próżna była wzruszenia, czucia, myśli, a nawet i świadomości. Ręka losu starła zeń wszelką namiętność, żal i ból, i gniew, i nadzieję, jak gdyby po ciosie ostatnim wszystko się już wypełniło, jak gdyby wspomnienia nawet stały się czymś zbytecznym. Nieliczni ludzie, którzy widywali Almayera w tym ostatnim, krótkim okresie jego życia, byli zawsze pod wrażeniem jego twarzy, która zdawała się nie wiedzieć o niczym, co się wewnątrz niego dzieje. Podobna była gładkiej pustej ścianie więziennej kryjącej grzech, żal, cierpienie i zmarnowane życie za obojętnym chłodem wapna i kamieni.

— Cóż tu jest do przebaczenia? — szeptała Nina nie wracając się do Almayera bezpośrednio, lecz jak gdyby dyskutując sama z sobą. — Czy mi nie wolno żyć własnym życiem, tak jak ty żyłeś swoim? Droga, po której chciałeś, abym poszła, zamknęła się przede mną nie z mojej winy.

— Nigdy mi nic nie mówiłaś — szepnął Almayer.

— Nie pytałaś mnie nigdy — odrzekła. — Myślałam, że jesteś jak inni i nie dbasz o mnie. Cierpiałam w samotności. Jakże ci mogłam powiedzieć: spotkało mnie ponizenie, dlatego że jestem twoją córką? Przecież mnie pomścić nie mogłeś.

— A jednak myślałem tylko o tym — przerwał Almayer — i pragnąłem ci dać całe lata szczęścia za krótki okres cierpień. Widziałem tylko jedną drogę przed nami.

— Ale to nie była moja droga — odparła. — Czy mogłeś mi dać szczęście nie dając życia? Życia! — powtórzyła z nagłym przyływem energii, aż słowo rozdzwiewało się i poniosło nad falami. — A życie to potęga i miłość — dodała ciszej.

— To ten! — rzekł Almayer wskazując na Daina, który stał tuż obok i patrzył na nich z ciekawością i zdziwieniem.

— Tak, ten! — odrzekła spoglądając prosto w twarz ojca. Zauważyła po raz pierwszy dziwną stężalność jego rysów i przebiegł ją dreszcz trwogi.

— Udusiłbym cię prędzej własnymi rękoma — rzekł Almayer bezbarwnym głosem, który stanowił taki kontrast z rozpaczliwą goryczą jego słów, że sam się nad tym zdumiał. Zastanowiło go, kto to mógł powiedzieć, rozejrzał się wokoło, po czym wpatrzył się znów w morze.

— Mówisz tak, bo mnie nie rozumiesz — rzekła smutno. — Między tobą a matką nie było nigdy miłości. Kiedy wróciłam do Sembiru, przekonałam się, że rodzinny dom, który miał być zacisznym schronieniem dla mego serca, pełen jest nudy, nienawiści i wzajemnej pogardy. Słuchałam twoich słów i słów matki. Przekonałam się wtedy, że nie możesz mnie zrozumieć, bo przecież płynie we mnie krew tej kobiety, która jest wiecznym żalem i hańbą twojego życia. Musiałam wybierać między tobą a nią: wahałam się. Czemu byłeś taki ślepy? Czy nie widziałeś, że walczę? Czyż nie działo się to w twoich oczach? Ale gdy on się zjawił, znikła niepewność, ogarnął mnie błękit przeczystych niebios...

— Dokończę sam — przerwał Almayer. — Kiedy ten człowiek się zjawił, ujrzałem także słoneczny błękit niebios. Grom spadł z tego nieba; uczynił się nagle mrok i cisza — na zawsze. Nie przebaczę ci nigdy, Nino, a jutro zapomnę o tobie. Nigdy ci nie przebaczę! — dodał z uporem maniaka, a Nina słuchała go ze spuszczoną głową, jakby lękając się spojrzeć na ojca.

Wydało mu się teraz rzeczą największej wagi, aby zrozumiała, że nigdy jej nie przebaczy. Był przekonany, że wiara w nią stanowiła źródło jego nadziei, jego męstwa, gotowości do życia i walki, do zwycięstwa przez nią i dla niej. A teraz przepadła wiara zniweczona własnymi jej rękoma — okrutnie, podstępnie, zdradliwie — w chwili największego tryumfu. Z ostatecznej zagłady wszystkich jego uczuć i przywiązań, z chaotycznego wiru myśli wynurzyło się tylko jedno górując nad niejasnym uczuciem fizycznego bólu, co spowijał go od pleców do stóp jak uderzenie biczem: myśl, aby nigdy jej nie przebaczyć. Owładnęło nim jedno jedyne pragnienie: zapomnieć o niej. Należy przyswoić tę myśl i jej, i sobie, powtarzając ją jak najczęściej. Tak pojmował obowiązek względem siebie, swojej rasy i swoich zaszczytnych stosunków — względem całego świata, który

zadrzał w posadach, wstrząśnięty straszną katastrofą jego życia. Zdawał sobie sprawę z wszystkiego i wierzył, że jest człowiekiem silnym. Pysnił się zawsze nieugiętą swoją stanowczością. A jednak lęk go przejmował. Nina była dla niego wszystkim. Co się stanie, jeśli wspomnienie tego, jak ją kochał, naruszy niezłomną jego godność? Był przeświadczony, że Nina jest kobietą niezwykłą, że cała ukryta jego wielkość — w którą szczerze wierzył — wcieliła się w tę wiotką, dziewczęcą postać. Mogli dokonać razem wielkich rzeczy! A gdyby tak przycisnął ją nagle do serca, gdyby zapomniał o wstydzie i bólu, i gniewie i — poszedł za nią? Gdyby zmienił serce — jeśli nie skórę — wówczas życie jej popłynęłoby gładko i szczęśliwie pod pieczęią dwóch kochających ją istot, które chroniłyby ją przed nieszczęściem. Serce wyrywało mu się do niej. Jeśli jej wyzna, że miłość ku niej potężniejsza jest aniżeli...

— Nigdy ci nie przebaczę! — krzyknął i zerwał się jak oszalały, przerażony swoim marzeniem.

Po raz ostatni zdarzyło się, że podniósł głos aż do krzyku. Odtąd mówił zawsze monotonnym szeptem, podobny muzycznemu narzędziu, które wydało ostatni głośny, wibrujący dźwięk pod ciosem brutalnej dłoni, co stargała wszystkie struny oprócz jednej.

Nina powstała również i spojrzała na ojca. W gwałtownym okrzyku zdradziła się jego miłość łagodząc cierpienie Niny. Przygarnęła do serca oplakane szczątki tego uczucia z nienasyconą chciwością kobiet, które lgną rozpaczliwie nawet do resztek i strzępów miłości — i to wszelakiej miłości — jako do czegoś, co z prawa im się należy i jest tętnem ich życia. Położyła obie dłonie na ramionach Almayera i patrząc na niego tkliwie rzekła z odcieniem żartobliwości:

— Mówisz tak, bo mnie kochasz.

Almayer zaprzeczył głową.

— Tak, kochasz mnie — powtórzyła łagodnie, a po chwili dodała: — I nie zapomnisz mnie nigdy!

Almayer zadrzał. Nie mogła mu powiedzieć nic okrutniejszego.

— Łódka płynie już po nasi — zawołał Dain wskazując na czarną plamkę między wybrzeżem a wysepką.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę i stali w milczeniu, póki czołno nie przybiło do brzegu. Jakiś człowiek wysiadł i szedł ku nim. Zatrzymał się w pewnym oddaleniu, jak gdyby się namyślał.

— Z czym przyjeżdżasz? — spytał Dain.

— Otrzymaliśmy w nocy tajny rozkaz, aby zabrać z tej wysepki mężczyznę i kobietę. Oto kobieta. Który z was jest tym mężczyzną?

— Pójdź, rozkoszy mych oczu — rzekł Dain do Niny. — Odtąd twój głos będzie pieścił już tylko moje uszy. Wyrzekłaś ostatnie słowa do *tuana putih*, twego ojca. Pójdź.

Zawahała się chwilę i spojrzała na Almayera, który patrzył nieporuszenie w dal morza. Dotknęła ustami jego czoła w długim pocałunku; łza spadła mu na policzek — jej własna łza — i stoczyła się z nieruchomej twarzy.

— Do widzenia — szepnęła i stała w niepewności, aż pchnął ją nagle w ramiona Daina.

— Jeśli masz litość nade mną — szeptał jak gdyby wyuczone na pamięć zdanie — zabierz tę kobietę.

Stał wyprostowany z podniesioną głową i patrzył, jak szli wzdłuż brzegu w stronę czołna objawszy się ramionami. Spojrzał na ślady ich stóp i odprowadzał wzrokiem postacie oddalające się w surowym blasku południowego słońca, w tym potężnym, drgającym świetle, co jest jak zwycięska fanfara spiżowych tręb. Patrzył na brązowe barki mężczyzny, na czerwony sarong wokół jego bioder, na smukłą, olśniewająco białą postać, która wspierała się na nim. Patrzył na biel sukni, na bogate sploty długich, czarnych włosów. Patrzył, jak wsiadali do czołna, jak łódka stawiała się coraz mniejsza — i serce szalało w nim z wściekłości, rozpacz i żalu, a rysy tchnęły spokojem: wyglądał jak posąg zapomnienia. Rwało się w nim wszystko na strzępy — lecz Ali, który się zbudził i stanął obok niego, ujrzał na jego twarzy bezmyślną obojętność jak u ludzi, co żyją w beznadziejnym spokoju, odcięci od życia przez ślepotę.

Czołno znikło, a Almayer stał wciąż bez ruchu, wpatrzony w ślad na wodzie. Ali ocenił ręką oczy i rozglądał się ciekawie po wybrzeżu. Słońce zniżało się; powiew morski spłynął od północy i zmacił swym tchnieniem gładką tafłę wody.

— Dapat³⁶ — krzyknął wesoło Ali. — Przyjął go, panie! Okręt przyjął go! Nie tam! patrz w stronę Tanah Merah. Aha! tam! Widzisz, panie? O, teraz widać! Widzisz?

Almayer patrzył w kierunku wskazanym przez Alego, ale długi czas nic nie mógł rozróżnić. Wreszcie dostrzegł trójkątną plamkę żółtego światła na czerwonym tle skał Tandjung Merah. Był to żagiel okrętu; zwrócony ku słońcu, odcinał się jaskrawo na ciemnej czerwieni przyładka. Żółty trójkąt pełził zwolna od skały do skały, wreszcie minął przyładek i zajaśniał przez chwilę na błękitnie morskiej dali. Okręt zwrócił się wnet ku południowi; żagiel zagasł i statek znikł w cieniu stromego przyładka, co spoglądał cierpliwie w dal czuwając w samotności nad pustką morza.

Almayer stał wciąż bez ruchu. Wokoło małej wysepki powietrze pełne było gwaru

36 tutaj przyjął go! (mal.)

szemrzącej wody. Czubate, drobne falki wbiegały na brzeg śmiało i radośnie, z młodzieńczą chyżością, i umierały wnet, pełne bezbronnego wdzięku, zostawiając na żółtym piasku kręty szlak przejrzystej piany. Górą żeglowały spiesznie ku południowi białe chmury, jak gdyby w pościgu za czymś. Ali wydawał się niespokojny.

— Panie — odezwał się nieśmiało — czas do domu.

Długa droga przed nami. Wszystko już gotowe.

— Poczekaj — szepnął Almayer.

Teraz gdy już odjechała, pozostawało mu jedno — zapomnieć. Miał dziwne uczucie, że musi tego dokonać systematycznie i stopniowo. Ku wielkiemu przerażeniu Alego padł na kolana i czołgał się po ziemi zacierając starannie rękoma wszystkie ślady stóp Niny. Sypał małe pagórki z piasku, które ciągnęły się za nim aż do wody niby rząd drobniotkich grobów. Pogrzebawszy ostatni nikły ślad pantofelka powstał, obrócił się ku przylądkowi, gdzie widział okręt po raz ostatni, i usiłował krzyknąć w głos, że nigdy jej nie przebaczy. Ali, który śledził go niespokojnie, ujrzał, jak usta jego się poruszają, lecz nie padł z nich ani jeden wyraz. Almayer tupnął gwałtownie o ziemię. Twardym jest człowiekiem, twardym jak skała. A niech ją! niech sobie jedzie. Nie miał nigdy córki. Zapomni o niej. Już nawet zapomina.

Ali zbliżył się znowu, nalegając, aby wyruszyli natychmiast: zgodził się tym razem i poszli obaj w stronę czołna. Almayer szedł naprzód. Mimo całej swej niezłomności wydawał się bardzo słaby i zgnębiony; włókł się powoli przez piasek, a u boku stąpał — niewidzialny — ten osobliwy szatan, którego zadaniem jest jątrzyć pamięć, aby człowiek nie mógł zapomnieć o istotnej treści życia. Szeptał Almayerowi do ucha dziecięcą gadkę sprzed wielu, wielu lat. Almayer przechylił głowę i zdawał się słuchać niewidzialnego towarzysza, ale twarz jego podobna była do twarzy człowieka, który zginął od ciosu zadanego z tyłu. Wyglądał, jak gdyby dłoń niespodzianej śmierci starła mu nagle z twarzy wszelkie uczucia i wszelki wyraz.

Spali tej nocy nad rzeką przywiązawszy czołno do krzaków. Legli na dnie jeden obok drugiego, w ostatecznym wyczerpaniu, co zabija głód, pragnienie, wszelkie czucie i myśl wszelką, a pożąda nieprzeparcie tylko głębokiego snu w którym zatraca się chwilowo zmęczone ciało. Następnego dnia walczyli zawzięcie z prądem przez całe rano; koło południa dotarli do osady i przybili wnet do pomostu Lingarda i Sp. Almayer skierował się wprost do domu, a za nim szedł Ali z wiosłami na ramieniu i rozmyślał, że chętnie by zjadł coś niecoś. Uderzył ich opustoszały wygląd dziedzińca. Ali zaglądał kolejno do domków zamieszkałych przez służbę, wszystkie były puste. W drugim podwórzu zaległa również głucha cisza, nie było na nim znaku życia. Ognisko w szopie kuchennej wygasło i popiół zdążył już ostygnąć.

Wysoki, chudy człowiek wysunął się z bananowego gaju i minął chyłkiem podwórze spoglądając na nich przez ramię wielkimi, wystraszonymi oczami. Pewno jakiś bezpański włóczęga; wielu było takich w osadzie i uważali Almayera za swojego opiekuna. Wtoczyli się i żerowali na jego gruntach wiedząc, że nic im tu nie grozi, co najwyżej grad przekleństw sypnie się z ust białego, gdy wejdą mu w drogę. Lubili Almayera i wielkie pokładali w nim zaufanie, przezywając go „głupim” między sobą. Almayer wszedł do domu przez tylną werandę; jedynym żyjącym stworzeniem, jakie zastał, była małpka, dręczona od dwu dni głodem i samotnością. Spostrzegłszy znajomą twarz zaczęła płakać i skarżyć się w małpim języku. Almayer uspokoił ją kilku słowami i kazał Alemu narwać bananów. Po jego odejściu stanął w drzwiach frontowej werandy i patrzył na kotłowisko poprzewracanych mebli; wreszcie podniósł stół i usiadł na nim. Małpka spuściła się po łańcuchu ze swojej kryjówki i usadowiła się na jego ramieniu. Gdy się zjawiły banany, zabrali się razem do śniadania. Zgłodniali byli oboje, jedli chciwie i niedbale rzucali łupiny na ziemię, złączeni ufnym porozumieniem i serdeczną przyjaźnią. Ali poszedł ugotować trochę ryżu zrzędząc pod nosem, gdyż nie było w domu ani jednej kobiety; nie miał pojęcia, gdzie się podziały. Almayer zdawał się nie dbać o nic: skończywszy jeść siedział wciąż na stole machając nogami i wlepił oczy w rzekę, zatopiony w myślach.

Po jakimś czasie wstał i podszedł do drzwi pokoju leżącego na prawo od werandy. Było to biuro: „Biuro Lingard i Sp.” Wchodził tam bardzo rzadko. Nie prowadził żadnych interesów i nie potrzebował już biura. Drzwi były zamknięte, stał i zastanawiał się gryząc wargi, gdzie też może się znajdować klucz. Nagle przypomniał sobie: wisi na gwoździu w pokoju kobiet. Zbliżył się do wejścia zasłoniętego czerwoną firanką zwisającą w nieruchomych fałdach; zawahał się chwilę, wreszcie pchnął zasłonę ramieniem, jakby to była jakaś ciężka zaporą. Przez okno wpadał wielki czworokąt słonecznego blasku i kładł się na podłogę. Na lewo stała drewniana skrzynia pani Almayer, pusta, z odrzuconym wiekiem; tuż obok błyszczwały miedziane gwoździe, którymi był nabity europejski kufer Niny, tworząc na wierzchu dwie duże litery: N.A. Kilka sukien Niny wisiało na drewnianych kołkach przybrawszy w swym opuszczeniu sztywny wygląd urażonej godności. Przypomniał sobie, że sam te kołki wystrugał, i zauważył, że bardzo są porządne. Gdzież ten klucz? Rozejrzał się i zobaczył, że wisi obok drzwi. Czerwony był od rdzy. Zmartwił się, lecz wnet się opamiętał i zdziwił, że go to obeszło. Cóż to szkodzi? Wkrótce nie będzie już ani klucza, ani drzwi, ani niczego. Zatrzymał się z kluczem w ręku; czy też zdaje sobie sprawę, do czego właściwie zmierza? Wrócił na werandę i stanął w zamyśleniu obok stołu. Małpka zeskoczyła z jego ramienia, chwyciła łupinę leżącą na podłodze i jąła pracowicie drzeć ją na kawałki.

— Zapomnieć! — wyszeptał Almayer. Ten wyraz poruszył w jego świadomości cały łańcuch wypadków; ujrzał dokładny plan tego, co trzeba wykonać. Wiedział już doskonale, co ma zrobić. Naprzód to, potem tamto — a potem zapomnienie już łatwo przyjdzie. Bardzo łatwo! Opętała go myśl, że jeśli nie zapomni przed śmiercią, będzie musiał pamiętać przez całą wieczność. Musi wyrwać z życia pewne rzeczy, zdeptać, zniweczyć, zapomnieć. Długi czas stał zatopiony w myślach, pochłonięty przerażającymi możliwościami niewyciężonej pamięci. Czuł coraz wyraźniej wiszącą nad nim grozę śmierci i wieczności. — Wieczność! — rzekł głośno. Dźwięk tego słowa wyrwał go z zadumy. Małpka drgnęła i upuściła łupinę wykrzywając się do niego przyjaźnie.

Zbliżył się do drzwi biura, otworzył je z niejaką trudnością i wszedł podnosząc tuman kurzu. Otwarte księgi o podartych stronicach walały się po podłodze, inne zaś, brudne i czarne, wyglądały, jakby ich nigdy nikt nie otwierał. To księgi rachunkowe. W tych księgach zamierzał spisywać dzień po dniu swoje wzrastające bogactwa. Było to dawno, bardzo dawno! Przez wiele lat nie skreślił ani słowa na tych kartkach pociętych czerwonymi i niebieskimi liniami. Wielkie biurko o złamanej nodze, stojące w środku pokoju, chyliło się na bok jak kadłub okrętu osiadłego na mieliźnie; wszystkie prawie szuflady powylały, wysypując stosy papieru pożółkłego od starości i brudu. Obracające się krzesło stało na swym zwykłym miejscu, lecz kiedy go dotknął, okazało się, że nie kręci się już wcale. A niech tam! Dał za wygraną i wodził z wolna oczami od przedmiotu do przedmiotu. Ileż to pochłonęło kiedyś pieniędzy! A teraz wszystkie te rzeczy — biurko, papiery, podarte książki, połamane półki — wszystko to wygląda pod grubą warstwą pyłu jak szkielet i prochy martwego warsztatu pracy. Oto co pozostało po tylu latach trudu, walki, znużenia i zniechęcenia, które tylekroć przewyciężał. I na co to wszystko? Rozmyślał ponuro o swej przeszłości, gdy nagle usłyszał wyraźnie jasny głosik dziecięcy szczebiocący wśród tej ruiny i spustoszenia. Wzdrygnął się z przerażeniem i gorączkowo jął zgarniać papiery rozsypane po podłodze. Połamał krzesło na kawałki, roztrzaskał szuflady o biurko i z wszystkich szczątków i rupieci ułożył wielki stos w rogu pokoju.

Wrócił prędko na werandę trzasnąwszy drzwiami, zamknął je na klucz, wyjął go, pobiegł ku balustradzie i z rozmachem cisnął w rzekę, aż zagwizdało w powietrzu. Potem podszedł z wolna do stołu i zawołał na małpkę, odczepiwszy łańcuch przygarnął ją do piersi i otulił kurtką. Siadł na stole i wlepił wzrok we drzwi pokoju, z którego wyszedł przed chwilą. Nasłuchiwał bacznie. Posłyszał suchy szelest, potem ostry trzask jak od pęknięcia suchego drzewa, wreszcie jak gdyby trzepot skrzydeł zrywającego się nagle ptaka. Przez dziurkę od klucza jęła się wydobywać cienka struga dymu. Małpka szarpała się pod kurtką. Wpadł Ali z

oczami rozszerzonymi przerażeniem.

— Panie! dom się pali — krzyknął.

Almayer wstał trzymając się stołu. Krzyki lęku i zdumienia niosły się od osady. Ali załamał ręce głośno lamentując.

— Cicho, głupcze — rzekł spokojnie Almayer. — Weź mój hamak i kołdry i zanieś je do drugiego domu. No, prędko.

Dym buchał już przez szpary podłogi. Ali porwał hamak i jednym susem znalazł się u stóp werandy.

— Zajął się dobrze — mruknął Almayer. — Spokojnie, Jack! — zwrócił się do małpki, która szarpała się rozpaczliwie, chcąc wyrwać się z swego zamknięcia.

Drzwi pękły od góry do dołu, buchnął ogień i dym, wypierając Almayera aż do balustrady. Wytrwał tam, dopóki potężny huk nad głową nie dał znać, że dach jest w płomieniach. Wówczas zbiegł ze schodów krztusząc się dymem, który ścigał go i czepiał się niebieskawym wieńcem jego włosów.

Po drugiej stronie rowu, oddzielającego podwórze Almayera od osady, tłum mieszkańców Sembiru gapił się na płonący dom białego. W spokojnym powietrzu bladeceglaste płomienie strzelały wysoko, mieniając się fioletem w jaskrawym słońcu. Cienka kolumna dymu wznosiła się prosto i równo w górę i gubiła w jasnym błękicie. W wielkiej, pustej przestrzeni między dwoma domami zainteresowani widzowie mogli dostrzec wyniosłą postać białego, wlokącą się ze spuszczoną głową w kierunku „Szaleństwa Almayera”.

Tak więc Almayer przeniósł się do nowego domu. Objął w posiadanie świeżą ruinę i w upartym szaleństwie swego serca czekał z niepokojem i udręką na zapomnienie, które wciąż jeszcze nie przychodziło. Uczynił wszystko, co tylko mógł. Zniweczył wszelki ślad istnienia Niny, a teraz pytał siebie każdego rana, czy zapomnienie przyjdzie przed wieczorem, czy w ogóle przyjdzie przed śmiercią. Pragnął żyć tylko tak długo, aby móc zapomnieć. Uporczywość pamięci napełniała go przerażeniem i odrazą do śmierci. Jeśli umrze, zanim cel jego życia zostanie osiągnięty, będzie musiał pamiętać na wieki! Tęsknił także za samotnością — ale na próżno. W półmroku pokoi — przy zamkniętych okiennicach, w jasnym blasku słońca na werandzie, gdziekolwiek poszedł, gdziekolwiek się obrócił, wszędzie widział drobną postać dziewczynki o ładnej, ciemnej twarzyczce i długich, czarnych włosach. Różowa sukienka zsuwała jej się z ramionek, a wielkie oczy spoglądały ku niemu z tkliwą ufnością pieszczonego dziecka. Ali nic wprawdzie nie widział, ale zdawał sobie sprawę, że w domu jest dziecko. Odwiedzając znajomych w osadzie wiódł nieraz długie rozmowy u ognisk, wieczornych i opowiadał zaufanym przyjaciołom o dziwnym zachowaniu się Almayera. Pan

jego stał się czarownikiem na stare lata. Gdy *tuan putih* pójdzie już spać, słyhać często, jak rozmawia z kimś w swoim pokoju. Alemu zdaje się, że to duch zaklęty w kształt dziecka. Poznaje to po niektórych słowach i wyrażeniach. Pan mówi niekiedy po malajsku, ale częściej po angielsku; Ali rozumie po angielsku. Czasem pan jest czuły dla dziecka, czasem płacze nad nim, to znów śmieje się, błaga, aby sobie odeszło — przeklina je nawet. Jest to duch zły i uparty. Ali przypuszcza, że pan wywołał go nierozważnie, a teraz nie może się go pozbyć. Pan jest bardzo odważny: nie boi się rzucać przekleństw na ducha, a raz to walczył z nim nawet! Ali usłyszał wielki hałas i bieganie po pokojach, i jęki. To jego pan jęczał, duchy nie jęczą. Pan jest bardzo odważny, lecz głupi. Przecież ducha zranić nie można. Ali spodziewał się, że na drugi dzień znajdzie pana nieżywego, ale nie. Pan wstał bardzo rano, wyglądał znacznie starszej niż przedtem i przez cały dzień nic nie jadł.

Oto co rozповідаł Ali w osadzie. Z kapitanem Fordem był daleko rozmowniejszy dla tej prostej przyczyny, że kapitan Ford miał pieniądze i wydawał rozkazy. Za każdą bytnością Forda, który przyjeżdżał co miesiąc, Ali zjawiał się na pokładzie z raportem o mieszkańcu „Szaleństwa Almayera”. Przybywszy do Sembiru po wyjeździe Niny, Ford zajął się interesami Almayera. Nie przedstawiało to wielkich trudności. Szopa, gdzie chowano zapasy, była pusta, a łódki znikły, rozkradzione nocą przez różnych sembirskich obywateli łaknących środków przewozowych. W czasie wielkiego wylewu pomost Lingarda i Sp. opuścił wybrzeże i popłynął w dół rzeki, szukając snadź weselszego otoczenia; nawet stado gęsi — „jedynych gęsi na całym wschodnim wybrzeżu” — wyruszyło w świat przekładając nieznaną niebezpieczeństwa czyhające w lesie nad opustoszałą siedzibę. Z czasem trawa porosła czarny płat ziemi, gdzie przedtem stał dom Almayera, i nie zostało ani śladu z budynku, który chronił młodzieńcze jego nadzieje, niemądre marzenia o wspaniałej przyszłości, ocknięcie się jego i rozpacz.

Ford rzadko odwiedzał Almayera, bo nie należało to wcale do przyjemności. Almayer odpowiadał obojętnie na hałaśliwe zapytania o jego zdrowie, usiłował nawet rozmawiać i pytał o nowiny, ale czuć było z jego głosu, że nie ma na tym świecie nowiny, która by mogła go obejść. Z czasem stawał się coraz bardziej milczący, nie na ponuro, ale jak gdyby zapominał stopniowo mówić. Krył się w najciemniejszych zakątkach, gdzie Ford musiał go wyszukiwać kierując się tupotem małpki, która biegła naprzód. Małpka zjawiała się zawsze na powitanie Forda. Zwierzątko objęło najformalniejszą opiekę nad Almayerem; kiedy chciało, aby zjawił się na werandzie, ciągnęło go wytrwale za kurtkę, póki nie wyszedł posłusznie w blask słońca, którego zdawał się tak bardzo nie lubić.

Pewnego ranka Ford zastał go siedzącego na podłodze werandy z plecami opartymi o

ścianę; nogi jego wyciągnięte były sztywno, a ręce zwisły bezwładnie. Twarz pozbawiona wyrazu, rozwarła szeroko oczy o nieruchomych źrenicach i sztywność pozy czyniły go podobnym do olbrzymiego pajaca, którego ktoś zepsuł i porzucił. Usłyszał kroki Forda i z wolna obrócił ku niemu głowę.

— Ford — szepnął do niego z podłogi — ja nie mogę zapomnieć.

— Doprawdy? — zapytał dobrodusznie Ford usiłując być jowialnym — chciałbym to samo o sobie powiedzieć. Co do mnie, tracę zupełnie pamięć, nie ma rady, starość! Parę dni temu mój pomocnik...

Zamilkł, Almayer dźwignął się z ziemi, ale potknął się i wsparł na ramieniu przyjaciela.

— Oho, dzisiaj lepiej się czujesz. Wkrótce przyjdiesz zupełnie do siebie — rzekł wesoło Ford kryjąc łęk.

Almayer puścił jego łamię i stał wyprostowany z głową podniesioną i odrzuconymi w tył ramionami. Patrzył kamiennym wzrokiem na niezliczone mnóstwo słońc jaśniejących w falach rzeki. Kurtka jego i luźne spodnie trzepotały się w wietrze na wychudłych członkach.

— Niech jedzie! — wyszeptał ochryplym głosem. — Niech sobie jedzie. Jutro o niej zapomnę. Jestem człowiekiem twardym, twardym jak skała... jak...

Ford spojrzał mu w twarz — i uciekł. Kapitan był sam człowiekiem wytrzymałym — o czym mogą zaświadczyć ci, co z nim żeglowali, ale hart Almayera był ponad jego siły.

Gdy Ford przybył następnym razem do Sembiru, Ali przyszedł się poskarżyć. Żalił się przed Fordem, że Chińczyk Djim Eng wtargnął do domu Almayera i mieszka tam już od miesiąca.

— I obaj palą — dodał Ali.

Ford gwizdnął przeciągle.

— Opium?

Ali skinął głową. Ford zamyślił się głęboko i mruknął: „Biedak! teraz już im prędzej, tym lepiej.” Po południu poszedł do Almayera.

— Co tu robisz? — spytał Chińczyka, który wałęsał się po werandzie.

Djim Eng wytłumaczył mu po malajsku monotonnym, bezbarwnym głosem cechującym długoletnich palaczy opium, że własny jego dom jest stary, dach zacieka, a podłoga butwieje. Więc jako dawny przyjaciel sprzed wielu, wielu lat, zabrał swoje pieniądze, opium, dwie fajki i zamieszkał w wielkim domu.

— Tutaj dużo jest miejsca. On pali, a ja tu mieszkam.

Nie będzie palił długo — dodał.

— Gdzież on jest? — spytał Ford.

— W swoim pokoju. Śpi teraz — odpowiedział ociężale Djim Eng.

Ford zajrzał przez drzwi. Dostrzegł w półcieniu Almayera leżącego na wznak na podłodze, z głową wspartą o drewnianą poduszkę. Długa biała broda pokrywała mu piersi, cera pożółkła, a spod przymkniętych powiek wyglądały białka...

Ford wzdrygnął się i odwrócił. Wychodząc zauważył długi pas czerwonego spłowiałego jedwabiu pokryty chińskimi głoskami. Djim Eng przymocował go właśnie do jednego ze słupów werandy.

— Co to takiego? — spytał.

— To jest nazwa tego domu — odrzekł Chińczyk bezbarwnym głosem. — Mój dom tak samo się nazywa. Bardzo dobra nazwa.

Ford popatrzył na niego i odszedł. Nie wiedział, co znaczy wariacki labirynt z chińskich liter na tle czerwonego jedwabiu. Gdyby był spytał Djim Enga, cierpliwy Chińczyk wytłumaczyłby z należytą dumą, że napis brzmi: „Dom Niebiańskiej Rozkoszy”.

Tegoż dnia wieczorem Babalatji przyszedł w odwiedziny do kapitana Forda. Drzwi od kajuty wychodziły na pokład; na wysokim progu siedział okrakiem Babalatji, a Ford palił fajkę, wyciągnięty na tapczanie. Parowiec odpływał już nazajutrz rano i stary dyplomata przyszedł jak zwykle na ostatnią pogawędkę.

— Mieliśmy wieści z Bali w ostatnim miesiącu — zauważył Babalatji. — Wnuk urodził się staremu radzy i wielka tam radość.

Ford usiadł, zaciekawiony.

— Tak — rzekł Babalatji odpowiadając na pytające jego spojrzenie. — Powiedziałem mu. To było, nim zaczął palić.

— No i co? — pytał Ford.

— Uszedłem z życiem — ciągnął poważnie Babalatji — ponieważ biały człowiek jest bardzo słaby i upadł rzucając się na mnie. — Po chwili dodał: — Ona szaleje z radości.

— Almayerowa?

— Tak. Mieszka w domu naszego radzy. Ona nieprędko umrze. Takie kobiety żyją długo — rzekł Babalatji z odcieniem żalu w głosie. — Zakopała swoje dolary, ale wiemy, w jakim miejscu. Dużo było kłopotu z tymi ludźmi. Musieliśmy zapłacić karę i słuchać gróźb białych ludzi. Trzeba być teraz ostrożnym. Westchnął i zamilkł, lecz po chwili podjął znów z energią:

— Będzie wojna! Tehnienie walki wieje przez wyspy. Czy jeszcze dożyję?... Ach, tuanie — ciągnął już spokojniej — stare czasy były najlepsze! Nawet ja żeglowałem z

wojownikami z plemienia Lanun i napadaliśmy w nocy na ciche okręty z białymi żaglami. To było jeszcze, nim angielski radża zaczął rządzić w Kutjingu. Walczyliśmy między sobą i byliśmy szczęśliwi. Teraz, kiedy walczymy z wami, czeka nas tylko śmierć!

Powstał zabierając się do odejścia. — Tuanie — rzekł — czy pamiętasz niewolnicę Bulangiego? Tę, co narobiła całego tego kłopotu?

— Pamiętam. Co się z nią stało?

— Wychudła bardzo i nie mogła pracować. Wtedy Bulangi, który jest złodziej i zjadacz świńskiego mięsa, odstąpił mi ją za pięćdziesiąt dolarów. Umieściłem ją wśród moich kobiet, aby stała się tłusta. Pragnąłem usłyszeć jej śmiech, lecz widać urzekł ją ktoś... i parę dni temu... umarła. Nie, tuanie! Czemu mówisz złe słowa? Stary jestem, to prawda, ale dlaczego nie miałbym pragnąć widoku młodej twarzy i dźwięku młodego głosu w moim domu? — Urwał i zaśmiał się ponuro, dodając:

— Jestem jak biały człowiek, mówię wiele o tym, co nie powinno znajdować się na ustach mężczyzn, gdy rozmawiają ze sobą.

I odszedł zgnębiony.

*

Milczący, rozkołysany tłum, zbity w półkole u schodów „Szaleństwa Almayera”, rozwarł się przed gromadką biało odzianych ludzi w turbanach, którzy szli przez trawę ku domowi. Abdulla postępował naprzód wspierając się na Reszydzie, a za nim kroczyli wszyscy Arabowie z Sembiru. Gdy weszli w szpaler kornego tłumy, podniósł się stłumiony gwar, wśród którego można było wyraźnie rozróżnić jedno jedyne słowo: *mati*³⁷ Abdulla przystanął i rozejrzał się powoli.

— Nie żyje? — spytał.

— Obyś żył wiecznie! — odkrzyknął tłum jednogłośnie, po czym nastąpiła głucha cisza

Abdulla postąpił kilka kroków i znalazł się po raz ostatni twarzą w twarz z dawnym swym wrogiem. Czymkolwiek mógł być niegdyś, teraz nie był już groźny: leżał sztywny i martwy w bladym świetle wczesnego ranka. Jedyne białe ciało na wschodnim wybrzeżu już nie żyło, a jego duch, wyzwolony z więzów ziemskiej ułudy, stanął przed Nieskończoną Mądrością. Twarz jego, zwróconą ku niebu, przyobłócił spokój, jaki zjawia się po nagłym ustąpieniu udręki i bólu. Pogodne oblicze świadczyło bez słów wobec czystych niebios, że ten

37 tutaj nie żyje! (mal.)

człowiek, leżący pod obojętnym wzrokiem tłumu, doznał przed śmiercią łaski zapomnienia.

Abdulla patrzył smutnie na niewiernego, z którym walczył tak długo, którego tylekroć zwyciężał. Prawowierny wyznawca został wynagrodzony! A jednak w starym sercu Araba drgnęło uczucie żalu za tym, co odeszło z jego życia wraz z śmiercią białego. Znikali przyjaciele i wrogowie, mijały tryumfy i zawody — wszystko, co składa się na życie; przed nim był już tylko kres. Modlitwa wypełni ostatek dni wydzielonych prawowiernemu. Ujął różaniec wiszący u pasa.

— Znalazłem go tak dziś rano — rzekł Ali cichym i wylękłym głosem.

Abdulla spojrział chłodno raz jeszcze na pogodne oblicze.

— Chodźmy — zwrócił się do Reszyda.

Gdy szli przez tłum, który cofnął się przed nimi, paciorki różańca stuknęły o siebie w dłoni Abdulli, a wargi jego uroczystym szeptem pobożnie wymówiły imię Allaha, który jest łaski pełen i miłosierdzia!

KONIEC

POSŁOWIE

I

Latem 1847 r. w podolskim majątku Koryna dwudziestosiemioletni Apollon Korzeniowski poznał młodszą od siebie o lat jedenaście, a już słynną z urody pannę Ewelinę Bobrowską. Poznał i — jak to wówczas było w modzie — zakochał się natychmiast. Oboje pochodzili z rodzin dobrze skoligaconych, ale panna posiadała i niezły posąg, a Apollon, jak przystało na młodego adepta sztuki poetyckiej, był goły. Co więcej, radykalnie demokratyczne przekonania, zapalczliwość i skłonność do weredycznego sarkazmu urobiły mu opinię zdecydowanego dziwaka. (Swoją ówczesną sytuację przedstawił później Korzeniowski wiernie w doskonałej *Komedii*, przypominanej niedawno na kilku polskich scenach.)

Nie pomagało to w konkurach — mimo że Korzeniowski zaprzyjaźnił się serdecznie z braćmi panny Eweliny. Dopiero w dziewięć lat później, 28 kwietnia 1856 roku, udało się panu Apollonowi — który tymczasem stał się literatem w prawdziwym tego słowa znaczeniu — przewyciężyć wszystkie opory i wziąć ślub z ukochaną. Dnia 3 grudnia 1857 roku w Berdyczowie urodził im się jedyny syn, Józef Teodor Konrad Nałęcz—Korzeniowski, późniejszy wielki pisarz o przedziwnym życiorysie i wybitnie oryginalnej twórczości.

Pierwsze lata dzieciństwa Józefa Conrada były burzliwe — podobnie jak burzliwe było wówczas życie jego narodu. Apollon Korzeniowski, ironizujący poeta, nie stronił od życia społecznego i politycznego, był aktywnym działaczem patriotycznym. W celu wzięcia żywszego udziału w pracy politycznej i przygotowaniach powstańczych wyjechał na wiosnę 86 roku do Warszawy. Tam mieszkanie Korzeniowskich stało się punktem zbornym dla konspiratorów. Brat matki Konrada Stefan Bobrowski był jednym z najbardziej czynnych i najradykalniejszych przywódców Czerwonych.

Działalność Apollona Korzeniowskiego została jednak szybko przerwana. 21 października 1861 roku aresztowano go i osadzono w Cytadeli. Wydany wyrok skazywał go na zesłanie do Permu i dnia 8 maja 1862 roku Korzeniowskiego wraz z żoną — która postanowiła dzielić losy wygnańca — i małym Konradem wywieziono z Warszawy. W drodze zmieniono im miejsce przeznaczenia na Wołogdę.

Już w czasie podróży pani Ewelina chorowała poważnie, a w Wołogdzie jej stan zdrowia tak się pogorszył, że w lecie 1863 r. pozwolono zesłańcom przenieść się do

Czernihowa w gub. kijowskiej, a samej Korzeniowskiej z synem udzielono nawet trzymiesięcznego „urlopu”. Nie oznaczało to jednak końca represji, a ponure wieści z powstańczego placu boju (na którym padł jeden z braci Apollona) jeszcze bardziej przygnębiały rodziców małego Konrada.

Ewelina Korzeniowska zmarła w Czernihowie u kwietnia 1865 roku. Ta śmierć załamała ostatecznie Apollona. Odesłał syna do brata żony Tadeusza Bobrowskiego, do majątku Nowofastów na Ukrainie. Zobaczył go dopiero po powrocie z wygnania w grudniu 1867 r. Wraz z synem pojechał do Lwowa, a później do Krakowa, gdzie wkrótce (3 maja 1869 r.) zmarł.

Dwunastoletnim Konradem, wówczas uczniem krakowskiego liceum Św. Anny, zaopiekował się wuj, Tadeusz Bobrowski. Opiekun był człowiekiem kulturalnym, dość zamożnym i bardzo serdecznym dla siostrzeńca, sieroty. Do jego wychowania podchodził rozsądnie. Mały Konrad miał stale pamiętać o obowiązku wytrwałej nauki i pracy: „bo mężczyzna, który nic gruntownie nie umie, nie ma mocy charakteru i wytrwałości, nie umie sam pracować i kierować sobą, przestaje być mężczyzną, a staje się lalką do niczego nie przydatną!” — pisał do chłopca w liście oznajmiającym przejęcie opieki nad nim. Te proste dewizy zostały na zawsze częścią światopoglądu Conrada.

Chęć obrania zawodu marynarza obudziła się w przyszłym kapitanie floty brytyjskiej dość wcześnie, być może, pod wpływem dokonanego przez ojca przekładu *Pracowników morza* Wiktora Hugo. Rodzina jednak i opiekunowie traktowali ten niebywały podówczas projekt jako dziecinną ekstrawagancję.

Konrad nie ustępował, a nieodwołalną decyzję w tej mierze powziął nieoczekiwanie w czasie wakacyjnej wędrowki po Szwajcarii w roku 1873. Moment ostatecznego utwierdzenia się w dziwnym dla wszystkich zamiarze opisał później równie szczegółowo jak dowcipnie w uroczej książce *Ze wspomnień*.

„Ludzie byli ciekawi — pisze w niej — co też pan Tadeusz Bobrowski pocnie ze swym nieznośnym siostrzeńcem, i spodziewali się dobrotliwie, że przemówi mi skutecznie do rozumu.” Tymczasem wuj miał — po raz pierwszy, ale nie ostatni — zademonstrować swoją niezwykłą na owe czasy tolerancję i niezwykle wycucie psychologiczne, połączone z prawdziwą serdecznością. Zgodził się na wybrany przez wychowanka zawód i zobowiązał wypłacać mu do dwudziestego czwartego roku życia pokaźną pensję w wysokości 2000 franków rocznie.

Biografowie podejrzewają, że na upór młodego Korzeniowskiego wpłynęła jakaś, dość tajemnicza, nieszczęśliwa miłość w Krakowie. W listach i pismach Conrada znajdujemy

parę aluzji na ten temat — trudno jednak wysnuć na ich podstawie jakieś realniejsze wnioski.

14 października 1874 roku, żegnany łzami przez rodzinę, uparty zwolennik żeglarstwa opuścił Kraków, udając się do Marsylii. Służyć w marynarce rosyjskiej czy niemieckiej oczywiście nie chciał. Nie godził się także na proponowane przez rodzinę — jako kompromis — wstąpienie do austriackiej szkoły morskiej. Francja narzucała się sama: „W każdym razie znałem język, a ze wszystkich krajów w Europie Francja jest tym, z którym Polska ma najwięcej wspólnego.”

Jaki bagaż umysłowy zabierał ze sobą siedemnastoletni Korzeniowski w daleką i niepowrotną drogę? Niewątpliwie wchodziła w jego skład szczerą miłość do kraju ojczystego, kult obowiązku i wierności wbrew wszelkim przeszkodom — cechy, które wpoić weń mógł przykład najbliższej rodziny. Ojciec rozbudzał w nim zainteresowania literackie — później nawet w okresach wytężonej pracy zawodowej Korzeniowski-żeglarz czytał bardzo wiele. *Dwaj panowie z Werony* Szekspira w ojcowskim przekładzie to pierwsza książka z literatury angielskiej, jaką poznał jej przyszły współtwórca. Najbliżej jednak zżyty był — o ile można sądzić z nielicznych istniejących danych — z polską literaturą romantyczną, zwłaszcza z Mickiewiczem. Szczególnie lubił *Konrada Wallenroda*. Ten czynnik romantyczno-poetycki w wychowaniu Conrada zasługuje na pamięć i uwagę.

*

„W Marsylii — pisał Conrad w roku 1905 do Galsworthy’ego — rozpocząłem życie trzydzieści jeden lat temu! Tam właśnie szczęście otworzyło oczy.” Marsylia stała się na przeciąg czterech lat macierzystym portem „kandydata na admirała”, jak żartobliwie pisał wuj Tadeusz. Tu poznawał pierwsze tajniki rzemiosła żeglarskiego od miejscowych marynarzy — pilotów, stąd wypływał na pierwsze podróże, między innymi na Martynikę i do Ameryki Środkowej, tu wreszcie przeżył swą wielką przygodę miłosną (opisaną w *Złotej strzale*), zakończoną pojedynkiem i raną.

Obracał się w dwu różnych środowiskach: wśród rybaków, pilotów i marynarzy prowansalskich — i w arystokratycznych kołach rojalistów francuskich i hiszpańskich.

Kontakty z rojalistami były natury raczej romansowej niż ideologicznej. Pociąg do niebezpiecznych przygód z przemycaaniem broni do Hiszpanii i piękne oczy tajemniczej doni Rity odegrały zasadniczą rolę we wciągnięciu młodego Polaka do akcji karlistowskiej.

Z drugim środowiskiem łączyło go umiłowanie zawodu, paląca ciekawość morza i

sztuki żeglarskiej. Podczas drugiej podróży na Martynikę (10 lipiec 1876 — 15 luty 1877), odbytej na statku „Saint–Antoine”, zaprzyjaźnił się Conrad z jednym z oficerów: wspaniałym Korsykańczykiem imieniem Domenico Cervoni. Stał się on pierwowzorem szeregu charakterystycznych postaci Conradowskich: Nostroma, Toma Lingarda, Jeana Peyrola, Attilia w *Suspense*³⁸ pojawia się także na kartach *Zwierciadła morza* i *Złotej strzały*.

Udział w „wywrotowych” poczynaniach arystokracji hiszpańskiej dezorganizował wyraźnie tryb życia naszego adepta marynarki. Listy do wuja — o ile sądzić można z dochoowanych odpowiedzi — pełne były próśb o nowe zasiłki pieniężne. Wuj wzdraga się, napomina, narzeka na trudności i nieurodzaje, przestrzega przed lekkomyślnym szafowaniem frankami — ale w końcu zawsze przebacza (po raz ostatni!) i żądane sumy przesyła.

Jednak zawadiacki siostrzeniec, w którym raz po raz odzywa się, jak z lekką ironią zauważa Bobrowski, burzliwa krew Nałęczów, przygotowuje biednemu wujaszкови nową niespodziankę. W końcu lutego 1878 roku otrzymuje on telegram z wiadomością, że Conrad jest ranny. Spieszy do Marsylii, znajduje pojedykowicza już na nogach, ale z pustą kieszenią i po uszy zadłużonego. Wuj płaci za wszystko, ale nie może już dłużej pobłażać lekkomyślności wychowanka. W jednym z listów, najsurowszym z dochoowanych siedemdziesięciu, udziela mu ostrego monitu: „Zastanów się, proszę, jeżeliś jeszcze do tego zdolny, nad tym, coś tego roku nabroił — i powiedz sam, czybyś mógł się spotkać nawet u rodzzonego ojca z taką cierpliwością i pobłażaniem jak moje i czy granica ich nie powinna by się już wyczerpać.”

Sam Conrad ma już zresztą dość Marsylii i postanawia zerwać z dotychczasowym otoczeniem. Ale owe cztery lata wywarły niezatarty wpływ na jego rozwój psychiczny i pogląd na świat. Do końca życia zachował szczególną sympatię dla ludów romańskich: Francuzów, Hiszpanów, Włochów. Pojęcie honoru marynarza, tak dla niego charakterystyczne, w tym okresie zapewne zostało ukształtowane. Tak uderzająca w pismach Conrada wstrzemięźliwość i romantyzm w traktowaniu miłości — nasuwają nam na myśli, obok poetyckiej tradycji romantyzmu, ową Hiszpankę, uwiecznioną w *Złotej strzale* jako doma Rita. Swoboda, z jaką porusza się Conrad zarówno wśród prostych marynarzy, jak i wśród południowo—francuskich „wyższych sfer”, jest też charakterystyczna dla poczynającej się wówczas u niego zatraty poczucia więzi z jakąś określoną grupą społeczną. Z pochodzenia ziemianin polski, pracował na statkach jako prosty majtek—praktykant, jednocześnie zaś obracał się wśród karlistowskiej arystokracji. Oderwany od własnego podłoża narodowego, na zawsze już zachował pewną dwoistość widzenia świata; oczyma prostego „pracownika

38 *Suspense* — (Oczekiwanie—Zawieszenie) ostatnia, nie dokończona powieść Conrada.,

morza” i oczyma zdeklasowanego szlachcica. Pierwsza postawa, trzeba przyznać, przeważała na ogół, a przeważnie stapiały się w jeden przedziwny i urzekający amalgamat.

*

24 kwietnia 1878 roku Conrad zaciąga się po raz pierwszy na statek brytyjski. Jest to parowiec „Mavis”. Odtąd na wiele lat Londyn staje się stałym punktem zaczepienia i tutaj też zdobywa kolejno stopnie oficerskie w marynarce handlowej.

Na razie Conrad jest zupełnie niezdecydowany co do swych dalszych losów i listy Tadeusza Bobrowskiego pełne są napomnień o coraz to nowych projektach młodego włóczęgi. Zamierzał kolejno przyjąć obywatelstwo francuskie, szwajcarskie, amerykańskie, angielskie (będąc poddanym rosyjskim nie mógł powrócić do kraju z obawy przed służbą wojskową), a nawet uchwycić się posady u businessmana i polityka amerykańskiego nazwiskiem Lascalle. Wiele trudności przysporzyła mu słaba znajomość angielskiego.

Na domiar kłopotów przeprowadzka do ziemiejszego Albionu i częstsze teraz podróże w małym tylko stopniu wpływają na unormowanie wydatków Conrada — i to mimo podwyższenia pensji do 2400 fr. Wuj wspomina o tym ze świetnym humorem: „Widzę, że zbliżająca się pora otrzymania pensji wprawia Cię w stan gorączkowy — który bym nazwał «gorączką otrzymania». Ja wyznam Ci szczerze, że tej «gorączki dania» nie doświadczam i spokojnie pory połknięcia tej pigułki, dla mojej kieszeni jeszcze pewne rozwolnienie sprawiałej — oczekuję. Jeżeli Ty teraz masz gorączkę, nim otrzymasz marny kruszec — to ja będę ją miał, nim się dowiem, jak go użyłeś. — Przeto napisz mi, Panie Brade, o projektach i decyzji swojej, a i później nie zapominaj o słudze swym i listownie go zasilaj wśród pracy o utrzymanie Twoje. Ściskam Cię setnie i błogosławię.” Poczciwy wuj zrządził, ale pensję, co prawda obniżoną na życzenie Conrada do połowy, wypłacał jeszcze przez długie lata i ratował siostrzeńca w każdej potrzebie.

Zresztą już w czerwcu 1880 r. Korzeniowski zdaje egzamin na najniższy stopień oficerski w angielskiej marynarce handlowej (*3rd mate*³⁹) i jego droga życiowa zaczyna się powoli wyprostowywać. Odtąd przez lat czternaście będzie pracował jako oficer marynarki uszczęśliwiając opiekuna postęпами w karierze. Stosunek wuja do siostrzeńca imienia się z latami w trwałą przyjaźń.

Pierwszą „oficerską” podróż odbył do Australii, na pokładzie żaglowca „Loch Etive”

39 trzeci oficer (ang.)

(21 sierpień 1880 — 25 kwiecień 1881), pod dowództwem kapitana Stuarta, uwiecznionego jako kapitan S. w rozdziale „Pajęczyny i babie lato” *Zwierciadła morza*. Później nastąpiła paromiesięczna przerwa w podróżach, wypełniona snuciem rozlicznych projektów, mocno niepokojących wuja niestałością, i przygotowywaniem się do następnego egzaminu oficerskiego.

W tym samym czasie Bobrowski zaproponował Conradowi pisanie korespondencji do warszawskiego „Wędrowca”. „Ponieważ, dzięki Bogu, po polsku nie zapominasz... a piszesz niezgorzej — ja znowu wracam do tego, com Ci kiedyś już pisał i mówił: że dobrze byś zrobił, pisując korespondencje do «Wędrowca» w Warszawie. ...Pomyśl o tym, Panie Bracie, ułóż jakie wspomnienia z podróży australijskiej i poszlij na próbę...” Conrad nie zareagował na to wezwanie, pochłonięty był, widać, wciąż całkowicie zawodem marynarza i powołanie pisarskie jeszcze się w nim nie rozbudziło. Na pewno jednak nie powodowała nim obojętność dla kraju, bo w innym liście Bobrowskiego z tegoż okresu czytamy: „widzę że Cię, sprawy narodowe zajmują i nie o nich myślisz pomimo oddalenia”.

Tymczasem Conrad szukał uporczywie jakiejś posady — co nie przychodziło łatwo — i wreszcie zaciągnął się, już jako drugi oficer, na niewielką (425 ton) barcę „Palestyna”, unieśmiertelnioną później jako „Judea” w noweli *Młodość*.

Stateczek był stary i dziurawy, a perypetie z ostatecznym wyprawieniem go w podróż do Bangkoku przeciągnęły się prawie rok aż do 17 września 1882 r. Ta nieoczekiwana zwłoka i ciągle zawracanie do portu dla reperacji barki wyprowadziły z równowagi — nawet statecznego wuja: „widząc po raz trzeci, jak wasze stare czółno reperujecie, co krok piszę wedle wskazanego adresu — a nuż jeszcze nie wyjechałeś”.

Żegluga, rozpoczęta z takim trudem, skończyła się nieszczęśliwie, bo 13 marca 1883 roku w pobliżu Singapuru na barce wybuchł pożar. Po daremnych próbach ugaszenia go załoga wyratowała się na łodziach.

Z początkiem czerwca Conrad jest już znowu w Londynie, 4 lipca składa następny egzamin oficerski, a 24 tegoż miesiąca spotyka się w Marienbadzie, po raz pierwszy po dziewięciu latach, z wujem Tadeuszem Bobrowskim. Po miesiącu wraca do Londynu i rozpoczyna dalsze podróże: na statku „Riverdale” (wprowadzonym po latach do *Losu* jako „Ferndale”) do Madras w Zatoce Bengalskiej, a później na statku „Narcissus” — nazwa znana wszystkim czytelnikom Conrada — z Bombaju do Dunkierki. Zimą 1884/5 spędza Conrad w Londynie, by 24 kwietnia 1885 r. wyruszyć znowu na wody Dalekiego Wschodu jako drugi oficer na statku „Tilkhurst”, płynącym do Singapuru. Była to podróż wyjątkowo spokojna, bez przygód i katastrof; parę wspomnień z niej weszło do początkowych rozdziałów

Zwierciadła morza.

Po powrocie do Anglii Korzeniowski załatwił nareszcie sprawę przyjęcia obywatelstwa brytyjskiego, na co od dawna nalegał wuj. Wkrótce potem 11 listopada 1886 roku zdał ostateczny egzamin kapitański. Jakby rozpędzony przez te dwa udane przedsięwzięcia spróbował Conrad dokonać rzeczy całkiem dlań nowej: napisać opowiadanie po angielsku. Był to *Czarny sternik* (tekst, który dziś znamy z *Opowieści zasłyszanych* jest późniejszą przeróbką), dosyć błaha humoreska okrętowa. Debiut się nie udał, bo opowiadanie odrzucono. Nie mamy jednak żadnych danych wskazujących, by autor się tym przejął.

Miał poważniejsze kłopoty. Stałe korzystanie z kieszeni wuja nie było przyjemne. Sam dyplom kapitański dochodu nie dawał. Cudzoziemcowi nie było łatwo dostać posadę. 16 lutego 1887 r. świeżo upieczony kapitan przyjął stanowisko pierwszego oficera na statku „Highland Forest”, kierującym się na Jawę. Postać kapitana żaglowca odtworzył później, pod tym samym nazwiskiem, w osobie kapitana Johna McWhirra, dowódcy „Nan Shanu” w opowieści *Tajfun*. W drodze spotkał Conrada przykry w skutkach wypadek: uderzony w plecy odłamanym kawałkiem masztu, musiał odpoczywać parę tygodni w szpitalu.

Za to następne kilka miesięcy (sierpień 1887—styczeń 1888), kiedy to Conrad pływa jako drugi oficer na parowczyku „Vidar” między Singapurem a Bulunganem na Borneo, to okres wyjątkowo obfity we wrażenia, wykorzystane później w pracy pisarskiej.

„Vidar” odbył pięć czy sześć podróży wzdłuż południowego wybrzeża Borneo, odwiedzając liczne wyspy oraz porty na Borneo i Celebesie. Tam znalazł Conrad pierwowzory wielu swoich bohaterów: Almayera, Lingarda, Abdulli, Babalat jego i innych tam poznał miejscowości, które później wprowadzał wielokrotnie na karty swoich dzieł (Semarang, Makassar, Surabaya i inne). Wiele interesujących faktów zaczerpnął z rozmów z dowódcą „Viidara” kapitanem Jamesem Craigiem, świetnym znawcą Archipelagu Malajskiego.

Biograf Conrada, G. Jean–Aubry, powiada nie bez słuszności, że „żaden okres w jego życiu nie słał się bardziej owocny literacko niż druga połowa 1887 roku, wyjątek stanowi może druga połowa 1890 r. kiedy przemierzył Kongo. Jest odrobina ironii w fakcie, że Conrad, miłośnik żaglowców, znajdował się w obu wypadkach na pokładzie parowca.”

Jak wyznaje sam Conrad, służba na „Vidarze” należała do najprzyjemniejszych okresów w jego życiu. Odczuwał jednak ciągle niepokojące dolegliwości po wypadku (między innymi miewał zaćmienia wzroku; motyw ten wykorzystał później w opowiadaniu *U kresu sit*). Do nagłej decyzji opuszczenia „Vidara” przyczyniło się jednak zapewne najbardziej swoiste uczucie niezadowolenia i niedosytu, które opisał — opierając się na

ówczesnych właśnie przeżyciach — w Smudze cienia.

Conrad przebywa dwa tygodnie w Bangkoku: wspomnienia z tego krótkiego okresu posłużą mu przy pisaniu *Falka*, *Zwycięstwa* i *Ukrytego sojusznika*. Wyrusza stamtąd 8 lutego na żaglowcu „Otago” z przeznaczeniem do Sydney. Było to pierwsze — i jedyne, jak się okazało — dowództwo Korzeniowskiego.

Początkowy etap podróży (do Singapuru), wiernie opisany w *Smudze cienia*, był wyjątkowo nieszczęśliwy. Cała załoga była chora na febrę, drugi oficer nastawiony wrogo do dowódcy, a trzeci prezentował się jako wyjątkowy bałwan. Na ostateczne załamanie się załogi — z wyjątkiem kapitana i kucharza — wpłynął jednak przede wszystkim długotrwały brak wiatru, ogromnie przedłużający podróż.

„Otago” pozostaje pod dowództwem Conrada z górą rok, krążąc po wodach Oceanu Indyjskiego. *Uśmiech szczęścia*, nowela z tomu *Między łądem a morzem*, jest częściowo oparta na przeżyciach z tego właśnie okresu. Przynaglany listami wuja, który, spodziewając się rychłej śmierci, chciał go jeszcze zobaczyć, przybywa Conrad na początku czerwca 1889 roku do Londynu. Natychmiastowa podróż na Ukrainę okazała się jednak niemożliwa, ponieważ władze carskie nie dokonały jeszcze legalizacji angielskiego obywatelstwa Korzeniowskiego.

Tymczasem tedy Conrad, chcąc nareszcie zapewnić sobie spokojne utrzymanie i całkowitą samodzielność finansową, a więcej jeszcze powodowany ciekawością wobec nieznanego kraju, planuje objęcie posady kapitana na parowcu belgijskim, kursującym po rzekach Kongo. W projektach tych popiera go ciotka, Margerita Poradowska, zamieszkała stale w Brukseli i mająca wpływy w odpowiednich sferach handlowych.

W lutym 1890 roku udaje się nareszcie Conrad do Kazimierówki, majątku wuja Bobrowskiego. Pozostaje tam tylko dwa miesiące, pragnąc jak najprędzej wyjechać do Afryki.

Podróż do Konga trwa od maja 1890 do stycznia 1891 roku. Jej wynik to ciężkie, ostateczne rozczarowanie Conrada do systemu kolonialnego i do roli cywilizacji europejskiej wobec ludów kolorowych, długotrwała choroba, ogromna zmiana w poglądach na ludzi i życie. Conrad powiedział kiedyś do Edwarda Garnetta, jednego ze swoich najbliższych przyjaciół: „Przed Kongo byłem tylko zwykłym zwierzęciem!” To dosadne zdanie określa może najdokładniej doniosłość afrykańskiej wyprawy autora *Jądra ciemności*.

Jak silny był wstrząs, możemy również domyśleć się z ustępu w liście Bobrowskiego, pisany 28 października 1891 r.: „*My Dear Boy!*”⁴⁰ Zaczynam jak zawsze, chociaż

40 Mój drogi chłopcze! (ang.)

powiniennem by może rozpocząć od *My Dear Pessimist*⁴¹ — taką mi bowiem woń listy Twoje od pewnego czasu przynoszą.” Pesymizm Conrada, przeciw któremu wuj oponuje i przed którym go przestrzega, byt przecież w dużej mierze objawem zdrowym. Był świadectwem zachowania wyraźnych kryteriów oceny moralnej, świadectwem bystrej obserwacji ówczesnego świata, opartego na wyzysku i podbojach.

Możemy powiedzieć że podróż do Kongo zamyka zasadniczo proces kształtowania się światopoglądu Conrada. Mamy już tego podstawy: kult wierności, honoru i obowiązku, krytycyzm wobec panujących stosunków politycznych i ekonomicznych, świadomość ogromnej wartości nakazów etycznych, pesymizm wobec widzianego świata i optymizm wobec wartości jednostek ludzkich.

*

Conrad odbył, po długotrwałej rekonwalescencji, jeszcze trzy podróże. Dwie na żaglowcu „Terrens” do Australii (20 listopad 1891 — 3 wrzesień 1892 i 25 wrzesień 1892 — 26 lipiec 1893 r.) i trzecią na parowcu „Adowa” — przeznaczonym do kursowania między Francją i Kanadą — z Londynu do Rouen i z powrotem (grudzień — styczeń 1894 r.). W obu wypadkach był pierwszym oficerem. 14 stycznia 1894 roku Gonrad rozstał się na zawsze ze służbą marynarza.

W czasie powrotu z drugiej podróży na „Torrensie” poznał dwudziestosześcioletniego Johna Galsworthy’ego, słynnego później pisarza. Przygodne rozmowy dały początek dozgonnej serdecznej przyjaźni. W swoim wspomnieniu o Gonradzie notuje Galsworthy między innymi taką ocenę jego pracy jako oficera: „Żeglarzem był doskonałym, baczny na każdą zmianę pogody, szybkim i stanowczym w decyzji. Wobec podwładnych zachowywał się rozważnie i wyrozumiale. ...Wśród załogi cieszył się wielką popularnością! Nie stanowiła dlań bezimiennej zgrai, traktował ją raczej jako zespół indywidualności, i to nader rozmaitych.”

Po podróżach do Australii Conrad raz jeszcze odwiedził — na jesieni 1893 roku — starego wuja Bobrowskiego. Nie zobaczył go więcej, gdyż wierny opiekun zmarł 29 stycznia 1894 r. Wkrótce potem Conrad kończy ostatnie rozdziały Szaleństwa Almayera i posyła je do wydawcy. Odtąd aż do śmierci (zmarł na udar serca: 3 sierpnia 1924 roku) poświęci się wyczerpanej pracy pisarskiej.

41 Mój drogi pesymisto! (ang.)

II

Dwudziestosześcioletni Edward Garaett, główny lektor znanego wydawnictwa Fisher Uawin, wykazał się rzadkim w jego wieku smakiem i tolerancją, oceniając niezwykle pochlebnie książkę tak nieoczekiwaną, jak *Almayer's Folly*. Połączenie egzotyki z subtelną analizą psychologiczną, ironii z liryzmem, scen naładowanych dramatycznością z szerokimi obrazami przyrody — to wszystko było bardzo niezwykle, a objawiało się w książce nie pozbawionej przy tym wyraźnych wad. Jeszcze bardziej zaskakujący był fakt, że autor tej dziwnej powieści mówił po angielsku z drapiącym uszy Brytyjczyka akcentem.

Conrad nie próbuje nigdzie wyjaśnić, jak doszło do tego, że zaczął tworzyć. W tomie *Ze wspomnień* znajdujemy tylko na wpół żartobliwe zwierzenia na temat okoliczności, jakie towarzyszyły powstaniu pierwszej strony *Almayera*: „Pomysł uplanowanej książki był mi najzupełniej obcy, gdy zasiadłam do pisania: ambitne marzenie, aby stać się autorem, nie pojawiło się nigdy wśród urojonych, pełnych wdzięku istnień, które chętnie sobie wyobrażamy wśród ciszy i bezruchu snu na jawie; a jednak jest jasne jak słońce, że z chwilą gdy napisałem pierwszą stronę *Szaleństwa Almayera* (zawierała około dwustu słów, i ten stosunek słów do stronicy pozostał niezmienny przez piętnaście lat mego literackiego życia), z chwilą gdy w prostocie ducha napisałem tę stronę ze zdumiewającym bratkiem jakichkolwiek przeczuć, losy były rzucone. Nikt nie przekroczył Rubikonu z większą nieświadomością, bez wzywania bogów, bez lęku przed ludźmi.”

Szaleństwo Almayera rozpoczął Conrad w roku 1889 w Londynie, po rezygnacji z komendy na „Otago”, a przed podróżą na Ukrainę. W pierwszym rzucie powstało siedem rozdziałów, następne przychodziły znacznie wolniej. W roku 1893 — gdy Conrad odwiedzał wuja po raz ostatni — *Szaleństwo Almayera* „liczyło dziewięć rozdziałów życia”, ostatnie trzy rozdziały (jest ich razem dwanaście) dopisał autor tuż przed oddaniem wydawcy. Dwa razy omal nie stracił rękopisu: na dworcu w Berlinie i w czasie eskapady afrykańskiej.

Jedynymi komentarzami Conrada na temat jego pierwszej powieści są odpowiednie fragmenty tomu *Ze wspomnień*, przede wszystkim opis pierwszego spotkania autentycznego Almayera (nazywał się on w rzeczywistości Olmeijer — Conrad dostosował pisownię holenderskiego nazwiska do prawideł wymowy angielskiej). Ów Almayer—pierwowzór był półkrwi Holendrem, mieszkańcem osady Berouw na wschodnim wybrzeżu Borneo (w powieści Berouw nazwany został Sembirem). Kapitan Craig z „Vidaru”, który go znał dobrze,

potwierdził prawdziwość Conradowskiego portretu psychologicznego, choć rzeczywiste losy autentycznego Almayera były odmienne. „Stosował — pisze Conrad — swoje postępowanie do przyczyn głęboko ukrytych, do niewiarygodnych przypuszczeń, i to sprawiało, że logika jego była nieprzenikniona dla ludzi rozsądnych.”

Postaci Abdulli, Babalatjego, Lakamby i Toma Lingarda miały także autentyczne pierwowzory. Pierwszy był bogatym kupcem arabskim, współwłaścicielem „Vidaru”. Babalatji i Lakamba byli to również kupcy, Malaje z Celebesu, cieszący się dużym poważaniem wśród ludności. Conrad wziął od nich imiona i zewnętrzny wygląd postaci. Także imię tylko i sylwetkę fizyczną zawdzięcza Conradowski Tom Lingard rzeczywistemu kapitanowi szkunera z Singapuru. Pierwowzorem psychicznym był, jak mówiliśmy, niezapomniany Domenico Cervoni.

Te wszystkie drobiazgi genetyczne nie mogą, rzecz jasna, zastąpić właściwego odczytania i interpretacji powieści. Prawdę mówiąc, nawet niewiele w tym pomogą. Są jednak dobrą ilustracją powszechnej u Conrada zasady splatania się *Dichtung* i *Wahrheit*,⁴² realnych przeżyć i postaci — a także własnej wizji artystycznej.

*

Szaleństwo Almayera wchodzi w skład niezwykle oryginalnej, by nie rzec — dziwacznej, trylogii powieściowej. Inne jej części to *Wykolejeniec* i *Ocalenie*. *Szaleństwo Almayera* ukazało się w roku 1895, *Wykolejeniec* w następnym, a *Ocalenie* w r. 1920 (jego pierwsze rozdziały jednak są znacznie wcześniejsze i powstały bezpośrednio po ukończeniu *Wykolejenca*). Swoistość trylogii polega na tym, że akcja *Ocalenia* toczy się najwcześniej, a akcja *Szaleństwa* najpóźniej. Co więcej, można łatwo wykazać, że autor, pisząc *Szaleństwo Almayera*, nie projektował bynajmniej dodania do tej książki jakiegoś „początku”. Przeciwnie, układając powieści według chronologii opisywanych zdarzeń napotkamy sporo, drobnych zresztą, niezgodności.

Musimy więc *Szaleństwo Almayera* traktować całkiem samodzielnie. Jest to najkrótsza powieść Conrada, ale jak pokazał przykład wielu potykających się na niej krytyków, nie najprostsza.

Kośćcem *Szaleństwa Almayera* jest wątek psychologiczny, osnuły wokół postaci tytułowego bohatera. Zasadniczą cechą Almayera jest nieliczenie się z zewnętrzną

⁴² Zmyslenia i prawdy (niem.) *Dichtung und Wahrheit* — tytuł powieści Goethego.

rzeczywistością, całkowite skupienie uwagi na własnych przeżyciach. Almayer nieustannie snuje marzenia — właściwie jedno wielkie marzenie o bogactwie, w którym wszystko układa się możliwie najpomyślniej, przeciwności, niepowodzenia i przypadki są wykluczone, a ostateczny tryumf pewny. Do tego marzenia dostosowuje konsekwentnie i bezwzględnie całe swoje zachowanie. podporządkowuje się jemu, można powiedzieć, z heroicznym samozaparciem, odrzucając wszelkie kompromisy. Co więcej, Almayer, choć tak zagłębiany w siebie, nie jest wcale egoistą — przynajmniej w swoich najgłębszych intencjach. Jego przyszłe szczęście, cel marzenia, ma polegać przede wszystkim na szczęściu ukochanej córki.

Almayer kocha Ninę miłością zachłanną i drapieżną. Dla jej dobra gotów jest na największe poświęcenia. Nie przychodzi mu jednak do głowy zastanowić się, czy „szczęście”, jakie gotuje w pragnieniach córce, będzie istotnie zasługiwało na to miano.

Almayer ponosi straszliwą i ostateczną klęskę. Klęskę ze strony zupełnie nieoczekiwanej, ze strony jedynej osoby, którą kochał. Jego córka wybrała inny rodzaj szczęścia: zrozumiały i dostępny dla niej i niewątpliwie szlachetniejszy. Nawet w chwili definitywnej katastrofy swoich planów Almayer pozostaje im wierny: nie wykorzystuje ostatniej okazji pojednania, nie chce brać udziału w losie córki, który nie on zgotował.

Postać niby prosta, ogarnięta jednym szaleństwem — a przecież bardzo bogata. Almayer jest pozbawiony kośćca moralnego: nie uznaje żadnych praw poza własnym pragnieniem. Ale w oszalałej konsekwencji podążania za tym pragnieniem, w zdumiewającym negowaniu faktów czai się prawdziwy tragizm. Postać Almayera nabiera nieoczekiwanie pewnych cech wielkości. Nie wątpimy w to, że jego miłość ojcowska była ogromna — choć ślepa — i ze jego ból po stracie Niny był bólem śmiertelnym. Niespodziewanie zaczynamy współczuć temu wyrzutowi i maniakowi.

W *Szaleństwie Almayera* jest i druga wybitna postać. To Nina Almayesr. I ona przeżywa dramat, choć kończy się on dla niej szczęśliwie.

Pół Holenderka, a pół Malajka, zjednoczyła w sobie cechy nabyte przez europejskie wychowanie w Singapurze i proste dziedzictwo dawnych władców Archipelagu. Dla Europejczyków była zawsze czymś mniej niż człowiekiem: Mulatką Dla Malajów czymś więcej niż oni — *białą rani*. Rozdarta między dwa światy, instynktownie musiała szukać oparcia w jednym z nich. Wybrała ten, który mogła lepiej zrozumieć, który nią nie pogardzał, był dziki, ale szczerzy, brutalny, ale jasny. Na tej zasadzie dokonała wyboru. „Wydało się Ninie, że między ludźmi dzikimi a cywilizowanymi nie ma zasadniczych różnic. Czy zajmują się handlem w murowanych gmachach, czy też na błotnistym wybrzeżu rzeki; czy sięgają po wielki zysk, czy też po mały; czy oddają się zalotom w cieniu wielkich drzew, czy też w

cieniu katedry na promenadzie w Singapurze; czy knują różne machinacje pod opieką prawa i zgodnie z zasadami chrześcijaństwa, czy też zaspokajają swe pragnienia z dziką chytryością i nieposkromionym okrucieństwem natur równie nietkniętych kulturą jak ich olbrzymie i mroczne lasy — Nina widziała wszędzie te same jeno przejawy miłości i nienawiści albo brudnej żądzy zysku. I tu, i tam jednak pościg za niepewnym dolarem we wszelkich jego postaciach różnorodnych i znikomych. Ale gdy minęło kilka lat, dzika i bezwzględna otwartość w dążeniu do celu, właściwa malajskim rodakom Niny, wydała się bliższa stanowczo jej naturze niż gładka obłuda, uprzejme zmyślenia i cnotliwe pozory, przybierane przez białych ludzi, z którymi miała nieszczęście się zetknąć.”

Wkraczamy z tym cytatem w dziedzinę ogólniejszego sensu powieści. Nie są to przecież tylko „dzieje duszy” dwojga jednostek. Zarysowany w *Szaleństwie Almayera* obraz Borneo ma wyraźną wymowę, jest oskarżeniem pewnego typu stosunków. Niemoralni są nie tylko Almayer, Lakamba, Abdulla, Babalatji i holenderscy oficerowie — niemoralny jest cały system. Szlachetny, ale naiwny marzyciel Lingard zostaje pokonany przez ludzi, którzy nie mieli takich skrupułów jak on. Czy jest ucieczka z tego błędnego koła? Przecież Nina i Dam uciekają, przenoszą się na szczęśliwą wyspę Bali. Ale to tylko mit. Nie bez powodu nie jedziemy za nimi, nie oglądamy ich więcej. Nie ma wysp, których mieszkańcy są szlachetni i szczęśliwi zarazem. Nie darmo powieść kończy się okrutnie ironiczną uwagą o „Allahu, który jest laski pełen i miłosierdzia”.

Warto jeszcze zauważyć, jak bardzo antyrasistowska jest ta powieść, choć jej wątek oparty jest częściowo na konflikcie między dwiema rasami. Żadna z nich nie jest uznana za „wyższą”. A jeżeli która z grup etnicznych jest ukazana w świetle bardziej ujemnym, to Europejczycy.

Tak przedstawia się najogólniejszy sens *Szaleństwa Almayera*. Problemy psychologiczne i rasowe nie wyczerpują oczywiście zawartości artystycznej książki. Jednym z największych uroków *Szaleństwa Almayera* są liczne i rozbudowane opisy natury: rzeki, żaru słonecznego, burz i dżungli. Utrzymane w tonie podniosłym i poetyckim, kontrastują z często ironicznymi traktowanymi scenami między ludźmi.

Znać zresztą na *Szaleństwie Almayera* i piętno debiutu. Nie brak tu niejasności (na przykład w przedstawieniu wyprawy Daina). Ton książki jest bardzo nierówny, sięga nieraz do sztucznego patosu (to wrażenie potęgować musi dla polskiego czytelnika trochę młodopolski przekład Anieli Zagórskiej). Dain jest postacią raczej sztuczną, a oddziaływanie nań Niny nieco zbyt diaboliczne. Występują tu tak charakterystyczne dla prozy Conrada przedstawienia czasowe, ale nie zawsze mają należyte uzasadnienie.

Te wady nie przeszkadzają jednak stwierdzić, że Szaleństwo Almayera, jakkolwiek nie należy do najwybitniejszych dzieł Conrada, jest książką znakomitą. Co w nim uderza, to wielka pasja, jaka bije z tej książki — wyczuwamy w niej jakąś nutę intymną, jakieś osobiste zaangażowanie autora w przedstawiane sprawy. Może tak i jest w istocie. Oczywiście, należy się wystrzegać pokus wysnuwania zestawień, które niebezpieczne są dla każdego utworu. Ale prowadzenie ostrej dyskusji z samym sobą jest charakterystyczne dla wielu dzieł Conrada. Ciągłe na przykład mowa tam o wierności i stałości — a sam Conrad często wyrzucał sobie niestałość i stawiał pytanie, czy nie sprzeniewierzył się własnemu krajowi.

Jak mogliśmy niejednokrotnie dostrzec przy czytaniu życiorysu Conrada — nie grzeszył on brakiem marzycielstwa i zbytnim liczeniem się z realnymi faktami. Podróż do Afryki na przykład była taką nieprzemyślaną fantazją. Dedykacja Szaleństwa „Pamięci T. B.” (Tadeusza Bobrowskiego) także daje do myślenia. Reminiscencje z polskiej poezji romantycznej również zdają się popierać naszą hipotezę.

Czy więc Szaleństwo Almayera nie jest, między innymi, jakąś wielką rozprawą twórcy z samym sobą w postaci głównego bohatera? Na to pytanie nigdy nie będziemy mogli ostatecznie odpowiedzieć.

Zdzisław Najder

Do ustalenia biografii Conrada posłużyły przede wszystkim następujące źródła G. Jean–Aubry, *Joseph Conrad, Life and Letters*, Heinemann, London 1927, V. I–II; listy T. Bobrowskiego do Conrada z lat 1869–1894, znajdujące się w Bibliotece Narodowej w Warszawie; wstęp T. Mikulskiego do *Komedii Apollona Korzeniowskiego*, wyd. PIW. Warszawa 1954; J. D. Gordan, *Joseph Conrad, the Making of a Novelist*, Cambridge, Mass, 1911.

Tekst „*Szaleństwa Almayera*”, jaki znamy ze zbiorowych wydań, nie pokrywa się z pierwodrukiem. W roku 1916 Conrad poddał całość powieści rewizji stylistycznej i wprowadził wiele uproszczeń usuwając kilkaset wyrazów (niejednokrotnie całe zdania). Ten zrewidowany tekst powieści jest oczywiście obowiązujący. Przekład Anieli Zagórskiej, choć ukazał się w roku 1923, sporządzony był z wydania sprzed roku 1916 i zawiera także zwroty skreślone przez autora, które w obecnym wydaniu umieszczono w klamrach.